www.tygodnikprzegląd.pl
Przegląd
Nr 20 (1062)
11-17.05.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

Wielki Walicki piórem prof. Bronisława Łagowskiego

Prof. Andrzej Szahaj
Kapitalizm po epidemii

Prof. Andrzej Werblan
Mój przyjaciel Fryc

Katarzyna Pikulska Minister zdrowia okłamuje obywateli

POLACY ZA DRZWIAMI

EPIDEMIA

PRZEMOCY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
20 >
9 771509 311003

sklep.mleczko.pl

Andrzej Mleczko

GALERIA AUTORSKA ANDRZEJA MLECZKI

WARSZAWA ul. Marszałkowska 140 tel.: 795 029 829 **KRAKÓW** ul. św. Jana 14 tel.: 12 421 71 04 **www.mleczko.pl**

eprasa.pl e2e639bf4b

CYTATY

PROF. EWA ŁĘTOWSKA,
prawniczka
Cała ta sytuacja pokazuje bezbrzeżną pogardę, jaką okazuje mi władza jako wyborcy i obywatelowi.
„Trybuna"

PROF. GRZEGORZ EKIERT,
socjolog polityki, Uniwersytet Harvarda
Mogą nie oddać władzy. Stworzyli system pozwalający tak manipulować wyborami, by nigdy ich nie przegrać.
„Polityka"

PROF. ANDRZEJ K. KOŹMIŃSKI,
ekonomista, socjolog
Elity i ich media utraciły wiarygodność, ustępując pola „buszującym w sieci" sprzedawcom złych emocji, kłamstw i przesądów.
„Rzeczpospolita"

MADELEINE ALBRIGHT,
była sekretarz stanu USA
Mam teraz wybór między czytaniem, szyciem a porządkowaniem szuflad.
„Forum"

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Co mamy w głowach

Na własnej skórze przekonujemy się, że stan epidemii to ogromne nieszczęście. Mamy prawdziwą wojnę o zdrowie i życie. I o miejsca pracy. Gwałtownie zmieniają się wcześniejsze reguły. Jeszcze niedawno prowadziły nas one przez świat jak szyny pociąg. Koronawirus, unieruchamiając miliony ludzi w domach, wymusił na wszystkich zmianę tych reguł. To musi boleć. Zwłaszcza że pełnego powrotu do tego, co było przed COVID-19, z pewnością już nie będzie.

Największe zmiany, choć jeszcze nierozpoznane i nieprzewidywalne, zachodzą w naszych głowach. Dla kilku pokoleń to, co teraz się dzieje, jest najgorszym doświadczeniem w całym ich życiu. Piszę tu o dorosłych. A przecież kompletnie rozwalone życie mają miliony dzieci i dorastająca młodzież. Trochę intuicyjnie, ale myślę, że psychologicznie najtrudniejszy jest dla wszystkich brak możliwości określenia, nawet w przybliżeniu, końca tej epidemii. Perspektywa z jednym wielkim znakiem zapytania jest szczególnie przygnębiająca.

Naturalne jest zatem, że wszyscy szukają światełka w tym tunelu. W tak trudnym czasie rośnie zapotrzebowanie na autorytety. Pilnie rozglądamy się za ludźmi, którym możemy zaufać.

Bo bardzo chcemy komuś uwierzyć, że nas przeprowadzi przez budzące strach nieznane zagrożenie. Ludzie, szukając liderów, weryfikują równocześnie tych, którzy formalnie pełnią funkcje przywódcze. Mamy polityków wybranych w spokojnych i generalnie przewidywalnych czasach. Wtedy konkurowali z rywalami, zapowiadając szerokie programy wsparcia materialnego dla milionów ludzi. Epidemia wywróciła tę filozofię. Zamiast programów poprawiających jakość życia trzeba pilnie tworzyć programy, których celem jest nie rozwój, ale jako takie przeżycie i obrona wcześniejszych pozycji.

Wiemy, że państwo nie ma możliwości wsparcia wszystkich potrzebujących. Czyli o te środki, które są do wzięcia, będzie się toczyć bezpardonowa walka. A w niej w najgorszym położeniu znaleźli się najsłabsi. Choć powinni być pod szczególną ochroną władz, trudno o złudzenia, że wygrają z bankami, które mają swojego reprezentanta w osobie premiera Morawieckiego. Albo z korporacjami. Lub z tymi grupami zawodowymi, które mają skuteczne środki nacisku na władzę. Nie wygrają. A o tym, jak mocno zostaną poszkodowani, zadecydują politycy.

Rządząca prawica zbudowała swoją pozycję na deklaracjach o wspieraniu tych, którzy dotychczas byli poszkodowani. Teraz władzę czeka podwójny test. Po pierwsze, z umiejętności rządzenia w czasie wielkiego kryzysu. A tu idzie jej jak najgorzej. Po drugie, z tego, komu ulegnie, a komu pomoże.

PROGRAM „PAMIĘĆ"

Odchodzą twórcy i świadkowie historii.
Politycy, naukowcy, literaci, społecznicy, artyści.

Czytelnicy proszą: Nagrywajcie rozmowy z nimi. Filmujcie i zapisujcie.

Zrobimy to!
Ale potrzebujemy Waszej pomocy.

Apelujemy o wsparcie i wpłaty na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta,
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7,
z dopiskiem „Pamięć".

BĄKOWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA
8 **Gowin kontra Kaczyński: kruchy rozejm**
Kto górą, a kto dołem

KRAJ
12 **Wszystkie spiny prawicy**
Nieoceniona lektura prawicowego internetu
14 **Kapitalizm po epidemii**
– rozmowa z prof. Andrzejem Szahajem
18 **Epidemia przemocy**
Gdzie ofiary mają szukać ratunku
26 **Nie damy zrobić z siebie kozłów ofiarnych**
– rozmowa z Katarzyną Pikulską
28 **Respirator jak tańszy samochód**
Prototyp z Bydgoszczy
30 **Żłobkowo-przedszkolny surrealizm**
Wielka niewiadoma w opiece nad maluchami

SYLWETKI
16 **Edward Brzostowski – człowiek wielkich projektów i czynów**
22 **Wielki Walicki**
Prof. Bronisław Łagowski na urodziny prof. Andrzeja Walickiego

HISTORIA
34 **Mój przyjaciel Fryc**
II wojna światowa oczami prof. Andrzeja Werblana

ZAGRANICA
37 **Czechy i Słowacja wychodzą z pandemii**
W maseczce do fryzjera
40 **Zamożni dostaną jeszcze więcej**
Amerykański pakiet ratunkowy
42 **Paryż na beczce prochu**
Napięcia na przedmieściach
44 **Wirus bogatych**
Brazylia: wyrok śmierci na fawele

OBSERWACJE
47 **Podróż pociągiem w stanie pandemii**
Zasłyszane w drodze
58 **Psy zasługują na więcej**
Miłość na czterech łapach

PSYCHOLOGIA
50 **Nawet ryby mają potrzebę kontroli**
– rozmowa z dr Ewą Jarczewską-Gerc

KULTURA
54 **Nic, tylko pisać**
Literackie inspiracje czasu izolacji
56 **Qulturalia**
66 **Marta Czok. To nazywasz sztuką?**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Co mamy w głowach
11 **Roman Kurkiewicz**
No i po/przed wyborach/mi
17 **Jan Widacki**
Krajobraz po epidemii
33 **Tomasz Jastrun**
Trzy plagi
57 **Agnieszka Wolny-Hamkało**
Jak rozmnożyłam aloes noblistki

26
KRAJ

NIE DAMY ZROBIĆ Z SIEBIE KOZŁÓW OFIARNYCH
– rozmowa z Katarzyną Pikulską

37
ZAGRANICA

CZECHY I SŁOWACJA WYCHODZĄ Z PANDEMII
W maseczce do fryzjera

58
OBSERWACJE

PSY ZASŁUGUJĄ NA WIĘCEJ
Miłość na czterech łapach

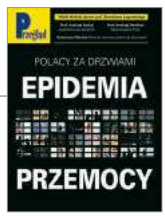

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl e2e639bf4b

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

Marcin Kącki, reporter
Oświęcim – dobrzy ludzie żyją w złym miejscu

Dr n. med. Beata Wróbel, ginekolog i seksuolog
Seks w maskach i w szaliku

Susza i inne plagi rolnictwa

Zwycięzcy wymazani z podręczników

W odległości kilku kilometrów od miasta, w którym mieszkam, był obóz dla jeńców radzieckich w Szebniach. Działał od 8 października 1941 r. do wiosny 1942 r. W tym czasie z głodu – okoliczni mieszkańcy mówią o jedzeniu trawy – oraz na tyfus zmarło 4-6 tys. żołnierzy.

Janusz Rak

•

W kontekście zakończenia II wojny światowej przypomina się rolę frontu zachodniego i południowego. Zwróćmy jednak uwagę, że front włoski wiązał zaledwie 21 dywizji niemieckich, a walki z partyzantami jugosłowiańskimi i greckimi – 37 dywizji. W czasie operacji „Bagration" zniszczono dwa razy więcej dywizji Niemców i ich sojuszników, niż walczyło na froncie zachodnim i włoskim. Ogromne znaczenie miała ofensywa powietrzna aliantów. Dzięki niej udało się zmniejszyć o ok. 47% produkcję zbrojeniową Niemców.

Wojciech Zarzycki

Człowiek ma imię i nazwisko

Opublikowana na s. 12 w nr. 19 PRZEGLĄDU fotografia z 1945 r. przedstawia pisarza, korespondenta wojennego, majora Armii Czerwonej Jewgienija Aronowicza Dołmatowskiego, zapewne szczęśliwego, że Hitler już nie może go zabić.

Jochen August

Jakie sprawy są dziś najważniejsze dla świata pracy?

Dziś najważniejszą sprawą jest pandemia, a jutro w krajach Pierwszego Świata zatrudnienie. Ludzi mamy znacznie więcej niż pracy dla nich i trzeba stale ograniczać czas pracy bez obniżania poziomu życia obywateli. W krajach Drugiego i Trzeciego Świata najbardziej potrzebna jest oświata – szczególnie skierowana do kobiet.

Andrzej B. Izdebski

Azjata to Azjata

Nie sądzę, że rasizm jest u nas wielkim problemem, ale istnieje. Przy czym w ogóle mamy problem ze stosunkami interpersonalnymi. Żołnierze armii politycznie ze sobą walczących okopali się, dostają solidne zastrzyki wsparcia od politycznych idoli. Nietolerancja wobec wszystkiego, co nie moje, z czym się nie utożsamiam, i obowiązek „dokopania" wszystkim to po prostu moda. Do dobrego tonu należy zaistnieć, czyli pokazać się z najohydniejszej strony. Smutne to i obrzydliwe; niestety, pomału staje się zwyczajem.

Bożena Gaworska-Aleksandrowicz

ZDJĘCIE TYGODNIA

„List" przeciw nielegalnym wyborom. Happening Tadeusza Kantora z 1967 r. przedstawiciele środowisk artystycznych powtórzyli 6 maja pod Sejmem.

FOT. MACIEK JAŻWIECKI/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl e2e639bf4b

Senat i Jarosław Gowin, prezes Porozumienia, **zablokowali absurdalny pomysł zorganizowania wyborów prezydenckich przez Pocztę Polską.**

Prof. Adam Strzembosz otrzymał Nagrodę Specjalną Polskiej Rady Biznesu im. Jana Wejcherta. W czasach gdy szczególnie poszukujemy autorytetów, jest osobą, która wyznacza standardy cnót obywatelskich.

„Sala samobójców. Hejter", najnowszy film Jana Komasy, wygrał prestiżowy Tribeca Film Festival w Nowym Jorku.

Mieszkańcy Dąbrowy Górniczej, władze miasta i Stowarzyszenie Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej niezłomnie bronią pomnika Bohaterom Czerwonych Sztandarów przed samowolą IPN.

13-letni Sylwester Adamus z Andrychowa **złowił w stawie** w Graboszycach obok Zatora **suma o długości 184 cm. Gigant ważył 40 kg i po zrobieniu mu zdjęć trafił do stawu.**

Janusz Kubicki, prezydent Zielonej Góry, uruchomił w 20 miejscach miasta bezdotykowe dozowniki do dezynfekcji rąk.

Cis Henryk, najstarsze drzewo w Polsce (województwo dolnośląskie), **którego wiek szacuje się na 1,3 tys. lat, zazielenił się dzięki systemowi nawadniania kupionemu przez samorządowców.**

Marcin Chludziński, prezes KGHM, to kolejny nominat PiS na posady w spółkach skarbu państwa, który **mija się z prawdą.** Jak podaje „Gazeta Wyborcza", **maseczki sprowadzone z Chin nie mają wbrew oświadczeniom Chludzińskiego certyfikatu FDA** ani innego wiarygodnego. W USA nie zostały dopuszczone do obrotu.

Jedynka Polskiego Radia bije kolejne rekordy. **Po raz pierwszy w historii ma mniej niż 5% rynku radiowego. Ale płace kierownictwa i pisowskich agitatorów dorównują wielkością potokom kłamstw i bredni.**

Danuta Dmowska-Andrzejuk, minister sportu, podobnie jak jej poprzednik Witold Bańka **gorliwie niesie sztandar PiS.** Sportowcy są ciągle na trzecim planie. Dużo łatwiej przychodzi pani minister zwalnianie pracowników. **W nagłym trybie pozbyła się Agnieszki Roszkiewicz, rzeczniczki resortu. Bo za kompetentna?**

1,8 mln reklamacji trafiło do rzecznika finansowego w 2019 r. Najczęściej skarżono się na ubezpieczycieli: PZU Życie, PZU i STU ERGO Hestia. Zarzuty klientów, przynajmniej w części, zostały uznane w 57,75% spraw.

PRZEBŁYSKI

Dworczyk, panisko ogłoszeniowe

Skąpy to on nie jest. Nie ma takiej kasy, której by nie skierował lekką ręką szefa kancelarii premiera do wyznawców swojego rządu.
Po czym poznać Michała Dworczyka? Po kamiennej twarzy i pokerowej minie, z jaką opowiada o rzekomych sukcesach ponad stu ministrów i wiceministrów rządu Morawieckiego. Do czytelników propisowskich mediów Dworczyk zwraca się „Kochani Rodacy". Piszemy o tym, bo nigdy nie mieliśmy rządowych ogłoszeń i nasi czytelnicy mogą nie znać dobrze opłacanej polityki miłości uprawianej przez rząd PiS.
Kochani Czytelnicy, jesteście ekstra! A Dworczyka jeszcze rozliczymy.

Jak abp Michalik drapie myśli?

Pociąg do odznaczeń i medali jest wśród hierarchów cechą stałą. Lubią je dostawać. Choć jeszcze bardziej lubią słuchać, dlaczego są tak cenieni. Laudatorzy wychodzą więc ze skóry, by w sposób szczególny dopieścić i tak już rozpuszczone pochlebstwami uszy dostojników.
Wzorem dla młodych i ambitnych pochlebców może być laudacja ks. dr. hab. Witolda Ostafińskiego wygłoszona w Krakowie pod adresem abp. Józefa Michalika: „Drapie myśli, rozbudza emocje, jego nauczanie jest palące i przenikliwe".
Laureat medalu Bene Merenti dowiedział się też, że „głosi Słowo z miłością, która nie unosi się gniewem i nie szuka poklasku, lecz wpółweseli się z prawdą". Nas też jakaś wesołość ogarnęła.

Gryglas. Marionetka z chochlą

Wiedza licha jak mazowieckie piaski, ale tupet, że ho, ho. To Zbigniew Gryglas, polityczny wędrowniczek. Od Petru do Gowina. Nieudacznik, który przylepił się do polityki. Bo jak inaczej mógłby łowić wielką chochlą? Posadę wiceministra aktywów państwowych dostał od Gowina, ale szybko dał się złowić wysłannikom Kaczyńskiego. Wbrew swojemu liderowi bronił wyborów majowych jak ministerialnej chochli. Gdyby był konkurs na głupka roku, Gryglas byłby oczywistym faworytem. Na nowego Dyzmę też pasuje jak ulał. Apelujemy do Gowina, by zostawił mu tę chochlę. Na pamiątkę. I myk, do Jelonek!

Zdzikot i jeszcze gorzej

Od czasu gdy Poczta Polska stała się Pocztą Wyborczą, los prenumeratorów gazet jest losem ludzi porzuconych. Poczta kasę wzięła, ale o dostarczaniu PRZEGLĄDU zapomniała. Nie ma dnia bez telefonu od czytelnika, który czeka na nasz tygodnik dwa albo nawet trzy tygodnie. Pewnie to bawi Tomasza Zdzikota, pisowskiego prezesa poczty. Bo ten najchętniej opozycyjne media wysłałby na poligon. Przecież nie po to wicepremier Sasin rzucił go na tę posadę, by Poczta działała lepiej. A listonosze i obsługa urzędów pocztowych zarabiali więcej niż 2 tys. zł. Pracownicy Poczty jednego mogą być pewni. Nic im się nie poprawi. Kasa musi być dla pisowskiego desantu. Tam, gdzie można zarobić, jest już jakiś pociotek dojnej zmiany. Z tych, co to niczego nie czytają, więc i o prenumeracie nie słyszeli.

FOT. YOUTUBE (2), MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e2e639bf4b

www.mleczko.pl
www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego za rządów PiS nadal niewielu Polaków wiesza flagi państwowe?

DR HAB. ADAM LESZCZYŃSKI,
historyk, Uniwersytet SWPS

Nie wszystko musi mieć coś wspólnego z PiS. Myślę, że akurat to nie ma. W Polsce flaga jest traktowana jako symbol państwa, używany przez władzę, a nie obywateli, zupełnie inaczej niż w USA. Można tu się doszukiwać różnicy w modelu patriotyzmu – odświętnego i wojennego w Polsce, a bardziej codziennego i cywilnego na Zachodzie, albo po prostu innego faktycznego odczuwania dumy z własnego kraju. PiS próbowało to zmienić, nakłaniając Polaków do częstszego (i bardziej prywatnego) używania flagi, na razie jednak mu się to nie udało. Po prostu my, Polacy, używamy flagi w innych kontekstach niż Amerykanie – możemy wywiesić ją na dachu w czasie powstania, ale jesteśmy za leniwi, żeby w czasie pokoju zatknąć ją na balkonie.

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
historyk, UJ, Stowarzyszenie Kuźnica

Wydaje mi się, że są dwie główne przyczyny. Pierwszą jest tradycyjny brak aktywności obywatelskiej znacznej części społeczeństwa, który wyraża się również w tak drobnych jej przejawach jak wywieszanie flagi. Drugi powód to poczucie wielu Polaków, że symbole narodowe są zawłaszczane przez prawicę, czego przykładem jest występowanie jej polityków w studiach telewizyjnych z biało-czerwoną flagą wpiętą w klapę marynarki. U niejednej osoby wywołuje to odruch dystansowania się od podobnych zachowań, by nie zostać wrzuconym do jednego worka z rządzącą opcją polityczną. Uważam, że należy iść na przekór próbie monopolizacji naszych wspólnych symboli, dlatego 3 maja, jak co roku, wywiesiłem flagę.

DR HAB. MARCIN NAPIÓRKOWSKI
semiotyk kultury, UW

Nie wiem, czy wielu, czy niewielu. Trzeba sprawdzić, czy ktoś ostatnio przeprowadził stosowne badania. Amerykanie co kilka lat badają, czy obywatele wywieszają flagi oraz czym się kierują, robiąc to lub nie, i rzeczywiście uzyskane wyniki są uważane za barometr nastrojów politycznych. Jeżeli w Polsce nie wykonano ostatnio podobnej analizy, to nie ma co spekulować, bo jakakolwiek sensowna odpowiedź na tak postawione pytanie musi się opierać na danych empirycznych.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

ANNA DOLIŃSKA

To dla mnie rodzaj buntu. Nie zrobię tak, jak chce władza; nie zgadzam się z większością jej stanowisk. Wstyd i hańba napompowywać się polskością, „Bogiem, honorem i ojczyzną", podczas gdy rządzący sami łamią konstytucję i za nic mają demokrację. To szopka. Od powyższego hasła według mnie bardziej prawdziwe i aktualne jest: miłość, szacunek, Matka Ziemia.

PRZEMYSŁAW LIS

Bo ludziom się nie chce. Trzeba zakupić maszt, flagę itd., poza tym to obciach przed sąsiadami. Patrzcie go, jaki patriota – powiedzą. Po co to komu?

TOMASZ VERG

Sądzę, że tkwi to głęboko w naszym stosunku do flagi. Zdaje się on być mistyczno-sakralny, a przy takim podejściu jej wieszanie to swoiste *sacrum*, przy którym łatwo o profanację. Wobec tego niechętnie to robimy bez odgórnego nakazu. Chyba w przeciwieństwie do tak bliskich nam Amerykanów czujemy się nie właścicielami barw narodowych, ale ich sługami.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl e2e639bf4b

Gowin kontra Kaczyński: kruchy rozejm

Na prawicy się dogadali. Ale tylko kwestią czasu są kolejne awantury

Robert Walenciak

Jarosław Gowin zawalczył o to, by być dla Kaczyńskiego nie przystawką, ale partnerem. I wszystko wskazuje na to, że cel osiągnął.

Na początek uwaga ogólna. Dwóch szeregowych posłów, Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin, dogadało się i przesunęło wybory prezydenckie. Na kiedy – nie wiemy. Być może oni sami jeszcze tego nie wiedzą. Pewnie nie do końca też wiedzą, jak będą one wyglądać. I kto będzie mógł w nich wystartować. Ale przy okazji zdecydowali, jak zachowają się Państwowa Komisja Wyborcza, Sąd Najwyższy i Trybunał Konstytucyjny.

Czy taki kraj można uznać za demokrację? Z trudem. Polska na osi demokracja-autorytaryzm wciąż przesuwa się w tym drugim kierunku. Coraz częściej przychodzi nam obserwować kpiny z zasad państwa prawa, z wolnych wyborów. Świat to widzi. Ale, po pierwsze, póki Rubikon nie zostanie przekroczony, póki wciąż będzie możliwy powrót do demokracji drogą normalnych wyborów, nie warto wołać, że oto nastała dyktatura. Ta gra nie jest skończona, a bunt Gowina dał nadzieję, że Kaczyński dyktatorem nie zostanie. Dlaczego – o tym za chwilę.

Po drugie, mówiąc o tym buncie, analizując jego konsekwencje, powinniśmy mieć świadomość, co to była za gra. Jarosław Gowin nie rzucił wyzwania Jarosławowi Kaczyńskiemu, żeby pomóc opozycji, żeby zniszczyć rządzącą większość itd. Zbuntował się z dwóch konkretnych powodów – bo uważał, że obsesyjne trwanie przy majowym terminie wyborów prowadzi Polskę donikąd i jej szkodzi, a poza tym chciał zająć podmiotowe miejsce w obozie Zjednoczonej Prawicy. Być nie przystawką, ale partnerem. I wszystko wskazuje na to, że cel osiągnął.

Dlatego wszelkie pretensje do Gowina, zwłaszcza publicystów bliskich Platformie Obywatelskiej, że jak zwykle w ostatniej chwili się ugiął, nie do końca są sprawiedliwe.

•

Tydzień temu analizowaliśmy tę rozgrywkę, wybiegając także w przyszłość. Wszystko zaczęło się od tego, że Jarosław Gowin ogłosił, że wybory prezydenckie ze względu na epidemię koronawirusa nie powinny odbyć się w maju. I że jego ugrupowanie, w sumie 18 posłów, będzie temu przeciwne.

Ta deklaracja początkowo została zlekceważona jako kolejne mędrkowanie człowieka znanego z różnych wolt. Ale w końcu przebiła się do świadomości polityków i komentatorów. Wywołała wtedy efekt wybuchu granatu – bo gdyby Gowin konsekwentnie trwał przy swoim, oznaczałoby to, że Jarosław Kaczyński nie ma już większości w Sejmie. I że Gowin zaczyna decydować, które inicjatywy partii rządzącej Sejm przyjmie, a które nie.

Ale żeby tak było, musiałby on zatrzymać przy sobie co najmniej pięciu-sześciu posłów swojego ugrupowania. I o to w ostatnim tygodniu toczyła się walka – czy Kaczyński różnymi metodami odbierze Gowinowi jego ludzi, czy jednak mu się to nie uda. Innymi słowy, czy zachowa większość w Sejmie, a Zjednoczona Prawica tę większość ma niewielką, bo dysponuje 235 posłami.

eprasa.pl e2e639bf4b

Pierwsze starcie miało miejsce w Senacie, który debatował nad odrzuceniem ustawy pocztowej. I okazało się, że PiS przegrało je spektakularnie, 50:35, że aż 13 jego senatorów nie wzięło udziału w głosowaniu.

Nie lekceważmy tego wydarzenia. To nie jest tak, że oni wszyscy machnęli ręką, uznali, że PiS i tak głosowanie przegra, więc nie warto wciskać guzika. Wiedzieli przecież, że prezes patrzy – kto jak zagłosuje, kto jest lojalny, a kto nie. Dlatego uznajmy, że przynajmniej część z tej trzynastki nie zagłosowała świadomie, żeby pokazać, że im idea wyborów majowych i całe związane z tym awanturnictwo zupełnie się nie podoba.

To musiał być czytelny sygnał dla Kaczyńskiego. Drugim były pojawiające się informacje od posłów opozycji, że byli kuszeni do przejścia na stronę Prawa i Sprawiedliwości. Że oferowano im różne korzyści. O swoich posłach pisał na Facebooku Paweł Kukiz, mówili politycy Koalicji Obywatelskiej. To wszystko były sygnały, że próby pozyskania dodatkowych głosów przez PiS są nieudane. Że ta ofensywa rezultatów nie daje.

A jak szło urabianie posłów Porozumienia Jarosława Gowina? On sam mówił, że może liczyć na dwunastu. Inni, że na sześciu-ośmiu. Ale to wciąż wystarczało, by zatrzymać Kaczyńskiego.

PiS sięgnęło zatem po kolejny argument – mianowicie zaczęło grozić wcześniejszymi wyborami do parlamentu. Co dla gowinowców oznaczałoby odejście w polityczny niebyt. Ale to również wielkiego skutku nie przyniosło.

W Senacie PiS przegrało spektakularnie, 50:35. Aż 13 jego senatorów nie wzięło udziału w głosowaniu.

Wszystko więc wskazywało, że do głosowania w Sejmie dojdzie i że tak naprawdę do końca nie będzie wiadomo, jaki da ono rezultat. Poza tym do Kaczyńskiego zaczynały się przebijać informacje, że data 10 maja tak czy inaczej jest nierealna. I że pomysł głosowania pocztowego jest samobójstwem, bo – jak to zademonstrował podczas obrad Senatu Marek Borowski – już liczenie głosów musiałoby trwać kilkadziesiąt dni. A gdzie czas na ewentualną II turę?

A Gowin? Też zaczął ulegać naciskom. To ułatwiło negocjacje. W środę, w obecności premiera Morawieckiego, Kaczyński i Gowin zawarli porozumienie. Wyborów 10 maja nie będzie, Sąd Najwyższy stwierdzi ich nieważność. Wtedy marszałek Sejmu Elżbieta Witek rozpisze kolejne wybory. Odbędą się one według innej procedury – pod nadzorem Państwowej Komisji Wyborczej, nie zaś Poczty Polskiej i wicepremiera Sasina, choć w formie korespondencyjnej. Jak to będzie wyglądało? Tego jeszcze nie wiemy. Ani tego, na kiedy marszałek Witek je rozpisze.

Ta gra nie jest skończona, a bunt Gowina dał nadzieję, że Kaczyński dyktatorem nie zostanie.

Dodajmy, że zmiana formuły wyborów będzie wymagała nowej ustawy, zatem i udziału opozycji. A jeżeli znów Senat przetrzyma ustawę? Przez miesiąc? Też tego nie wiemy. A co wiemy?

•

Wiemy, że w ostatniej chwili Kaczyńskiemu udało się zapobiec rozłamowi w obozie Zjednoczonej Prawicy. Że utrzymał sejmową większość. Ale to jego jedyny sukces. Reszta – jest klęską.

Po pierwsze, nie udało mu się utrzymać majowego terminu wyborów. Forsował go wbrew współpracownikom i wbrew opinii publicznej. W sondażach większość Polaków (63% ankietowanych) była za przełożeniem wyborów, ledwie 23% popierało termin majowy. Innymi słowy, aby zrealizować polityczny cel, szedł pod prąd. Okazało się to nieopłacalne, musiał się wycofać. Poza tym chyba już utracił kontrolę nad samymi wyborami. Bo nikt nie wie, kiedy się odbędą i według jakich zasad.

Kompromitacją skończyły się działania ministra Sasina, który został z milionami kart do głosowania, nie wiadomo zresztą, na jakiej podstawie prawnej i za ile wydrukowanych. Tak nieudolne i w efekcie nieudane organizowanie wyborów to absolutna kompromitacja państwa PiS.

Po drugie, Kaczyńskiemu nie udało się rozbić oporu zarówno opozycji, jak i Gowina. Wielkie zabiegi, by skaperować senatorów i posłów z innych ugrupowań, spełzły na niczym.

Po trzecie, nie udało mu się pokonać Gowina. Musiał przyjąć do wiadomości jego bunt i uznać go za partnera do rozmów. A to oznacza, że Jarosław Gowin, póki ma wokół siebie tych 6-12 posłów, kontroluje PiS. Jeżeli raz powiedział „nie", to może powiedzieć i następnym razem. Bo już wie, że może. I wiedzą to również inni.

W ten sposób Jarosław Kaczyński stracił większość w parlamencie. Oczywiście to nie znaczy, że automatycznie tę większość przejęła opozycja, o nie. Gowinowi wciąż bliżej do PiS niż do Platformy czy PSL. Ale wyrwa w obozie prawicy już powstała.

Jeżeli w poprzedniej kadencji parlamentu każdy pomysł Kaczyńskiego mógł się stać obowiązującym prawem w kilkanaście godzin, bo tyle wystarczało, by ustawa przeszła przez Sejm, Senat i trafiła na biurko prezydenta Dudy, to w tej kadencji taki przerób jest już niemożliwy – ustawa może utknąć w Senacie na 30 dni.

Teraz doszła do tego jeszcze jedna przeszkoda – Gowin. On też musi na taką ustawę wyrazić zgodę. Innymi słowy, swoboda działania prezesa PiS zmalała. I to bardzo istotnie.

To dla niego bolesne – bo obniża jego autorytet na prawicy. Już nie jest nieomylnym wodzem, idącym od zwycięstwa do zwycięstwa. A tak był postrzegany przez wielu, mówili tak o nim różni klakierzy – jako o Piłsudskim XXI w. Że trzeba się kłaniać i słuchać. A teraz już nie jest żadnym Piłsudskim, tylko starszym panem. Im starszym, tym coraz bardziej nieobliczalnym.

Po czwarte, fakt, że Gowin potrafił się postawić Kaczyńskiemu i to przeżył, jest zachętą dla innych w obozie Zjednoczonej Prawicy. W najbliższych miesiącach możemy więc spodziewać się tam kolejnych wolt i buntów. Teraz uciszane są hasłem: mamy wybory prezydenckie, na tym trzeba się skupić! Ale gdy

eprasa.pl e2e639bf4b

te wybory się odbędą, tendencje odśrodkowe w PiS nabiorą rozpędu. Wystarczy, że będzie tam sześciu-siedmiu zdeterminowanych posłów.

I nawet nie za bardzo wiadomo, jak Kaczyński będzie mógł sobie z nimi poradzić. Wyrzuci ich? To na chwilę, bo będzie musiał ich pozyskiwać przy każdym ważniejszym głosowaniu. Zagrozi wcześniejszymi wyborami? Strachy na lachy. W konstytucji droga do wcześniejszych wyborów została dokładnie opisana. Może to być albo samorozwiązanie Sejmu, co bez głosów PO jest niemożliwe, albo dymisja premiera – ale wówczas istnieje realna groźba, że opozycja powoła tzw. rząd techniczny, np. po to, by przeprowadzić uczciwe wybory, i przejmie służby specjalne, prokuraturę, spółki skarbu państwa, telewizję publiczną oraz inne instrumenty władzy. Trudno przypuszczać, by na coś takiego Kaczyński się zgodził.

•

Udany bunt Gowina poruszył wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy lawinę. A w którym kierunku może ona zmierzać?

Wiele wskazuje, że Jarosław Gowin nie był sam. Że miał wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy cichych sojuszników. Takich, którym nie podobały się ostatnie, coraz bardziej awanturnicze i dyktatorskie działania Kaczyńskiego. Którzy dostrzegali w tym niebezpieczeństwo nie tylko dla Polski, ale i dla siebie.

Patrząc na obóz Zjednoczonej Prawicy z daleka – widzimy monolit, coraz mocniejszy, spychający opozycję na bok. Tymczasem wewnątrz niego toczy się ciągła walka rozmaitych frakcji i koterii. O dojście do ucha prezesa, ale i o dojście do konfitur – stanowisk w spółkach skarbu państwa, fundacji, pieniędzy. Rzecz jednak w tym, że Kaczyński stosuje tu taktykę gorącego krzesła i prezesi różnych spółek wymieniani są co parę miesięcy. Raz górą są jedni, raz drudzy. Establishment PiS chciałby zaś tę karuzelę zatrzymać. Chciałby stabilizacji. A czy bunt Gowina nie był również w imię tej stabilizacji? W imię tego, by prezesa chwycić za ręce, aby nie podejmował decyzji jednoosobowo? By nie eskalował także wojny polsko-polskiej? By próbował, przynajmniej w niektórych sprawach, dogadywać się z opozycją?

Jarosław Kaczyński nie jest już żadnym Piłsudskim, tylko starszym panem. Im starszym, tym coraz bardziej nieobliczalnym.

Zwróćmy uwagę, że ważną rolę w godzeniu Kaczyńskiego i Gowina odegrał premier Mateusz Morawiecki. Po co był podczas układania ich porozumienia? Jako przyzwoitka? Jako świadek? A może po to, by być gwarantem w innych sprawach, w których obaj politycy też się porozumieli?

Ważną rolę w godzeniu Kaczyńskiego i Gowina odegrał premier Morawiecki.

•

O jakie sprawy mogło chodzić? Patrząc na sytuację Gowina, nie sposób nie zauważyć jednego – osiągnął porozumienie z Kaczyńskim, już nie jest przystawką, tylko partnerem, ale nie wiadomo, jak długo. Porozumienie Kaczyńskiego z Dudą w sprawie prezesa TVP trwało parę godzin. Potem Kaczyński Dudę wykiwał. Czy to powtórzy? Nie miejmy złudzeń – środowe porozumienie obu Jarosławów to przecież nie koniec ich bitwy, tylko chwilowy rozejm.

Zauważmy, że Gowin nie wykonał ruchu, który wszyscy mu suflowali – nie zawalczył o stanowisko marszałka Sejmu. Gdyby nim został, byłby dla Kaczyńskiego praktycznie nietykalny, jego pozycja niezależnego polityka byłaby zinstytucjonalizowana. Ale tak daleko nie chciał się posunąć. Dlaczego? Czy bał się, że gdy dojdzie do prawdziwego głosowania, tego decydującego, nikt przy nim nie zostanie, więc wolał nie ryzykować? A może dlatego, że nie chciał palić mostów? Nie chciał przecinać związków z obozem Zjednoczonej Prawicy? Bo tam widzi sprzymierzeńców.

Tego jeszcze nie wiemy. Choć wiadomo, że w najbliższych tygodniach Gowin będzie musiał zrobić porządek w swojej partii. Pozbyć się tych, którzy w godzinie próby wybrali PiS – czyli europosła Adama Bielana i wiceministra Zbigniewa Gryglasa. Zresztą to, że ten drugi będzie usunięty z Porozumienia, zostało już ogłoszone.

Politycy Porozumienia, ci, którzy postawili się PiS, wielkiego wyboru już nie mają. Wiedzą, że walka trwa. Że tylko zjednoczeni, niepodzieleni będą w stanie przeciwstawić się Kaczyńskiemu i wymuszać na nim kolejne ustępstwa. W przeciwnym razie zostaną błyskawicznie skonsumowani.

Innymi słowy, Gowin kontrolujący od sześciu do 12 posłów jest dla Kaczyńskiego partnerem, z którym zawiera się umowy. A potem ich się dotrzymuje. Gowin sam – nie znaczy nic.

Gowin, buntując się przeciw Kaczyńskiemu, nie był sam. Miał wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy cichych sojuszników.

To wszystko jest zapowiedzią kolejnych bitew wewnątrz Zjednoczonej Prawicy. Zresztą nie tylko z powodu wojen różnych koterii, ale i z przyczyn politycznych. Nieunikniony nadchodzący kryzys gospodarczy stawia na porządku dziennym

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER (2)

eprasa.pl e2e639bf4b

pytanie, czyim kosztem będziemy się ratować. Które grupy społeczne będą płacić? Gowin i na pewno środowiska związane z Morawieckim mówią: trzeba chronić przedsiębiorców, bo oni nas będą wyciągać z kryzysu. Z kolei Beata Szydło i bliscy jej działacze PiS są bardziej nastawieni na tych mniej zasobnych. Kto wygra spór?

W ten sposób na monolicie pojawiają się rysy.

•

Oczywiście wybory prezydenckie, które odbędą się za parę tygodni, i związana z nimi kampania te rysy przysłonią. Ale już dziś możemy wpisać Andrzeja Dudę na listę najbardziej poturbowanych środowym porozumieniem. Prezydent uczestniczył w TVP w debacie kandydatów do prezydenckiego fotela, prezentował się, dyskutował, a w tym czasie Kaczyński z Gowinem dopinali umowę o przesunięciu wyborów. Trudno o bardziej dosadne pokazanie, jak mało Andrzej Duda w obozie prawicy znaczy – jego rola sprowadza się do podpisywania ustaw i robienia dobrego wrażenia podczas podróży po Polsce.

Owszem, sondaże dają dziś Dudzie zwycięstwo. Zwłaszcza że w ostatnich miesiącach jedynie on prowadził kampanię. Jego konkurenci z powodu epidemii mogli się udzielać wyłącznie w internecie. Ale to są tylko sondaże. I to przeprowadzane w tym czasie, gdy największa partia opozycyjna wzywała do bojkotu wyborów.

Za miesiąc sytuacja może być zupełnie inna. Szczególnie że nastroje falują. A PiS, upierając się przy majowych wyborach, zaliczyło wizerunkowy zjazd. Druga tura, jeśli do niej dojdzie, może się okazać dla Dudy klęską. Bo w gronie sympatyków opozycji coraz popularniejsze jest przesłanie: w drugiej turze głosujemy na każdego, byle nie na Dudę.

W ten sposób Kaczyński w parę tygodni może stracić większość swojej władzy. Może stracić powolnego mu prezydenta. Może stracić poparcie w społeczeństwie. Może stracić posłuch w obozie prawicy. I większość w Sejmie.

Na tylu frontach przyszło mu toczyć boje.

Robert Walenciak

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

No i po/przed wyborach/mi

Są wybory, nie ma wyborów, jest Państwowa Komisja Wyborcza, ale nie ma Państwowej Komisji Wyborczej, bo jest Poczta Polska, która ma nowego prezesa, który przeprowadzi wybory, których nie ma, nie było. Prezes czeka, prezes pozostaje w dyspozycji prezesa, własnoręcznie pakuje pakiety wyborcze. Zaraz będzie je rozpakowywał. Nie ma wyborów, ale jest cisza wyborcza. Jak mawiał klasyk, czego nie rozumiesz? Jest pandemia koronawirusa czy nie ma? I jest, bo maseczki na gębach, tramwaje i autobusy półpełne, zakaz zgromadzeń, innych chorych się nie leczy, sanepid wlepia nieodwoływalne 30 koła kary, policja pilnuje skrzynki pocztowej Jarosława Kaczyńskiego, bo może przyjdzie listonosz nocą; i nie ma pandemii, bo gdyby była, to wprowadzono by stan klęski żywiołowej, co pozwala wybory przełożyć, przesunąć, a i duże sklepy otwierają, te galerie, te muzea, te świątynie. A lasy już otwarte. I morza, i oceany (nie zamknęli oceanów – doceń, zamiast krytykować).

Przecież nawet nie wiadomo, czy śmialibyśmy się, gdyby to wszystko było wymysłem jakiegoś szalonego komika, satyryka czy raczej stand-upera – ale nie jest, to fakt na fakcie faktem poganiany.

Po raz pierwszy od 30 lat (a tak naprawdę od ponad 70 – PRL nigdy nóżka tak się nie powinęła) nie ma wyborów, które zostały ogłoszone, nie zostały ogłoszone istniejące akty prawne, które pozwalałyby wybory przesunąć. Dlaczego? Nie wiemy. Bo Jarosław Kaczyński, szeregowy poseł, nie chciał, i to wystarczyło. To znaczy, że państwa nie ma, jest aparat przemocy stojący na baczność przed dyktatorem i tysiące służalców. Pomyślałby kto, że podryfujemy w stronę prezesarchii? Skąd mamy mieć przekonanie, że inne prawa są obowiązujące, skoro nie udaje się przeprowadzić demokratycznych, precyzyjnie opisanych w konstytucji wyborów prezydenta? Prezydenta, który równocześnie będąc kandydatem na kolejnego prezydenta, bierze udział w debacie kandydatów na prezydenta (i jednej kandydatki), ewidentnie nie wiedząc, że wybory, w których prezydent ma zostać prezydentem na kolejną kadencję, po prostu się nie odbędą. Pręży się, zachwala, pod niebiosa wynosi zasługi nieswoje, przewiny skrywa, niedotrzymane obietnice pokrywa milczeniem, pucołowatością marionetki się szczerzy, a w tym czasie dwóch zwykłych posłów skrzypi piórami, że jednak nie będzie wyborów, bo muszą wziąć odpowiedzialność za Polskę.

A Polska co na to?

A Polska murem podzielona, Polska zdziwiona, zniesmaczona, pogubiona, zachwycona, wspierająca, rozedrgana, wzmożona i apatyczna. Polska ma dysonans poznawczy, bo jakby jej programowanie wyłączono. Bo nie przywykła, bo nikt jej nie uprzedził, bo nikt nie szepnął słówka, nikt jej nie przedstawił zaburzonemu chaosowi, nikt ich ze sobą nie oswoił. A prezes pojedzie na zamknięty Wawel i bratu opowie o swoim sukcesie i swojej ponadposelskiej mocy odwoływania konstytucyjnych wyborów. I poprosi o błogosławieństwo i *in blanco* na kolejne pomysły. Po co nam państwo, kiedy mamy taki skarb ponad wszystko większy i potężniejszy? Dlaczego my jeszcze czegoś chcemy, skoro wielkości burzyciela wszystkiego, czego się dotknie, docenić nie potrafimy?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e2e639bf4b

Jakub Dymek

Wszystkie spiny prawicy

Echa na prawicy powtarzają dziś trzy hasła: gorzki kompromis, zjednoczenie ponad wszystko i wzięcie odpowiedzialności

W tej kampanii (nie)wyborczej prawica grała tak naprawdę na dwóch boiskach jednocześnie. Nie chodziło wyłącznie o to, żeby zapewnić Andrzejowi Dudzie reelekcję. Zjednoczona Prawica walczyła również o przetrwanie tego czasu jako formacja faktycznie zjednoczona, wbrew chwiejnej postawie koalicjantów i kruchej większości sejmowej. Gdyby cokolwiek poszło nie po myśli rządzących, trzeba było mieć pod ręką nie tylko gotowe analizy prawników, ale i medialne spiny całej sytuacji.

Mimo tych starań błyskawiczne rozstrzygnięcia czwartkowego wieczoru mogły zaskoczyć wszystkich. Ledwie zakończyła się debata „wyborcza" w TVP, a już wiedzieliśmy, że wybory się nie odbędą. Kto teraz najlepiej zakręci tym tematem? Przy takich okazjach prawicowy internet – media, kanały na YouTubie, tweety i portale – jest źródłem wprost nieocenionym.

Echa na prawicy powtarzają dziś trzy hasła: gorzki kompromis, zjednoczenie ponad wszystko i wzięcie odpowiedzialności. Co one tak naprawdę znaczą i co z tego wynika?

Tak „Wiadomości" TVP prezentowały sondaż Estymatora zrobiony dla dorzeczy.pl z pytaniem: „Jak oceniasz działalność rządu?".

Hasło dnia: gorzki kompromis

„Czy uda się zasypać podziały w Zjednoczonej Prawicy? Czy to da się jeszcze mocno skleić? Czy ta konstrukcja może znów zacząć sprawnie działać? Czy zawarty kompromis to uznanie, że obie strony potrzebują siebie, czy też odłożenie rozgrywki?", dopytuje na portalu wPolityce.pl Jacek Karnowski. Pytania te mają jednak wyłącznie retoryczny charakter. Naczelny tego portalu natychmiast przechodzi do pełnego troski o los koalicji dyscyplinowania nierozważnego Jarosława Gowina. Ten bowiem, tłumaczy Karnowski, „zapędził się w sprawie, która nie była tego warta", a dziś przecież powinien być mądrzejszy, skoro widzi, że „dorobek jego życia – a więc Porozumienie – rozlatuje mu się w rękach i z silnej partii obozu władzy pozostaje mu garstka lojalnych towarzyszy".

Spójność zostanie zachowana, a wygrana Andrzeja Dudy to zagwarantuje. „To dobra wiadomość", uspokaja Karnowski. Ciekawe jednak, że – w trwającym nie od wczoraj procesie marginalizacji urzędu prezydenta RP – teraz w elekcji Dudy chodzi już tylko o zagonienie krnąbrnych owieczek z powrotem do stada. Wygrana Dudy nie jest najważniejszym celem udanej kampanii prezydenckiej. Odwrotnie, kampania i zakończone sukcesem wybory są zaledwie środkiem do spacyfikowania wewnętrznych tarć. I wybicia z głowy buntu niedoszłym renegatom z Porozumienia.

To, jak ważne okazało się zachowanie jedności wewnątrz obozu władzy, widać po najbardziej nawet pobieżnej lekturze komentarzy. Debata? Jaka debata? Odwołanie majowych wyborów? Jakich tam wyborów? Fakt, że PiS właśnie porzuciło w mgnieniu oka najważniejszy dogmat ostatnich miesięcy – wybory w maju muszą się odbyć – znika z pola widzenia zupełnie. „Wygrał zdrowy rozsądek, który nie pozwolił na rozbicie Zjednoczonej Prawicy, co w dalszej perspektywie doprowadziłoby zapewne do przyśpieszonych wyborów parlamentarnych. Taki scenariusz musiałby zakończyć się katastrofą – pisał na stronach tego samego wPolityce.pl Kamil Kwiatek. – Na szczęście liderzy Zjednoczonej Prawicy mają tego świadomość i zdecydowali się zrobić krok w tył i poszukać porozumienia".

Jak zauważali w komentarzach na Facebooku prof. Antoni Dudek i publicysta Piotr Zaremba (obaj konserwatyści), doszło do natychmiastowej wolty: wczoraj nawoływanie do przełożenia wyborów było niekonstytucyjną zdradą, dziś odwołanie wyborów jest wyrazem największego patriotyzmu i koniecznością.

„A ja chcę widzieć miny tych pobożnych patriotów, którzy, także i tu, pohukiwali, że tylko majowe wybory, albo zagłada państwa. (...) Że nie cofniemy się ani o krok. Teraz powinni zjeść swoje kapelusze (o ile je mają). Ale oczywiście z minuty na minutę zmienią narrację i pomaszerują w innym kierunku, sławiąc zalety kompromisu jako wartości. Bo są tylko mięsem armatnim partii rządzącej", pisał Zaremba.

Kapeluszy nie zjedzą – do niedawna przyjaciel i szef Zaremby w tygodniku „Sieci" Michał Karnowski, brat cytowanego wyżej Jacka, chwalił już

eprasa.pl e2e639bf4b

kolejnego poranka „mądrość kompromisu wielkiego obozu Jarosława Kaczyńskiego i małego oboziku Jarosława Gowina” na antenie internetowego radia Wnet.

Westchnienia ulgi i ucieczka spod topora

Wiceminister rozwoju Krzysztof Mazur – niegdyś szef konserwatywnego, choć niezależnego od PiS Klubu Jagiellońskiego – jeszcze w dzień debaty „wyborczej” dał znać na jednej z anten, że Zjednoczona Prawica się nie rozpadnie. Głos Mazura sprowokował podobne deklaracje, a hasło „naprawdę zjednoczonej prawicy” szybko rozeszło się po sieci.

Narrację o tym, że gowinowcy samodzielnie, bez PiS, nie mają czego w polityce szukać, mocno podbijała też TVP. Jeden z materiałów przypominał widzom – na podstawie błyskawicznie opracowanego sondażu – że koalicja ma 50 (!) razy większe poparcie niż Porozumienie jako osobna partia. Pokazywane w TVP słupki zdążyły zresztą stać się własną karykaturą – nowa moda każe je pokazywać tak, aby poparcie dla PiS dosłownie górowało nad prezenterem lub prezenterką, sięgając szczytu telewizyjnego ekranu, podczas gdy słupek poparcia dla innych sił znajduje się gdzieś na wysokości butów (patrz zdjęcia).

Ale głos Mazura i innych stronników Gowina tak naprawdę jest nade wszystko westchnieniem ulgi. Bo to szef Porozumienia wystawił się na cios i on ostatecznie wyszedł z rządu, a zaczął spotykać się z opozycją. Pozostali, jak minister Emilewicz, nie byli skłonni ryzykować posad dla tego czy innego terminu wyborów. I to oni „głośno milczeli”, gdy trwały najdramatyczniejsze negocjacje. Po czwartku zaś najbardziej entuzjastycznie rzucili się do pisania, że w „jedności siła”.

Stefan Sękowski, zastępca redaktora naczelnego „Nowej Konfederacji” i autor związany z Klubem Jagiellońskim, a więc publicysta tego samego środowiska, odpisał dawnemu koledze równie lakonicznie, jak brutalnie: „Nie ma [sobie nawzajem] czego gratulować. To jest ten rodzaj »konserwatyzmu«, który przyzwala na wszystko w imię utrzymania się u władzy. Słabo, bardzo słabo”.

Jednak głosy krytyki, takie jak Sękowskiego, są w mniejszości. Sygnałów, że Gowin staje się coraz bardziej odosobniony i że coraz mniej osób chce za jego pomysł umierać, było po prawej stronie internetu więcej. Jako lojaliści rządu ujawnili się w mediach związani z Porozumieniem Jacek Żalek i Kamil Bortniczuk, publicznie narzekający na swojego szefa w TV Republika i na Twitterze. Na łamach „Do Rzeczy” dołożył swoje m.in. Jan Parys. Kulminacją tych napomnień i niewyrażanych wprost gróźb był 6 maja – ten sam dzień, gdy ogłoszone zostało porozumienie (*nomen omen*) Gowina i Kaczyńskiego. Potem – przynajmniej na chwilę – ucięto je jak nożem.

Odpowiedzialność znaczy „kampania”

I jeszcze jedno. Otóż przełożenie wyborów i „wzięcie odpowiedzialności za państwo” jest sukcesem władzy, nie żadną koncesją – ani na rzecz Gowina, ani tym bardziej opozycji czy Europy. Wiele mówi kuriozalny tekst zamieszczony na portalu wPolityce.pl, atakujący rzecznika praw obywatelskich za jego ostatni wywiad. Adam Bodnar podziękował bowiem „tym, którzy mieli odwagę, by protestować, i mówili, że wybory nie mogą się odbyć w takiej formie i w takim momencie. (…) Mam na myśli obywateli, dziennikarzy, OBWE, ale też polityków”. Anonimowy autor serwisu gorszy się postawą Bodnara, który nie chce „w swoim ideologicznym i politycznym zacięciu przydać też racji także politykom PiS”. Skandal!

W tej logice fakt, że wyborów nie będzie (tak samo jak to, że mogły być), jest dowodem na skuteczność i odpowiedzialność Zjednoczonej Prawicy. A sama decyzja o ich przełożeniu jest elementem kampanii Dudy, która zdaje się nie kończyć i nie zatrzymywać. Jeszcze bowiem tego samego dnia ukazał się (odpłatnie) artykuł prezydenta w dzienniku „Washington Post”. Media prawicy pokornie go zrelacjonowały, ogłosiły również zwycięstwo Andrzeja Dudy w debacie (przed wyborami, które się nie odbędą) i pochwaliły go za to, że nie podpisze (wyłącznie hipotetycznej) ustawy o małżeństwach jednopłciowych. I chyba nie powinno dziwić, że kilkanaście godzin po odwołaniu wyborów rzecznik PiS, jak gdyby nigdy nic, zorganizował konferencję prasową poświęconą kampanii.

Nie dalej jak dwa tygodnie wcześniej prezydent wzywał Jarosława Gowina do odpowiedzialności, a to wezwanie powtórzyli za nim dziennikarze i tytuły prawicy. Gowin ostatecznie je przyjął. I teraz, jak w tej wyliczance z początku tekstu: najpierw gorzki kompromis, potem wzięcie odpowiedzialności, na końcu zjednoczenie ponad wszystko. Spin jest gotowy na każdą okazję, a kampania – choćby nie było wyborów – trwa w najlepsze. ■

FOT. TWITTER/TVP (2)

eprasa.pl e2e639bf4b

Kapitalizm po epidemii

Główne koszty pandemii poniosą jak zwykle najsłabsi. Ci, których najłatwiej się pozbyć

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. ANDRZEJ SZAHAJ
– filozof polityki i kulturoznawca, profesor zwyczajny Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, autor m.in. książek: „Inny kapitalizm jest możliwy" (2016), „Neoliberalizm, turbokapitalizm, kryzys" (2018), „Kapitalizm wyczerpania?" (2019).

Tak wiele się mówi i pisze o potędze współczesnego kapitalizmu, tymczasem na naszych oczach została ona zachwiana. Rządy wielu krajów wszystko pozamykały w imię walki z epidemią koronawirusa. Kto więc jest silniejszy – kapitalizm czy rządy?

– W krótkiej perspektywie rządy i państwa, w dłuższej pewnie jak zwykle kapitalizm. Wielki francuski historyk i filozof Michel Foucault sformułował kiedyś następującą alternatywę: albo rynek kapitalistyczny sprawuje nadzór nad państwem, albo państwo nad rynkiem. Od czasów Reagana i Thatcher mamy do czynienia z tą pierwszą sytuacją. Państwa stopniowo wycofywały się z pełnienia swoich tradycyjnych funkcji, w tym nadzoru nad rynkami. Choć wiadomość o ich śmierci jest z pewnością przesadzona, co pokazuje ostatnia pandemia, niewątpliwie ich moc nadzorcza wobec kapitalizmu znacznie osłabła. Oczywiście w różnych miejscach świata wygląda to różnie.

Jak różnie?

– Diagnoza ta stosuje się raczej do Zachodu i częściowo Ameryki Południowej, ale już nie do Azji. Trzeba koniecznie zauważyć, że w wielu miejscach trudno było w ogóle mówić o jakiejś konfrontacji dwóch różnych elementów kierujących się odmienną logiką działania. Ogromny sukces neoliberalizmu i zasada obrotowych drzwi (ludzie z biznesu szli do agend rządowych, a ci z agend rządowych do biznesu) spowodowały, że same państwa stały się neoliberalne. Ideologia neoliberalizmu do głębi przeniknęła także Unię Europejską. W tym sensie trudno mówić o jakiejś kontroli, nadzorze, regulowaniu itd. Trzeba mówić raczej o trwającej dziesięciolecia symbiozie państwa i kapitalizmu. W moim przekonaniu – fatalnej w skutkach.

Wydaje mi się, że na działania rządów wpłynęły obawy przed epidemią i reakcją opinii publicznej. Jaka jest więc siła opinii publicznej? A może to efekt tego, że łatwo ją nastraszyć?

– Nie wiem, czy istnieje w ogóle coś takiego jak jedna opinia publiczna. Społeczeństwa są dzisiaj niezwykle podzielone pod każdym względem. Dlatego do rządzących płyną sprzeczne sygnały. Są one wyrazem sprzecznych interesów i niezgodnych ze sobą idei. W przypadku pandemii chodzi z grubsza o interes ekonomiczny wielu podmiotów rynkowych zderzony z interesem zdrowotnym obywateli. Przy czym w wypadku podmiotów małych, np. związanych ze sferą usług, jest to sytuacja wręcz tragiczna, bo ich ewentualna aktywność gospodarcza jest związana z olbrzymim osobistym ryzykiem zdrowotnym. W wypadku podmiotów wielkich, takich jak światowe korporacje, ich właściciele czy najwięksi udziałowcy raczej nie ryzykują własnym życiem, więc dla nich te decyzje są psychologicznie łatwiejsze. Większość z nich zapewne sądzi, że jak zwykle wykupi się od skutków kryzysu. Mają ogromne posiadłości wiejskie lub prywatne wyspy, dokąd można uciec. Nie sądzę, aby specjalnie się przejmowali losem pracowników.

Kto zatem jest ofiarą pandemii? Mamy informacje, że epidemia i zamrożenie gospodarek najmocniej dotyka najmniej zarabiających, tych na śmieciówkach, bez poduszki finansowej.

– Nie ma wątpliwości, że główne koszty pandemii poniosą jak zwykle najsłabsi. Przede wszystkim pracujący na śmieciówkach, od zlecenia do zlecenia, przy tzw. projektach i innych formach pracy prekaryjnej, czyli niepewnej i pozbawionej jakiejkolwiek stabilizacji. Wszyscy, których nie chronią stosowne przepisy związane z urlopami, okresami wypowiedzenia itd. Ci, których najłatwiej się pozbyć. Ale tym razem kryzys może się okazać katastrofą także dla ludzi zatrudnionych na etatach. W wielu miejscach z pewnością nastąpi ich redukcja, nie mówiąc już o fali bankructw, której niestety można się spodziewać, szczególnie w gałęziach gospodarki najbardziej dotkniętych skutkami ekonomicznymi pandemii, np. w turystyce czy szeroko rozumianej sferze usług związanych ze spędzaniem wolnego czasu.

Jaki więc kapitalizm czeka nas po epidemii? Czy społeczeństwa będą w stanie łagodzić jego patologie?

– Stoimy na rozstaju dróg. Z jednej strony, każdy kryzys jest szansą na zmianę, z drugiej – istnieje naturalna pokusa, aby powrócić jak najszybciej do tego, co było. W tym sensie najbliższe miesiące i lata będą bardzo ciekawe, a rezultat rozstrzygnięcia zarysowanego powyżej sporu między siłami starego i nowego za-

Wspólnie produkujemy pokolenie, które zmarnuje sobie życie w kieracie pracy często pozbawionej sensu.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

decyduje o naszych losach na lata. Przy czym w moim przekonaniu, jeśli powrócimy w stare koleiny neoliberalnego turbokapitalizmu, ostateczna katastrofa jest nieunikniona, przede wszystkim klimatyczna, ale także ekonomiczna i społeczna.

A powrócimy?

– Niestety, możliwość powrotu do tego, co było, jest bardzo prawdopodobna. Stoją za nią wielkie interesy i wielkie pieniądze, prywatne i korporacyjne, które niewątpliwie zostaną uruchomione, aby nic się nie zmieniło, tak jak nic się nie zmieniło po ostatnim kryzysie finansowym. A przecież powinniśmy szukać nowych rozwiązań.

Jak szukać?

– Kłopot w tym, że w wyniku ograniczenia naszej wyobraźni społecznej przez zbiorowe pranie mózgu, jakie nam zafundowano przez ostatnie kilkadziesiąt lat, straciliśmy zdolność projektowania innych światów ekonomicznych i społecznych. Myśl utopijna, która ma moc pobudzania naszej wyobraźni, wyraźnie zwiędła. Być może obecny kryzys ją pobudzi. Dopóki jednak nie będziemy dysponowali nowymi propozycjami ustrojowymi, które dawałyby szanse na jakiś inny świat, a jednocześnie nie groziły utratą tego, co dobre w dzisiejszym, warto powrócić do rozwiązań onegdaj sprawdzonych. Myślę tutaj o nadzorze nad rynkiem kapitalistycznym, sprawowanym przez silne i niezależne państwo, o gospodarce mieszanej z silnym i dobrze zarządzanym sektorem państwowym, o rozbudowanym państwie socjalnym z dobrymi usługami społecznymi, które mogłoby zaspokoić niewątpliwie rosnący w wyniku epidemii popyt na bezpieczeństwo.

Myśli pan o tradycyjnym modelu socjaldemokratycznym?

– Pewien wzór mogą tu wciąż stanowić państwa skandynawskie. Osobnym problemem jest przejście do tzw. gospodarki postwzrostu. Dziś bowiem widać wyraźnie, że idea wzrostu za wszelką cenę, która towarzyszyła nam przez ostatnie 200 lat, nie ma już racji bytu, choćby ze względów ekologicznych. W tym kontekście kapitalnego znaczenia nabiera kwestia podziału wypracowanego bogactwa, a także jakości życia. Tort do podziału prawdopodobnie będzie mniejszy, dlatego trzeba bardzo zadbać, by ten podział był sprawiedliwy. Ważne jest również jego mądrzejsze tworzenie, pozbawione tak dziś rozpowszechnionych, a niszczących naszą psychikę i tkankę społeczną koncepcji hiperkonkurencji, pracy pozbawionej ram czasowych czy wreszcie oczekiwania, aby oddawać się jej w całości, duszą i ciałem. Absolutnie nie do przyjęcia jest dzisiejsza skala nierówności społecznych. Państwa i organizacje międzynarodowe, np. Unia Europejska, muszą powrócić do polityki ich zdecydowanego łagodzenia, chociażby przez stosowny system podatkowy. Trzeba też sięgnąć do rozwiązań dawno proponowanych, które jednak dotąd nie znalazły stosownego oddźwięku, takich jak dochód podstawowy czy podatek od operacji finansowych, który mógłby znacznie osłabić niszczącą moc hulającego po świecie kapitału spekulacyjnego. Należy zlikwidować wszystkie raje podatkowe i opodatkować wielkie korporacje międzynarodowe, z internetowymi na czele.

Będziemy mieli do czynienia z inną globalizacją. Bardziej uczciwą i sprawiedliwą, w której najbardziej jaskrawe formy wyzysku zostaną wyeliminowane.

Państwa i UE muszą wrócić do polityki łagodzenia nierówności, chociażby przez stosowny system podatkowy.

Wszystkie te propozycje są od dawna znane.

– Od dawna również wiemy, jakie są przyczyny naszych licznych kłopotów związanych z neoliberalnym turbokapitalizmem. Jednak aż do dziś była to wiedza wypierana. Robiono też wiele, aby ją zdyskredytować i ośmieszyć. Maczali w tym palce pospołu politycy, ekonomiści i dziennikarze. Jednak coś chyba się zmienia, skoro już nawet „Financial Times", organ wielkiego kapitału, dostrzega konieczność zmian. Gdy zrobi to także Forum Obywatelskiego Rozwoju i red. Witold Gadomski, uznam, że zmiana jest naprawdę możliwa.

A co z globalizacją?

– W obecnej formie jest z pewnością nie do utrzymania. Doprowadziła *de facto* do całkowitego uzależnienia sporej części świata od Chin. I to musi się zmienić. U źródeł jej powodzenia leżało bardzo niemądre założenie, że taniej to zawsze lepiej. I paskudna idea outsourcingu czyniąca z przedsiębiorstw zlepek pracowników, którzy w każdej chwili mogą zostać zastąpieni tańszymi. W ten sposób pogrzebano ideę przedsiębiorstwa jako dobra wspólnego, a z ludzi zrobiono wymienialne trybiki w maszynie, która ich używa, by następnie wypluć jako zbędnych.

Czy rozwiązaniem jest powrót do państw narodowych, czy raczej inna globalizacja?

– Czy globalizacja jako taka odejdzie w przeszłość? Nie sądzę. Międzynarodowy podział pracy zaszedł zbyt daleko. Można mieć jedynie nadzieję, że będziemy mieli do czynienia z inną globalizacją. Bardziej uczciwą i sprawiedliwą, w której najbardziej jaskrawe formy wyzysku zostaną wyeliminowane. Jednak może to się stać tylko wtedy, gdy międzynarodowe korporacje dbające wyłącznie o zysk zostaną podporządkowane jakimś sensownym regulacjom, wprowadzającym np. cywilizowane normy zatrudnienia i ochrony pracy w takich krajach jak Bangladesz. Nie ma co liczyć na dwóch z trzech głównych graczy polityki międzynarodowej, czyli USA i Chiny. Inicjatywę musi przejąć trzeci gracz – Unia Europejska. Tylko ona może wymusić zmianę reguł gry. Musiałaby jednak być znacznie silniejsza i bardziej zwarta. Poradzić sobie ze swoim neoliberalnym dziedzictwem i sprzecznością interesów narodowych, które ją obecnie rozrywają. Z pewnym charakterystycznym dla jej działania marazmem i brakiem zdecydowania oraz tysiącami lobbystów wielkiego kapitału okupujących korytarze jej brukselskiej siedziby. Nie jestem tutaj zbytnim optymistą.

Wciąż więc będą się pogłębiały nierówności i nasze dzieci będą miały gorzej niż my?

– Los ludzi młodych jest nie do pozazdroszczenia. I to od dawna. To oni także mogą się stać ofiarami dzisiejszego kryzysu. Zresztą od dawna mówi się, że mamy pierwsze pokolenie,

eprasa.pl e2e639bf4b

które będzie miało w życiu gorzej niż rodzice. Dlatego niezbędny jest cały system wsparcia dla młodych, z tanim budownictwem na wynajem na czele. Ogromnie ważna, kluczowa dla młodych rodzin, jest jakość usług publicznych, choćby takich jak żłobki i przedszkola. Troska o klimat, wszak to na młodych spadną skutki ewentualnej katastrofy klimatycznej. Ale ważne jest także przewartościowanie ideowe naszej edukacji.

To znaczy?

– Nie można dłużej przygotowywać dzieci i młodzieży do bezlitosnego, hiperkonkurencyjnego kapitalizmu. Trzeba na nowo odkryć wartość współpracy, wzajemnej pomocy i solidarności. Na razie stan umysłów części młodych ludzi może zatrważać. Jak pokazały badania prof. Adama Mrozowickiego z Uniwersytetu Wrocławskiego oraz popularność wśród młodych takich postaci jak Janusz Korwin-Mikke, spora grupa domaga się więcej kapitalizmu w kapitalizmie, jest nastawiona na bezwzględną konkurencję i myśli o świecie w kategoriach darwinistycznych. Fakt, z czasem im to przechodzi, ale i tak musi to budzić zdumienie i trwogę. Wiele też mówi o naszym systemie edukacji i o systemie wartości rodziców, z których sporo całkowicie zatraciło jakiekolwiek poczucie tego, co naprawdę ważne w życiu, nakłaniając swoje dzieci do myślenia o sobie jak o małym przedsiębiorstwie, którym trzeba efektywnie zarządzać. W ten sposób wspólnie: rodzice, szkoła, uczelnie oraz kultura masowa z istotnym wsparciem mediów, produkujemy pokolenie, które zmarnuje sobie życie w kieracie pracy często pozbawionej sensu.

Być może jednak i młodzi wreszcie się ockną, porzucą hiperindywidualistyczne nastawienie, tak charakterystyczne dla dzisiejszej kultury spektaklu i idiotycznego celebrytctwa, i zdobędą się na bunt w imię swoich interesów grupowych, a zarazem interesów ludzkości, chociażby ochrony klimatu. Przestaną akceptować wmawiany im od lat pogląd, że jeśli ponoszą klęskę, to coś jest nie tak z nimi, a nie ze światem. Przestaną wierzyć w bajki o skapywaniu bogactwa z góry na dół i o tym, że każdy jest kowalem swojego losu, i zabiorą się do zmieniania systemu, zamiast wpisywać się w jego wymogi. Oby tak było.

Robert Walenciak

EDWARD BRZOSTOWSKI – człowiek wielkich projektów i czynów

Żegnam Edwarda Brzostowskiego. Odszedł człowiek, którego życie, charakter i osiągnięcia dowodzą, jak fałszywe, niemądre jest popularne powiedzenie, że nie ma ludzi niezastąpionych. Edward był niezastąpiony, wyjątkowy i niepowtarzalny. Poznaliśmy się w połowie lat 80. Jako ministra do spraw młodzieży zaprosił mnie do Dębicy, do Igloopolu, który wtedy, w trudnym czasie, był przykładem sukcesu ekonomicznego, nadzieją na rynku niedoborów, pożądaną marką w Polsce i za granicą. Z podziwem patrzyłem na obiekty, trwającą pracę, czekające na towar chłodziarki. Spotkałem też pracowników Igloopolu i najbliższych współpracowników Edwarda. Darzyli Go szacunkiem, a przecież nie był człowiekiem łatwym. Wymagający, czasem apodyktyczny, nie uznawał dyplomacji – prawdę walił prosto z mostu, cenił tych, którzy są gotowi realizować z Nim wielkie projekty, nie znosił zawistników i tych, co zawsze wiedzą, że „to nie może się udać".

Byliśmy także w Sieniawie. Tam Edward odbudował pałac z wieloletniego zniszczenia. Przed naszym przyjazdem nad pałacowym parkiem przeszła trąba powietrzna i zniszczyła dziesiątki starych dębów. Byliśmy przygnębieni, a Edek powiedział: „Wszystko można zbudować, odbudować, ale tej straty naprawić nie możemy. To boli".

Od tego czasu utrzymywaliśmy stały kontakt, współpracowaliśmy, spotykaliśmy się i przyjaźniliśmy. Z naszych rozmów wiem, że Edward kochał na swój sposób Dębicę. Tu wybudował znaczną część miasta, z domem kultury, pływalnią, lodowiskiem, szkołami i przedszkolami. Tu wybrany został na burmistrza, rezygnując z mandatu posła na Sejm. Zamienił stare koszary w ratusz, galerię sztuki, bibliotekę, budynki mieszkalne. Tak jak mówił, „wszystko można zbudować i odbudować".

Edward był człowiekiem lewicy. Od początku do końca. Nie zajmował się dylematami ideologicznymi. Chciał pomagać ludziom. Był człowiekiem awansu społecznego i chciał takie szanse dawać innym. Pragnął, by ludzie mieli pracę i byli godziwie wynagradzani. Igloopol był takim projektem. Własne zyski nie były dla Edwarda najważniejsze.

Był również człowiekiem sportu. W Igloopolu powstało 49 klubów sportowych, w tym pierwszoligowe drużyny piłki nożnej oraz boksu, ta druga dwukrotnie była mistrzem Polski. W latach 1985-1986 był prezesem Polskiego Związku Piłki Nożnej. Byłem w tym okresie ministrem sportu i pamiętam Go jako trudnego i energicznego partnera i rozmówcę. Chciał iść do przodu, nie patrząc na okoliczności i ograniczenia. Taki był.

Żegnam Edwarda Brzostowskiego. Człowieka wielkich projektów i czynów, który zostawił po sobie trwały ślad w Dębicy, Straszęcinie i w Polsce. Budował i odbudowywał. Tylko starych dębów uratować nie mógł. W ostatnich latach to On był tym starym dębem. Żegnaj, Przyjacielu. Będziemy o Tobie pamiętać.

Aleksander Kwaśniewski

5 maja 2020 r.

W poczuciu wielkiej straty żegnam

EDWARDA BRZOSTOWSKIEGO

Przyjaciela.
Wizjonera zamieniającego marzenia w dzieła.
Wybitnego menedżera, twórcę Igloopolu, nieuznającego filozofii „nie da się".
Prezesa PZPN, który dobrze znał wiejskie i małomiasteczkowe boiska.
Człowieka lewicy, wiernego jej przez całe życie.

Żonie i Rodzinie
głęboko współczuję
Jerzy Domański

FOT. KRZYSZTOF KAPICA/NOWINY/EAST NEWS

eprasa.pl e2e639bf4b

Z Galicji

Jan Widacki

Krajobraz po epidemii

Jaka będzie Polska po epidemii? Nikt nie wie, choć wszyscy na ogół są zgodni, że inna.

Zacznijmy od epidemii. Pierwszy przypadek koronawirusa odnotowano w Polsce 4 marca, minęły więc od tego czasu pełne dwa miesiące. Ile osób zmarło? Wedle danych z chwili, kiedy to pisałem, 716. Czyli dziennie umierało mniej więcej 12 osób. Ile osób dziennie umiera w Polsce w ostatnich latach? Średnio ok. 1,2 tys. Wygląda na to, że zgony z powodu koronawirusa to ok. 1% wszystkich śmierci. Czy to dużo? Nie wiem.

Czy gdyby nie te wszystkie obostrzenia, zmarłoby więcej? Zapewne tak. Ile razy czy o ile więcej? Nie wiem, nikt tego nie wie dokładnie. Epidemiolodzy mogą to co najwyżej szacować, a my możemy im wierzyć albo nie.

Czy wszystkie obostrzenia i ograniczenia były konieczne? Zapewne nie. Gdyby np. w Tatrach otwarte były dla turystów nie trzy doliny, ale wszystkie, zapewne mniejsze byłoby zagęszczenie spacerujących i tym samym niebezpieczeństwo zarażenia.

Czy zamiast pakować wszystkich, którzy przyjechali z zagranicy lub mieli kontakt z osobą zarażoną, na dwutygodniową kwarantannę, można by było sprawdzić ich testem i jeśli nie byliby zarażeni, zwalniać z niej? Teoretycznie tak. Nie wiem, dlaczego w ten sposób nie postępowano. Być może jednak nie można było, tylko ja nie znam powodów. Nie wiem też, dlaczego jazda na miejskim rowerze miała sprzyjać zarażeniu i dlatego jej zakazano, a na miejskiej hulajnodze elektrycznej nie sprzyjała i dlatego wypożyczania miejskich hulajnóg nie zaniechano. Nie wiem, dlaczego przez pierwsze tygodnie nie wolno było wchodzić do lasu (choćby samotnie), i to tylko do państwowego, a do prywatnego wolno było. Nie wystarczyłby zakaz chodzenia w grupach i nakaz noszenia maseczek oraz zachowania odstępów? Gdyby taki zakaz był respektowany, nie trzeba by zamykać lasów, parków itd.

Nakaz chodzenia w maseczkach początkowo był powszechnie respektowany, a policja reagowała na jego nieprzestrzeganie. Dziś wielu ludzi już go nie respektuje, a policja jakoś nie zwraca na to uwagi.

Oczywiście trzeba zrozumieć, że w takiej sytuacji znaleźliśmy się wszyscy (z rządzącymi włącznie) po raz pierwszy, stąd pewien chaos i nie zawsze przemyślane, a w konsekwencji nie zawsze logiczne i spójne przepisy. Kamperem może przez parę godzin jechać kilka osób, ale jak dojadą do celu, to na pustym kempingu razem biwakować już nie mogą.

To zrozumiałe, że ileś zakazów było (jest) na wyrost, ale powinno się je od razu korygować, co nie było regułą. Tak czy inaczej, ta epidemia kiedyś się skończy, jak kończyły się dotychczasowe, nieraz o wiele groźniejsze epidemie cholery, ospy czy nawet grypy hiszpanki. Doświadczenia z jej zwalczania przekażemy następnym pokoleniom – będą miały szansę być mądrzejsze.

Gorzej z gospodarką. Mimo wszystkich dziurawych tarcz antykryzysowych i lepszej czy gorszej (chyba jednak gorszej) pomocy państwa firmy będą plajtować. W Krakowie padnie np. wiele restauracji, kawiarni, hoteli i hosteli. One nie są w stanie przetrwać bez klientów dwóch miesięcy, a co dopiero dłuższej. Kiedyś ruch turystyczny odżyje, ale nie od razu. Na miejscu zamkniętych restauracji powstaną nowe, choć otwarte już najczęściej przez innych właścicieli. Wiele lokali po zamkniętych firmach jest dziś na sprzedaż. Tanio. Kto je kupi? Ktoś, kto ma większe pieniądze niż obecni właściciele i będzie mógł spokojnie czekać, aż ruch turystyczny się odrodzi.

Bogaci będą jeszcze bogatsi, a biedniejsi jeszcze biedniejsi. Nie bardzo widzę, aby lewica dostrzegała ten problem.

„Zwalniają? Znaczy, będą przyjmować", powiedział Lejzorek Rojtszwaniec i miał rację. Ale sytuacja na rynku pracy będzie taka, że ci nowi właściciele będą przyjmować pracowników za mniejsze pieniądze. Czyli bogaci będą jeszcze bogatsi, a biedniejsi jeszcze biedniejsi.

Nie bardzo widzę, aby lewica dostrzegała ten problem. A jeśli dostrzega i nic nie mówi (a nie mówi), to najwyraźniej nie ma żadnego pomysłu. Obawiam się, że na tym kapitał zbiją populiści.

Oby ta wizja się nie sprawdziła: rozwarstwienie społeczeństwa będzie większe niż dziś, a rządzić będą więksi niż dziś populiści.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl e2e639bf4b

EPIDEMIA PRZEMOCY

Dla wielu osób stosujących przemoc nakaz „zostań w domu" staje się instrumentem usidlenia ofiary

Ewa Smolińska-Borecka

Agnieszka. To oczywiście nieprawdziwe imię. Kobiety doświadczające przemocy w rodzinie nie chcą podawać swoich danych. Maseczka skutecznie zasłania jej twarz. Niech więc będzie Agnieszka. Opowiada o tym, jak poznała męża, jak przez kilka lat byli parą, pracowali, urządzali mieszkanie, wyjeżdżali. Zwyczajne życie.

– Owszem, przed ślubem zdarzało się, że mój partner zachował się wobec mnie nie w porządku, ale to były drobne przykrości – wspomina. – Kiedy coś przeskrobał, na przeprosiny obsypywał mnie prezentami. Gdybym mogła przypuszczać, jakie piekło mnie czeka, nigdy bym za niego nie wyszła. Teraz, w czasie epidemii, jesteśmy ciągle razem i to spotęgowało przemoc. Głównie psychiczną. Kiedy myślę, że tak miałoby być już zawsze, jestem przerażona. Jeśli dalej tak ma być, to lepiej, żeby mąż mnie wykończył.

Dręczy duszę

Co roku w Polsce przemocy domowej doświadcza ok. 90 tys. osób. Głównie kobiet i dzieci. W czasach izolacji, kiedy kontakt z psychologiem czy asystentem rodziny jest tylko zdalny, ojcowie, matki, mężowie, w ciałach których ukryli się oprawcy, dręczą swoje ofiary. Wiedząc, że przemoc karmi się milczeniem.

Mieli dla siebie niewiele czasu. On był zapracowanym menedżerem, Agnieszka pracowała w kilku firmach. – Już pół roku po ślubie, zanim urodziłam dziecko, zaczęły się awantury o pieniądze, choć ich nam nie brakowało – wspomina Agnieszka. – Kiedy moja opinia mu się nie spodobała, reagował agresją. Prosiłam, potem błagałam, żeby się uspokoił, płakałam, a na koniec – przerażona – kombinowałam, jak uciec z mieszkania. Zdarzyło się, że próbowałam wybiec z domu, ale on zamknął drzwi i zabrał klucz. Chwycił mnie za włosy, powalił na podłogę, kopał, wyzywał.

Do przemocy fizycznej dołączyła się psychiczna. – Bardzo trudno wytłumaczyć, na czym ona polega – twierdzi Agnieszka. – Trudno zrozumieć, że spojrzenie męża, gesty, sposób chodzenia mogą mnie stresować. Z czasem zaczęłam odczuwać lęk przed powrotem do domu. A teraz prawie z tego domu nie wychodzę. Cały czas przebywamy razem. Jest dramatycznie. Mąż ciągle ma pretensje, krytykuje wszystko, co robię. A to obiad mu nie smakuje, a to sprzątam nie tak. Mówi, że jestem nic niewarta. A na koniec stwierdza: „Ale i tak cię kocham". Kiedyś wychodziłam rano do pracy, gdzie jestem poważana i lubiana. I te dobre godziny w pracy jakoś przykrywały te złe w domu. Teraz pracuję zdalnie, nie mam odskoczni. Na dodatek to on teraz – tak zdecydował – robi zakupy. Mówi, że to z troski, żebym się nie zaraziła. Ale faktycznie kontroluje wydatki. Kupuje to, co on uzna za stosowne. Ja nie mam nic do powiedzenia.

Przypadek Agnieszki potwierdza, że przemoc nie jest przypisana do rodzin patologicznych, nadużywających alkoholu. Może występować w każdej rodzinie. Same kobiety niechętnie się przyznają do jej doświadczania. Kiedy rozmawia się z tymi, które znalazły schronienie w ośrodkach interwencji kryzysowej albo w domach dla matek z dziećmi, nie przytakną, że są tam z powodu przemocy. – Nie, mnie to nie dotyczy – mówią, ale też nie wyjawiają, dlaczego w czasach epidemii znalazły się w ośrodku. Opowieści o przemocy można znaleźć na portalach organizacji pomocowych.

Anna: „Po urodzeniu córeczki zostałam pierwszy raz pobita przez męża. Rok później urodziłam drugą córeczkę. Gdy malutka miała dwa czy trzy miesiące, mąż podniósł na mnie rękę po raz drugi. Kiedy urodził się synek, zdobyłam się na odwagę i zaczęłam poważnie rozmawiać o naszej sytuacji. Ogromnie się wzburzył, choć nie był pod wpływem alkoholu. Popchnął mnie na łóżko, a potem, na oczach dzieci, rzucił na ścianę".

Ewa: „Bił tak, że często traciłam przytomność. Bił również dzieci.

eprasa.pl e2e639bf4b

Nie dawał pieniędzy na dom. Po kolejnej awanturze uciekłam z dziećmi do matki. Przyszedł i rzucił się na kolana. Przepraszał. I tak wciąż – uciekałam i wracałam do niego. Prosiłam o pomoc policję, ale policja sprawami rodzinnymi mało się interesuje. Raz po usilnej mojej interwencji mąż został skazany za znęcanie się nad rodziną. Była to kara administracyjna – 620 zł. To był duży uszczerbek finansowy dla całej rodziny".

Jolanta: „Pewnej nocy mąż bardzo mnie pobił, a potem zerwał dzieci z łóżek i nakazał pożegnać się z matką, bo jutro znajdą ją w czarnym worku zakopanym w lesie. Mąż straszył, że może mnie bezkarnie zabić, bo ma stwierdzoną chorobę psychiczną. A gdy zabije mnie w afekcie, zostanie uniewinniony. Przez wiele lat dom był najbardziej niebezpiecznym miejscem na świecie".

Czasem przemoc oprawcy ogranicza się do kobiety, żony albo partnerki. Ale bywa, że dotyka także dzieci. Te najmłodsze są całkowicie bezbronne. Trafiają do szpitala z połamanymi żebrami albo poważnym urazem czaszki, powodującym inwalidztwo na całe życie. A rodzice zarzekają się, że dziecko uderzyło się o szczebelki łóżka... Starsze, zdesperowane, uciekają z domu. Niedawno znaleziono dziewczynkę, która miała na sobie tylko pidżamę i kapcie. Uciekła w nocy przed domowym oprawcą. Nastolatki potrafią przyjechać pod bramę ośrodka interwencyjnego i prosić o przyjęcie. Tak zdarzyło się w Domach Dzieci w Pęcherach pod Warszawą.

Jest tu 14 miejsc dla dzieci z interwencji. W czasie epidemii limit ten nie był przekraczany. – Uważamy, że ten problem jest jeszcze przed nami – mówi dyrektor Aneta Piliszek. – Na pewno w domach jest więcej przemocowych sytuacji, ale są one ukrywane. Teraz do domów nie wchodzi prokurator, kurator czy asystent rodziny, wszystkie czynności odbywają się zdalnie, a policja działa w sposób ograniczony, dlatego jest mniejsza liczba interwencji z powodu przemocy. Wydaje mi się, że za jakiś czas będzie widać, że przemoc wzrosła. Bo przecież te rodziny, które były pod opieką MOPS, nie zniknęły. A teraz nadzór jest minimalny, przy czym te osoby są bliżej swoich dzieci niż wcześniej, bo dzieci nie chodzą do szkoły, a rodzice do pracy.

W Polsce funkcjonuje 1125 placówek opiekuńczo-wychowawczych, w tym 205 interwencyjnych. W 2018 r. w instytucjonalnej pieczy zastępczej było 16 732 dzieci, z czego w placówkach interwencyjnych – 1209.

W marcu br. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę, największa organizacja pozarządowa pomagająca dzieciom, zanotowała rekord wiadomości mejlowych i liczby interwencji w sytuacji bezpośredniego zagrożenia życia. Było wówczas 76 interwencji ratujących życie, w kwietniu – 50.

– Marzec był miesiącem, kiedy w Polsce diametralnie zmieniła się sytuacja – przypomina Dominika Doleszczak, psycholożka fundacji. – Liczba połączeń telefonicznych to 5239, za to liczba wiadomości mejlowych wzrosła z ok. 700 do 1145. W kwietniu było ich aż 1477. Cieszymy się, że w kwietniu było mniej interwencji ratujących życie niż w marcu. Temat przemocy w domu także pojawiał się częściej w czasie izolacji. Zdajemy sobie sprawę, że przemoc w rodzinie jest ukrywana. Im mniejsze dziecko, tym bardziej stara się o tym nie mówić – jest lojalne wobec rodziców i skoro bliscy powiedzieli, że ma trzymać w tajemnicy sytuację domową, to tak robi. My dostosowujemy pomoc do indywidualnej sytuacji dziecka, biorąc pod uwagę np. to, czy jest gotowe samo zgłosić się po pomoc, czy jest potrzebny kontakt z kimś zaufanym z jego otoczenia. Czasem sytuacja okazuje się tak dramatyczna, że wymaga wezwania policji, nie zawsze jednak jest to najlepszym rozwiązaniem. Zauważyliśmy, że w czasie gdy osoby do 18. roku życia mogły się poruszać tylko w towarzystwie dorosłych, wzrosła liczba wiadomości online. Niekiedy dzieci czekały do godz. 1 lub 2 w nocy, żeby się z nami skontaktować. W kwietniu liczba połączeń telefonicznych zmalała, ale rozmowy się wydłużyły. Jest z nami w kontakcie wiele dzieci, które z powodu pandemii straciły możliwość regularnej pomocy psychoterapeutycznej. Zdarza się, że traktują te kontakty telefoniczne jako namiastkę spotkań z psychoterapeutami, którzy do tej pory się nimi opiekowali.

Twierdza z tyranem

Ewa Foks, psycholożka i psychoterapeutka z Niebieskiej Linii Instytutu Psychologii Zdrowia Polskiego Towarzystwa Psychologicznego, mówi, że na telefon interwencyjny dzwoni wiele kobiet. – W czasie dyżuru telefon jest bez przerwy zajęty – wyjaśnia. – Od prawie dwóch miesięcy słyszymy: „Zostań w domu". Dla osób stosujących przemoc taki nakaz to instrument usidlenia ofiary. A dla wielu kobiet dom stał się twierdzą. Ale nie taką, w której czują się wolne i bezpieczne. Teraz dom stał się twierdzą, bo panuje w nim jeden władca, który nieustannie kontroluje i narzuca swoją wolę pozostałym domownikom.

– Kiedy rozpoczęła się epidemia, postanowiliśmy, że choć musimy zawiesić kontakty bezpośrednie, fizyczne, zrobimy wszystko, by pomoc płynęła zdalnie – wspomina Ewa Foks. – Konsultacje psychologiczne i prawne są realizowane m.in. przez Skype'a i przez aplikację Zoom. Prowadzimy zajęcia zdalne z grupami terapeutycznymi i z grupami wsparcia. Działają też poradnia telefoniczna i poradnia mejlowa. W okresie epidemii liczba zgłoszeń telefonicznych wzrosła o 100% albo nawet więcej. Rozmowy zazwyczaj są długie. Ten, który krzywdzi, odziera swoją ofiarę z wewnętrznej siły i poczucia wpływu na własne życie. Kiedy osoby krzywdzone pokonają bezsilność i zadzwonią, trzeba dać im szansę, by mogły się otworzyć i opowiedzieć o swoim dramacie, czasem po raz pierwszy, przed drugim człowiekiem. To, że nie widzą dyżurującego specjalisty i że rozmowa jest anonimowa, bardzo pomaga. Zapotrzebowanie na porady psychologiczne jest duże i zaangażowanie dodatkowych osób obsługujących taką linię telefoniczną byłoby wskazane, ale wszystko rozbija się o finanse. Nasze poradnie: telefoniczna i mejlowa Niebieskiej Linii IPZ działają w tej chwili dzięki wsparciu firmy Avon.

Ewa Foks mówi, że oni w Niebieskiej Linii IPZ wiedzieli, że sprawcy przemocy niejako w pakiecie wprowadzonym z powodu epidemii dostaną izolację, która ułatwi im

Gdy osoby do 18. roku życia mogły się poruszać tylko w towarzystwie dorosłych, wzrosła liczba próśb online o pomoc.

eprasa.pl e2e639bf4b

całkowitą władzę nad bliską osobą. Przecież właśnie izolacja jest jedną z pierwszych technik manipulacji drugim człowiekiem. Sprawca przemocy izoluje swoją ofiarę od przyjaciół, od rodziny, by nie miała szans na wsparcie ze strony innych. To on ma być dla niej całym światem. Stosuje techniki wpływu. Mówi: „Ten świat się tobą nie interesuje. Ten świat uważa, że jesteś nic niewarta, że jesteś szurnięta. Tylko ja jestem w stanie wytrzymać z kimś tak beznadziejnym jak ty". Albo wprost: „Ja mam nad tobą władzę, musisz mi się podporządkować". A także przekonuje ofiarę o jej niemocy i bezwartościowości: „Nie poradzisz sobie, jesteś zerem, jesteś słaba, jesteś nikim". Dla wielu osób, które żyją w relacji przemocowej, dom – szczególnie w okresie epidemii – jest więzieniem, pułapką.

– Kiedyś osoba doświadczająca przemocy wychodziła do pracy, do sklepu, na spacery, mogła złapać oddech, pozbierać myśli, zastanowić się, co zrobić, mogła szukać pomocy u kogoś z otoczenia czy specjalisty – tłumaczy Ewa Foks. – W czasie epidemii jest z oprawcą zamknięta w domu. Jak w potrzasku. Czasem słyszę, że kobieta, która dzwoni, jest gdzieś na dworze. Mówi, że w ogrodzie, na spacerze z psem, pod lasem... Inne, które mogą rozmawiać z mieszkania, bo ich oprawca właśnie wyszedł do sklepu, uprzedzają, że może będą musiały nagle przerwać rozmowę, kiedy on wróci.

Kobiety to ponad 90% osób, które zgłaszają się z powodu przemocy w rodzinie. Ale są też mężczyźni. W większości jednak doznają oni przemocy od innych mężczyzn: młodzi mężczyźni od ojców, starzy i zniedołężniali od synów.

– Sama epidemia nie powoduje, że przemoc nagle pojawia się w rodzinach, które do tej pory zdrowo funkcjonowały, szanowały się i kochały – twierdzi psycholożka.

W okresie epidemii liczba zgłoszeń telefonicznych na Niebieską Linię wzrosła o 100% albo nawet więcej.

– W okresie epidemii przemoc eskaluje w tych rodzinach, w których była już wcześniej. Nasiliła się zwłaszcza przemoc psychiczna. Sprawca chce pozostać bezkarny, więc działa po cichu. Wie, że sąsiedzi są w domach, że słyszą. Ale przemoc psychiczna nie jest wcale mniej dokuczliwa, wręcz przeciwnie, jak mówią kobiety – może doprowadzić do obłędu. Kobiety skarżą się nam: „Ja oszaleję, dłużej tego nie wytrzymam". Nasiliła się też przemoc seksualna i ekonomiczna.

Czy kobietom, które doznają przemocy w rodzinie, łatwo jest uciec od oprawcy? Zdecydowanie nie. W całym kraju w 35 ośrodkach przeznaczonych dla kobiet w takiej sytuacji miejsc jest zaledwie 591. W Warszawie liczącej 1,7 mln mieszkańców z pomocą śpieszy Warszawski Ośrodek Interwencji Kryzysowej na Ursynowie. Ma 60 miejsc noclegowych. Na Białołęce działa Ośrodek Wsparcia dla Kobiet z Małoletnimi Dziećmi i Kobiet w Ciąży Etezja prowadzony przez Stowarzyszenie Pomocy i Interwencji Społecznej, ale on nie przyjmuje kobiet w ramach interwencji kryzysowej. Dlatego tam nie trafiają kobiety, które teraz postanowiły uciec przed mężem lub partnerem. W pobliskim Domu Samotnych Matek z Dziećmi prowadzonym przez Stowarzyszenie Wspólnymi Siłami też nie ma mieszkanek, które przybyły w okresie epidemii. Prezes stowarzyszenia Sylwia Wasiołek mówi, że w czasie zarazy dostała mejl od matki z dwójką dzieci, która szukała schronienia. Ale w tym ośrodku niczego nie można było jej zaoferować, od września nie ma tu wolnych miejsc.

Petycja

Fundacja Centrum Praw Kobiet – podobnie jak Niebieska Linia IPZ – prowadzi telefon interwencyjny. Jak ocenia Urszula Nowakowska, założycielka i szefowa fundacji, w okresie epidemii kontakt za pomocą telefonu interwencyjnego zwiększył się o ok. 50%, a za

GDZIE SZUKAĆ POMOCY

1. Fundacja Dajemy Dzieciom Siłę
Pomoc dla dzieci i młodzieży do 18. roku życia:
tel.: **116 111** (bezpłatny), czynny całą dobę
Kontakt online przez stronę 116111.pl
Pomoc dla rodziców i nauczycieli w wypadku podejrzenia u dzieci i młodzieży m.in. wykorzystywania seksualnego, depresji, myśli samobójczych:
tel.: **800 100 100** (bezpłatny), czynny od poniedziałku do piątku w godz. 11.00-17.00
Kontakt online przez stronę **800100100.pl**

2. Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie Niebieska Linia Instytutu Psychologii Zdrowia Polskiego Towarzystwa Psychologicznego
Poradnia telefoniczna Niebieskiej Linii:
tel.: **22 668 70 00**, czynny codziennie w godz. 12.00-18.00

3. Fundacja Centrum Praw Kobiet
tel. interwencyjny: **600 070 717** (płatny według taryfy operatora), czynny całą dobę
tel. zaufania: **22 621 35 37** (płatny według taryfy operatora), pomoc psychologiczna całą dobę, pomoc prawna w czwartki w godz. 10.00-16.00

4. Ogólnopolskie Pogotowie dla Ofiar Przemocy w Rodzinie Niebieska Linia
tel. interwencyjny: **800 120 002** (bezpłatny), czynny całą dobę
e-mail: niebieskalinia@niebieskalinia.pl

5. Fundacja Feminoteka
Telefon Przeciwprzemocowy dla Kobiet:
tel.: **888 883 388** (płatny według taryfy operatora), czynny od poniedziałku do piątku w godz. 8.00-20.00
e-mail: pomoc@feminoteka.pl
aplikacja: avonalert.pl

6. Policja
Telefon Zaufania ds. Przeciwdziałania Przemocy w Rodzinie:
tel.: **800 120 226** (bezpłatny), czynny od poniedziałku do piątku w godz. 9.30-15.30
tel. pomocowe policji: **997** i **112**, czynne całą dobę

eprasa.pl e2e639bf4b

pomocą mejli o 20%. – Kiedyś było mniej napięć, bo ludzie spędzali ze sobą mniej czasu, mijali się – stwierdza Nowakowska. – Bycie razem przez długi czas sprzyja eskalacji przemocy. Część osób dzwoni właśnie w sprawie przemocy i załatwienia pobytu w naszym specjalistycznym ośrodku wsparcia. W placówce przyjmujemy kobiety interwencyjnie, ale wówczas muszą odbyć 14-dniową kwarantannę w ośrodku, mamy wydzielone na ten cel pomieszczenia. Ostatnio zostały przyjęte dwie panie. Ale niektóre ośrodki nie przyjmują kobiet z powodu zagrożenia koronawirusem albo przyjmują dopiero po dwutygodniowej kwarantannie poza placówką. To absurdalne i nieludzkie, jeśli każe się kobiecie szukać miejsca na odbycie kwarantanny. Są jednak kobiety, które z powodu przemocy zastanawiały się nad przeprowadzką do ośrodka interwencyjnego, ale ostatecznie zrezygnowały, bojąc się zakażenia koronawirusem.

Celem kampanii społecznej „Za drzwiami" Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę jest zachęcenie do zgłaszania policji przemocy wobec najmłodszych.

W innych krajach europejskich w okresie pandemii rządy przygotowały specjalne regulacje dotyczące ofiar przemocy domowej. – Na przykład we Francji rząd finansuje takim kobietom pobyt w hotelach – zwraca uwagę Urszula Nowakowska. – Tymczasem polski rząd opracował już wprawdzie i skierował do Sejmu czwartą wersję tarczy antykryzysowej, ale w żadnej z nich nie uwzględniono potrzeb osób, które z racji epidemii są teraz bardziej narażone na przemoc domową. Dlatego Fundacja Centrum Praw Kobiet przygotowała petycję w tej sprawie do premiera. Rząd powinien zrobić więcej dla tych kobiet. Ale także powinien teraz wspierać te organizacje pomocowe, które mają wsparcie jedynie ze strony samorządów czy prywatnych darczyńców. Zbieramy podpisy pod tą petycją. Można to zrobić na naszej stronie internetowej.

W petycji działaczki z Centrum Praw Kobiet apelują do premiera, by została stworzona „kompleksowa specjalna »Tarcza Antykryzysowa«, która w okresie pandemii pozwoliłaby zapewnić kobietom doświadczającym przemocy i ich dzieciom bezpieczeństwo i dostęp do realnej i szybkiej pomocy. (…) Brak konkretnych rozwiązań (…) daje sprawcom poczucie bezkarności oraz stanowi realne zagrożenie dla zdrowia, a nawet dla życia wielu z nich. Centrum Praw Kobiet szacuje, że w Polsce w związku z przemocą w rodzinie życie traci rocznie od ok. 400 do 500 kobiet".

Centrum Praw Kobiet i inne organizacje pozarządowe walczyły też o zmiany ustawowe, które umożliwiłyby szybką izolację sprawcy przemocy od gnębionej przez niego rodziny. Ważnym postulatem było to, aby osoba stosująca przemoc miała także zakaz kontaktowania się z dręczonymi, obejmujący nie tylko dom i jego bezpośrednie otoczenie, ale również inne miejsca, by kobieta nie była nagabywana np. w drodze do pracy czy w sklepie. Tak przewidują uregulowania innych krajów europejskich. Niestety, ten postulat nie znalazł odzwierciedlenia w nowo przyjętej ustawie o zmianie Kodeksu postępowania cywilnego oraz niektórych innych ustaw. Sejm przyjął ją 30 kwietnia, a Senat – bez poprawek – 6 maja. Pozostaje podpis prezydenta, ale ustawa i tak wejdzie w życie dopiero sześć miesięcy po opublikowaniu. Urszula Nowakowska uważa, że ten okres jest zbyt długi. Także biuro legislacyjne Senatu wskazywało, że należałoby rozważyć skrócenie *vacatio legis*, ale tak się nie stało.

Nie wolno milczeć

Na początku epidemii pojawiały się głosy, że z obawy przed zakażeniem policjanci unikają interwencji w przypadku przemocy domowej. Rzecznik prasowy Komendy Głównej Policji insp. Mariusz Ciarka zapewnia, że policja reaguje na każdy sygnał mogący świadczyć o popełnieniu czynu zabronionego. „Przeprowadzanie interwencji związanych z przemocą w rodzinie, nawet wobec osób objętych kwarantanną, realizowane jest cały czas, obecnie z zachowaniem szczególnych środków ostrożności i zastosowaniem wytycznych głównego inspektora sanitarnego MSWiA dla policji w tym zakresie – pisze inspektor i apeluje: – Prosimy także, aby sąsiedzi i inne osoby, które mają wiedzę o takich sytuacjach, zgłaszały je nam. Zdajemy sobie sprawę, że przemoc w rodzinie niejednokrotnie ukryta jest w czterech ścianach. Wiedza o takich sytuacjach pozwoli nam działać. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będziemy szukali, w porozumieniu z innymi instytucjami, sposobów rozwiązania trudnych sytuacji".

Komenda Główna Policji nie dysponuje jeszcze danymi dotyczącymi liczby wdrożonych procedur Niebieskiej Karty – a w kwietniu danymi dotyczącymi liczby wszczętych w marcu i kwietniu br. postępowań z art. 207 kk, który obejmuje właśnie przemoc. W marcu policja wszczęła procedurę Niebieskiej Karty wobec 5307 rodzin. To liczba mniejsza niż rok wcześniej. Ale czy oznacza, że przemoc w czasach epidemii jest mniejsza? Nie. Raczej świadczy o tym, na co zwracali uwagę psycholodzy, że nasiliła się przemoc psychiczna, łatwiejsza do ukrycia, trudniejsza do udowodnienia. Powtórzmy: przemoc karmi się milczeniem. Warto o tym pamiętać.

Ewa Smolińska-Borecka

FOT. ADOBESTOCK, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e2e639bf4b

Bronisław Łagowski

Wielki Walicki

Słuchając Walickiego, dowiadujemy się w ciągu godziny więcej, niż dałoby nam tygodniowe siedzenie w bibliotece

Gdy się myśli o Andrzeju Walickim, nasuwa się porównanie z Leszkiem Kołakowskim, z którym on przez wiele lat dyskretnie, ale też wytrwale, rywalizował, czemu świadectwo dał w tomie „Listy 1957-2007". Studenci w Oksfordzie mówili o Kołakowskim „Wielki (Great) Koko", słusznym będzie też mówić o Wielkim Walickim, ale z podkreśleniem różnic. Walicki był profesorem na wielu uniwersytetach, ale nie lubił wykładać na poziomie studenckim czy doktoranckim, w ogóle nie lubił uczyć, a już zwłaszcza wychowywać. Krąg jego oddziaływania z tego powodu, ale też z innych przyczyn, nie jest tak szeroki, jak mógłby być. **Wielkim jest jako badacz, autor wielu dzieł tłumaczonych na wiele języków lub pisanych po angielsku**. Książki Kołakowskiego należą do dwóch dziedzin: nauki i literatury pięknej – był niezwykle uzdolnionym stylistą – nie mówię o utworach rozrywkowych, co także potrafił. Walicki pisze językiem naukowym i stylem tzw. silnym. W jego książkach nie ma miejsca na wielość interpretacji.

Jego pozycja naukowa w międzynarodówce akademickiej jest mocno ugruntowana, mógł wybierać między uniwersytetami amerykańskimi. Zdecydował się na uprzywilejowaną katedrę na katolickim Notre Dame.

Jako młodzieniec przeczuwał, że będzie długo żył, i jego plany naukowe sięgały daleko. Gdy zdobył mocną międzynarodową pozycję w badaniach rusoznawczych, postanowił wykorzystać ją do wprowadzenia do sylabusów anglojęzycznych filozofii polskiej. Było to działanie nieprzynoszące zbyt dużego uznania, podjęte zostało z powodów patriotycznych.

Stosunek Andrzeja Walickiego do tzw. komunizmu w Polsce był odmienny od poglądów jego kolegów z Uniwersytetu Warszawskiego i Polskiej Akademii Nauk. Nie zaliczał się do rewizjonistów, jak Kołakowski czy Baczko, ponieważ nigdy nie był marksistą. Jego koledzy stawali się coraz bardziej wrodzy wobec ustroju, w miarę jak ustrój łagodniał. Walicki wyznawał zasadę, że jak ustrój twardnieje, to i ja twardnieję, a gdy ustrój mięknie, to i ja mięknę. Może warto zaznaczyć, że jego ojciec był oficerem Biura Informacji i Propagandy KG ZWZ-AK i po wojnie kilka lat siedział w więzieniu, co jego synowi bardzo utrudniło życie.

Doskonały brak snobizmu sprawił, że tylko przypadkowo dowiedział się, że sławny Kozietulski spod Somosierry był bratem jego prababki. Baronówna von Manteuffel była jego babką, a margrabia Wielopolski powinowatym, co prawda dalekim.

Romantyzm, mesjanizm i nacjonalizm

Walicki dokonał głębokiej rewizji poglądów na polski romantyzm i unowocześnił aparat pojęciowy służący do badań światopoglądu romantycznego. W wielu pracach pokazał myślicieli tamtej epoki z ich zależnościami od prądów filozoficznych i religijnych Europy, nie tracąc z pola widzenia ich specyficznie polskich uwikłań. Jego studia są niezwykle precyzyjne, dokładne, wierne historycznemu konkretowi, poza tym logiczne i jasne. W pewien sposób rehabilitował mesjanizm Mickiewicza (ale już nie Krasińskiego), czego dziś prawdopodobnie by nie podtrzymał, patrząc na to, jak dewastujący jest wpływ mesjanizmu obecnie.

Historia idei pokazuje, że nawet najbardziej oderwane, zawikłane i przynajmniej na pozór dziwaczne teorie czy wizje mogą mieć konsekwencje praktyczne, wśród których należy odnotować możliwość wykolejenia umysłowego całych pokoleń. Na ten problem był wyczulony Isaiah Berlin, przyjaciel i w pewnym okresie protektor Walickiego. W szczególności romantyzm uważał on za światopogląd w swoim oddziaływaniu szkodliwy. Badał głównie romantyzm niemiecki, ale polscy filozofowie, a zwłaszcza poeci, dodali swoje, może jeszcze szkodliwsze złudzenia.

Esej „Rewolucja romantyczna: kryzys w historii myśli współczesnej" Berlin napisał w tonie ostrzegawczym, momentami niemal alarmistycznym. Romantyzm według tego brytyjskiego historyka idei i filozofa był swego rodzaju kataklizmem w świecie umysłowym; podważył centralną ideę Zachodu – racjonalistyczną miarę rzeczy ludzkich, ukształtowaną w kulturze antycznej. Ta miara przeżyła upadek świata grecko-rzymskiego, oparła się pierwotnemu i średniowiecznemu chrześcijaństwu, a nawet pozostawiła na nim trwałe piętno; straciła na znaczeniu dopiero wskutek rewolucji romantycznej.

Jakie są konsekwencje polityczne tej rewolucji? „Na początku XIX w. (a w Polsce – dodajmy – przez dwa wieki z przerwami) wielkim podziwem darzono męczenników (głównie narodowych), tych, którzy samotnie walczyli z przytłaczającą większością; tych, którzy w imię ideałów szli na pewną zgubę. Wielką estymą cieszy się bunt dla samego buntu, a niepowodzenia i porażki przeciwstawiane są kompromisowi i (cudzym) sukcesom… Wszystko to miałoby niewielkie znaczenie dla Arystotelesa [w tekście Berlina występuje jako figura obiektywnych miar i kryteriów], który brał pod uwagę jedynie osiągnięcia godne prawdziwego podziwu". Romantyczny subiektywizm – mówi dalej Berlin – prowadzi do odwrócenia hierarchii wartości: do uwielbienia intencji, a lekceważenia wiedzy. Pod wpływem romantyzmu „słowo »realizm« stało się pejoratywne, nabrało konotacji bliskich bezwzględności, cynizmowi, żałosnemu kompromisowi z niższymi wartościami".

Dalej Berlin zauważa, że w wyniku „romantycznego przewartościowania wszystkich wartości etyka intencji zastąpiła etykę odpowiedzialności za skutki". Jeżeli ta rewolucja nie spowodowała ruiny zachodniego porządku moralnego i politycznego,

eprasa.pl e2e639bf4b

to tylko dzięki temu, że starsza, klasyczna etyka przetrwała i stawia opór skutkom romantycznej rewolucji. Wiele zależy od stosunku sił zachodzącego między tymi dwiema moralnościami. W Polsce ten stosunek ustalił się na korzyść romantyzmu, jeszcze bardziej irracjonalnego i woluntarnego niż jego zachodni wzór.

Dokuczliwa i szkodliwa ideologia

Romantyczne myślenie o polityce jest w Polsce obciążone nadmiarem względów dla imponderabiliów, do których dodaje się często dużą dozę błota, a także przez moralizm, stosowane jako narzędzia onieśmielania wroga politycznego, jego demobilizacji psychicznej, a nierzadko też dehumanizacji, w czym celowali zwłaszcza Mickiewicz i Krasiński. „Zemsta, zemsta, zemsta na wroga, z Bogiem – i choćby mimo Boga", pisał ten pierwszy, a w „Księgach narodu i pielgrzymstwa", o których papież Grzegorz XVI wyraził się, że jest to „dziełko pełne złości i lekkomyślności", w języku wystylizowanym na biblijny rzucał najdziksze obelgi na nieprzyjaciół Polski. Drugi z nich zapewniał, że „nienawiść jest dla mnie przykazaniem Bożym", i przekonywał swojego angielskiego przyjaciela, że „na tej ziemi nieszczęsnej, spustoszonej, przebaczenie byłoby czynem bezbożnym". I razem z taką wykładnią chrześcijaństwa głosili ideę zbawienia świata przez Polskę, „Chrystusa narodów". U filozofów romantycznych nie spotykamy takiego stężenia nienawistnych uczuć, ale woli prawdy, woli uznania rzeczywistości też nie znajdujemy. Patriotyzm romantyczny polega na kulcie idei narodu, przy jednoczesnej obojętności i ślepocie na los realnego narodu. Sprowadzony do syntetycznej formuły patriotyzm ten jest niczym innym jak wiarą w patriotyzm, upajaniem się własnym patriotyzmem, i może iść w parze z nienawiścią nie tylko do wrogów, ale także do rodaków, jeżeli nie są takimi patriotami jak my.

Zaciekawiło mnie, dlaczego Walicki, poświęcając pisarzom i myślicielom romantycznym tyle wnikliwych i niezwykle pojęciowo rozbudowanych studiów, przechodził milcząco obok trudnych do niezauważenia fałszywych jego treści. Odpowiedź, zdaje mi się, będzie taka: w czasach, gdy przeprowadzał swoje badania, miało się do czynienia z bezpośrednio dokuczliwą i szkodliwą ideologią – z uniwersalistycznym w swych ambicjach politycznych, ponadnarodowym marksizmem, bardzo już rozcieńczonym, lecz ciągle zawierającym w sobie ekonomiczną utopię i nadal dostarczającym usprawiedliwienia, jeśli nie uzasadnienia dla złego ustroju.

Walicki należał do tych intelektualistów, którzy byli przekonani, że panującemu systemowi ideokratycznemu należy przeciwstawić rehabilitację i rewitalizację polskiej tradycji, a myśl romantyczna była jej składnikiem najbardziej „narodowym" (i najłatwiejszym do upowszechnienia – co już Walickiego mniej interesowało).

Ostatecznie fałszywa strona romantyzmu jednak stanęła przed nim, i to w sposób natarczywy. Wystąpiła w realnej polityce i w nastrojach społecznych jako nacjonalizm ze swoim charakterystycznym emocjonalnym potencjałem odwetu i nienawiści.

Pogląd Walickiego na polski mesjanizm nie był bezkrytyczny. Zwłaszcza w mesjanizmie Krasińskiego dostrzegał treści dające początek nacjonalistycznej megalomanii. Wydobywał z poglądów filozofów romantycznych (Trentowskiego, Libelta) zarysy programu pracy organicznej. W latach 80. przewagę zdobyła jednak recepcja apologetyczna i nacjonalistyczna.

Problematyka narodu należy – jak wspomniałem – do głównych tematów filozofii społecznej Walickiego. W środowisku marksistów był z tego powodu podejrzewany o skłonności nacjonalistyczne. Teraz o sobie pisze: „Dziwne to może (zważywszy na moje sympatie do idei narodu), ale wspólnym mianownikiem

Szanownemu Panu Profesorowi
Andrzejowi Walickiemu,
wielkiemu uczonemu o międzynarodowej sławie,
z okazji 90. rocznicy Urodzin dobrego zdrowia
i nieustająco wysokiej formy intelektualnej
życzą wraz z czytelnikami i zespołem PRZEGLĄDU

Jerzy Domański, Paweł Dybicz, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Robert Walenciak i Andrzej Werblan

eprasa.pl e2e639bf4b

wszystkiego, co odrażające w III RP, jest dla mnie nacjonalizm". Podkreśla, że ten **nacjonalizm kieruje wrogość nie tylko przeciw obcym, lecz praktycznie przede wszystkim przeciw samym Polakom, jeżeli wyłamują się z dzisiejszego konformizmu.**

Nie ma więc potrzeby szukać antypolonizmu wśród takich czy innych obcych, bo jest on wystarczająco widoczny w użytku, jaki jest dziś w Polsce czyniony z narzędzi władzy oraz propagandy występującej m.in. pod nazwą polityki historycznej. Słownie **nacjonalizm wyraża się najgłośniej i rutynowo w rusofobii,** ale im bardziej nacjonalistyczne partie znajdują się u władzy, tym więcej Polaków czuje się zagrożonych, podczas gdy Rosja nie ponosi z tego powodu żadnej szkody. Nacjonalizm nie występuje pod własnym imieniem; opanował sztukę pseudonimów i może nazywać się antykomunizmem. Mało kto interesuje się, czym był rzeczywiście komunizm, „ważne jest tylko to, że to coś obcego – pisze Walicki – w czym my, jako naród, nie rozpoznajemy się. (…) Wymogi konformizmu, presja w tym kierunku, są ewidentnym nacjonalizmem. Wszyscy mają myśleć jednakowo o PRL, o »postkomunistach«, ciągle »prawdziwi lub metrykalni Polacy«, ciągłe straszenie Targowicą, zdradą! Presja zbiorowa nieznośna, brak szacunku dla jednostki typowo nacjonalistyczny. Nacjonalizm bywa dziś w Polsce ideologią arogancko »antypopulistycznych« elit". Jego plebejska odmiana wydaje się dużo mniej groźna.

Prof. Andrzej Walicki otrzymuje z rąk prezydenta Włoch Oscara Luigiego Scalfara prestiżową Nagrodę Eugenia Balzana, nazywaną humanistycznym Noblem, listopad 1998 r.

14 grudnia 2005 r. prezydent RP Aleksander Kwaśniewski odznaczył prof. Andrzeja Walickiego Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski.

Wyobraźnia zwrócona na Wschód

Jaka w takiej atmosferze może być polityka zagraniczna? **Nie jest ona rezultatem namysłu lub świadomego wyboru, lecz tylko ujawnieniem, kim Polacy są.** Ponieważ są zadufani w sobie, będzie to polityka „mocarstwowa". Nie umiejąc zdać sobie sprawy ze swego położenia w środku Europy, będą śnić sen pijanych sarmatów o swojej wielkości na Wschodzie i powtarzać prometeizm, który już za pierwszym razem był trochę szpiegowską komedią. **Niezdolni do ułożenia sobie normalnych stosunków z innymi narodami, jedne chcą prowadzić, drugie brać pod swoją protekcję, silniejszym wskazywać cele, mądrzejszych uczyć historii.** Oto polski mesjanizm, który zawładnął urzędami państwowymi i czyni z tego użytek.

Łatwo się domyślić, że Walicki choćby z racji tego, czego dokonał w nauce, szczególnie interesuje się stosunkami polsko-rosyjskimi. W książce „O inteligencji, liberalizmach i o Rosji" pisze: „Reprezentuję pewną ciągłość myślenia, może większą niż inni, którzy dokonali wolty o 180 stopni. Wyjaśniałem moje zaangażowanie w prace nad myślą rosyjską, tłumaczyłem to tym, że jest potrzebne większe zrozumienie między Polską a Rosją, co wynika z geopolityki. Geopolityka się zmieniła, ale pozostała u mnie sympatia dla Rosji, przekonanie, że jest ona czymś ważnym, że powinien istnieć przyjazny dla Rosji kierunek opinii publicznej, nie tylko »polska partia« powinna istnieć w Rosji, jak pisał Norwid. Nie przyłączyłem się do łatwych tez determinizmu kulturowego, głoszących, że Rosja jest czymś innym kulturowo, a my (…) powinniśmy trzymać się z dala od wschodniej zarazy. Jestem okcydentalistą w ocenie rosyjskiej myśli. Podkreślam zasadnicze podobieństwo rozwoju Rosji, pomimo różnicy chronologii, do rozwoju Europy, nie akcentuję obcości cywilizacyjnej (…), **nie kopię przepaści między Europą Zachodnią a Rosją, wręcz przeciwnie, staram się je zasypywać**".

Walicki odrzuca esencjalistyczną interpretację tego kraju i pogląd, że mentalność rosyjska posiada niezmienne cechy. Na temat dzisiejszej Rosji, jej przemian wewnętrznych, zachowań i poglądów inteligencji, a także tego, jak jest widziana z perspektywy amerykańskiej, wypowiada się rzadziej, niżby się chciało, ale to, co ogłasza, jest kapitalnie trafne (przykład: miesięcznik „Dziś", 6/2008).

Jaki liberalizm

W jednej z ostatnich swoich książek Walicki poświęca dużo uwagi inteligencji, jej historycznym losom, jej roli w staraniach i walkach o wyzwolenie klas uciskanych, dylematom, jakie się przed nią pojawiają, gdy chce dochować wierności swoim zaangażowaniom politycznym i jednocześnie bronić ponadczasowych wartości, a zwłaszcza prawdy. Czy obowiązki klerka są do pogodzenia z rolą kontestatora lub bojownika o cele narodowe i społeczne?

Przymierzając postawę dominującej części inteligencji III RP do tradycyjnych wzorów, dochodzi do pesymistycznego wniosku, że obie tradycje inteligenckie – klerkowska i społecznikowska – zostały porzucone. Ta grupa przyczyniła się do zredukowania liberalizmu do doktryny ekonomicznej, stanęła po stronie nowobogackich, a warstwy skrzywdzone onieśmielała, kwalifikując ich dążenia jako nieuzasadnione i „populistyczne" roszczenia.

FOT.KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, ARCH.PRYWATNE.REPRODUKCJA KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, PAP/TOMASZ GZELL

eprasa.pl e2e639bf4b

Myślę, że niespodziewana u Walickiego, zdecydowana krytyka neoliberalizmu jako teorii i praktyki ekonomicznej tłumaczy się w głównej części rozczarowaniem do inteligencji postsolidarnościowej, która skwapliwie przeszła od sojuszu z robotnikami do apologii kapitalizmu. Dlaczego ta krytyka jest niespodziewana? W latach 70. i 80., gdy ogół inteligencji z opozycją demokratyczną włącznie myślał o gospodarce na sposób socjalistyczny, Walicki opowiadał się za przemianami wolnorynkowymi i przez zwolenników wolnego rynku uważany był słusznie za sojusznika (bywał np. zapraszany na zebrania Krakowskiego Towarzystwa Przemysłowego, założonego przez znanych zwolenników kapitalizmu: Tadeusza Syryjczyka i Mirosława Dzielskiego).

Walicki oczywiście nie jest socjalistą, zwalcza kolektywizm w każdej postaci, nie może jednak się zgodzić, aby domaganie się przez robotników sprawiedliwszej zapłaty zbywać słowem „roszczenia", a do egoistycznych roszczeń reprywatyzacyjnych dopisywać usprawiedliwienia wzięte z rezerwuaru fałszywej polityki historycznej. Ze swojej strony zgłosiłbym zastrzeżenie, iż w sporach o liberalizm trzeba pamiętać, że dziedziną, w której wolność jest najbardziej twórcza i pożyteczna, a zarazem ciągle zagrożona, jest gospodarka. W reżimie dyktatorskim intelektualiście mniej zaszkodzi cenzura niż przedsiębiorcy konfiskata lub ruina spowodowana środkami fiskalnymi. To zagadnienie należy do innego kontekstu.

Umysł w pewnym sensie prawniczy

Można spotkać dwojakiego rodzaju uczonych: jedni piszą książki bogate w treść, a w rozmowie nie mają już nic do dodania i dobrze, jeśli są na poziomie swoich książek. Będą to przeważnie uczeni amerykańscy. Drudzy pisali, a może jeszcze piszą, książki drętwe i do tego stopnia puste, że człowiek się pyta, po co zadawali sobie ten trud, ale w rozmowie okazują się niekiedy wielkimi erudytami, znakomitymi dialektykami i analitykami, doskonale znającymi swoją dziedzinę z przyległościami, tak że ta błyskotliwość i ta drętwota występujące pod jednym nazwiskiem wywołują na naszym obliczu zdziwienie. Tacy się trafiali przeważnie wśród uczonych radzieckich.

Andrzej Walicki należy do trzeciego rodzaju, słabo reprezentowanego w przyrodzie: w nim bogactwo wiedzy opublikowanej w książkach oraz żywej, niezapisanej dodają się do siebie. Słuchając go w jego dobrych chwilach – a ma je często, gdy pod wpływem podniet, których natury nie zawsze można się domyślić, porywa go chęć skorygowania poglądów politycznych lub historycznych, albo gdy chce pokazać, co się kryje za sporem teologicznym, albo jak wędrują idee z kraju do kraju, z jednej epoki do drugiej, jak się zmieniają lub przeciwnie, pozostają takie same, jak przywołuje do swego wywodu mnóstwo faktów i zależności między nimi, które same przez się są ciekawe – dowiadujemy się w ciągu godziny więcej, niż dałoby nam tygodniowe siedzenie w bibliotece.

Ma on umysł w pewnym sensie prawniczy: jeśli jakieś stwierdzenie jest prawdziwe, logiczne, to w jego przekonaniu trzeba się do niego życiowo dostosować. Postawa mało słowiańska.

Niewątpliwie Andrzej Walicki jest też w jakiejś głębokiej niezgodzie ze swoją klasą – inteligencją i nawet jej częścią liberalną. Ona inaczej patrzy na to, co się teraz dzieje, także na Polskę oznakowaną literkami PRL, na polskie sprawy wewnętrzne i zagraniczne. Ale jest druga różnica, która umacnia tę pierwszą: pogląd na sposób wiązania ze sobą faktów, zdarzeń, dążeń i poglądów. Najogólniej rzecz ujmując, stosuje on kategorie przyczyny i skutku tam, gdzie przeważnie fałszywie domyślamy się działania intencji, demonstracji, pokazu, dawania świadectwa bądź samoistnej mocy wartości lub symboli.

Walicki był krytyczny wobec „opozycji demokratycznej" i Solidarności, ale występował z pozycji sojusznika, a nie wroga. A jaki ma stosunek do rządów tego obozu? Jest to głębokie rozczarowanie, dochodzące do stanu rozpaczy. Polska cofnęła się do najgorszych tradycji. Nastąpiło wyabsolutyzowanie nurtu powstańczego i samobójczego. **Zanegowano wartość tego, co łączyło Polskę ze światem zachodnim – ideę postępu i miar uniwersalnych.**

Bronisław Łagowski

Między Moskwą a Warszawą. Od Aleksandra I do Putina

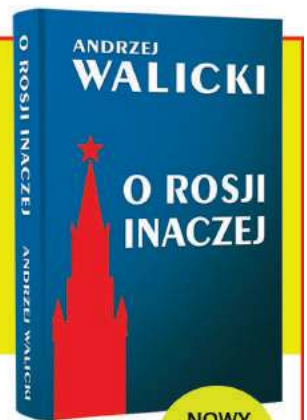

WWW.SKLEP.TYGODNIKPRZEGLAD.PL

Wpłat 67 zł prosimy dokonywać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3, lok. 7.
W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską.
Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł,
paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

NOWY DODRUK 67 zł

eprasa.pl e2e639bf4b

Rozmawia
Ewa Smolińska-Borecka

Nie damy zrobić z siebie kozłów ofiarnych

Liderka protestu rezydentów oskarża ministra zdrowia i wojewodę mazowieckiego o łamanie Kodeksu etyki lekarskiej

KATARZYNA PIKULSKA

– lekarka, jedna z liderek protestu głodowego rezydentów w październiku 2017 r. Właśnie ukończyła kilkuletnie szkolenie służące zdobyciu specjalizacji w zakresie ortopedii i traumatologii narządu ruchu. Ma przed sobą państwowy egzamin specjalizacyjny. Do rzecznika odpowiedzialności zawodowej Okręgowej Izby Lekarskiej w Warszawie złożyła skargę na Łukasza Szumowskiego i Konstantego Radziwiłła, bo uważa, że ich postawa jest niegodna lekarza.

Myślę o pani: niepokorna lekarka, która szuka guza. Mało było pani nagonki TVP podczas protestu rezydentów? Przedstawiono panią jako bawiącą się na egzotycznych wakacjach, a to była misja humanitarna w Kurdystanie. Teraz złożyła pani skargi na dwóch mocno osadzonych politycznie lekarzy.

– Mówi się: co nas nie zabije, to nas wzmocni. Uważam, że po tej historii z TVP jestem znacznie silniejsza.

I nie boi się pani konsekwencji? Jeszcze nie zdała pani egzaminu specjalizacyjnego z ortopedii. Ja jednak byłabym ostrożniejsza.

– Lekarze boją się mówić publicznie o sytuacji w okresie epidemii, bo dostali zakazy wypowiadania się w mediach. Także konsultanci krajowi, nawet od chorób zakaźnych, nie mogą się wypowiadać. Czy to normalne? Pielęgniarka, która powiedziała w mediach o niedoborach środków ochrony osobistej w jej szpitalu, została zwolniona z pracy. Podobnie było z ratowniczką medyczną. Nie można ludziom zamykać ust. W tej sytuacji ja jako przewodnicząca Porozumienia Chirurgów SKALPEL i Krzysztof Hałabuz jako jego prezes mówimy w imieniu innych lekarzy. Ale stowarzyszenie nie może wnieść skargi do rzecznika odpowiedzialności zawodowej, może to zrobić jedynie konkretna osoba. Stąd decyzja, że skargi złożę ja, a pozostali lekarze, którzy mają takie same zastrzeżenia wobec ministra Szumowskiego i wojewody Radziwiłła, będą mogli powielić tekst skarg i przesłać je w swoim imieniu. Dzwoni do mnie w tej sprawie wielu lekarzy. Dałam im narzędzie, którym mogą się posługiwać. Spodziewam się więc, że takich skarg jak moja wpłynie do rzecznika wiele. Dziennikarze pytają mnie: czy pani to powie na wizji? Tak. Jak się mówi prawdę, to nie ma powodu się bać.

Co właściwie zarzuca pani ministrowi i wojewodzie?

– Panu Szumowskiemu zarzucam to, że „pełniąc funkcję ministra zdrowia, nie tylko nie dopełnił swoich obowiązków, ale w sposób rażący naraził zarówno pacjentów, jak i personel medyczny na zagrożenie zdrowia i życia oraz wielokrotnie złamał Kodeks etyki lekarskiej, również podczas wypowiedzi w mediach". Analogiczne zarzuty stawiam wojewodzie Radziwiłłowi. Uważam, co napisałam w skargach, że piastowanie przez nich stanowisk publicznych nie zwalnia ich z obowiązku przestrzegania Kodeksu etyki lekarskiej.

> Minister okłamuje obywateli i utrzymuje ich w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa.

Proszę o konkrety.

– Minister Szumowski m.in. naraził się środowisku lekarskiemu tym, że zarekomendował przeprowadzenie wyborów prezydenckich w maju. My, a mówię tu i o członkach i sympatykach Porozumienia Chirurgów SKALPEL, i o Naczelnej Radzie Lekarskiej, nie zgadzamy się z tą rekomendacją. Jest to świadome narażanie Polaków na ryzyko. Pan minister okłamuje obywateli i utrzymuje ich w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Tymczasem wybory korespondencyjne są zagrożeniem, bo występuje konieczność kontaktów czy to listonoszy, czy członków komisji wyborczych. Ludzie będą się gromadzić choćby na poczcie, gdzie pójdą oddawać pakiety wyborcze. To na pewno spowoduje większą liczbę zakażeń. Na początku

eprasa.pl e2e639bf4b

kwietnia prezes Naczelnej Rady Lekarskiej prof. Andrzej Matyja powiedział w mediach, że organizowanie takich wyborów w tym momencie to zły pomysł. Ostatnio w Senacie prof. Robert Flisiak, prezes Polskiego Towarzystwa Epidemiologów i Lekarzy Chorób Zakaźnych, stwierdził, że zapisy ustawy zmieniającej Kodeks wyborczy nie zapewniają ochrony przed zakażeniem. Rząd, organizując takie wybory, łamie art. 165 Kodeksu karnego, bo naraża Polaków na utratę zdrowia i życia. To są świadome działania, podejmowane wbrew zaleceniom lekarzy, konsultantów krajowych, wbrew badaniom spływającym z innych krajów, które popełniły ten błąd i przeprowadziły wybory. Wybory zorganizowano tylko w dwóch krajach, wszystkie inne je przełożyły na później. Cała praca rządu powinna być teraz skoncentrowana na walce z epidemią. Środowisko medyczne spodziewało się, że minister Szumowski zarekomenduje, że wybory w maju nie mogą się odbyć, bo taka jest prawda i taka decyzja byłaby zgodna z faktami medycznymi.

Może jednak ta mała w stosunku do Włoch, Hiszpanii czy Francji liczba zachorowań i zgonów notowanych w Polsce daje zielone światło do przeprowadzenia wyborów?

– Zdaniem środowiska lekarskiego te dane są zakłamywane, zaniżane. Początkowo zaniżenia wynikały m.in. stąd, że jeśli człowiek umierał w domu, a wcześniej nie stwierdzono u niego zakażenia koronawirusem, bo nie został przeprowadzony test, to ten zgon nie był uwzględniany w statystykach dotyczących epidemii, traktowano go jako śmierć z nieokreślonej przyczyny. Porozumienie Chirurgów SKALPEL już na początku epidemii zwracało uwagę na ten problem. Drugi powód zaniżonej liczby zakażonych to niepełne diagnozowanie. A to wynika ze zbyt małej liczby testów. Nie jest prawdą to, co mówi minister Szumowski – że lekarze zlecają zbyt mało testów. Lekarze zlecają testy, ale na wyniki trzeba czekać dwa-trzy dni albo dłużej. Czyli nie jest tak świetnie, że mamy łatwy dostęp do testów. Dane dotyczące zakażonych i zgonów są zaniżane także na poziomie szpitali, bo nie przekazuje się ich dalej. Na przykład szpital MSWiA któregoś dnia podał, że było osiem zgonów z powodu koronawirusa, ale faktycznie było ich kilka razy więcej. Poza tym problemem jest to, że nadal brakuje środków ochrony osobistej.

Pracuję w szpitalu w Siedlcach i dopiero od dwóch tygodni są u nas środki ochrony osobistej.

Nie jest pani zbyt surowa? Przecież rząd, za pośrednictwem spółek skarbu państwa, sprowadził środki ochrony osobistej największym samolotem świata.

– Co z tego, skoro – jak się szacuje – ok. 90% środków ochrony szpitale mają dzięki zwykłym ludziom, stowarzyszeniom, prywatnym fundatorom, zbiórkom obywatelskim? Prywatne osoby szyją maseczki, drukują przyłbice. Epidemia trwa dwa miesiące, a sytuacja nadal tak właśnie wygląda, bo rząd nie przygotował szpitali, nie zabezpieczył sprzętu i nadal tego nie robi. A jeżeli podejmuje jakieś próby, to są one niewystarczające i spóźnione. To lądowanie samolotu i inne poczynania rządu są akcją propagandową, która ma przekonać obywateli, że rząd coś robi. Ale on faktycznie nie przykłada do tego należytej wagi. Ja pracuję w szpitalu w Siedlcach, który nie jest szpitalem jednoimiennym, i dopiero od dwóch tygodni są u nas środki ochrony osobistej. Jako lekarz jeszcze nie miałam maseczki ochronnej FPP3, gdy politycy w Sejmie już takie dostali. Tymczasem tworzy się VIP-owskie kliniki dla zarażonych koronawirusem. To bulwersuje zwykłych ludzi.

A jakie są konkretnie zarzuty wobec wojewody Radziwiłła?

– Środowisko lekarskie bardzo zbulwersowało to, że wojewoda nazwał lekarzy zasobami. Zasobami! Jak można tak mówić?! Ale zarzuty w skardze złożonej do rzecznika odpowiedzialności zawodowej Okręgowej Izby Lekarskiej wynikają głównie stąd, że wojewoda zachował się karygodnie, kiedy zaczęły się zakażenia w domach pomocy społecznej. Co zrobił? Objął nakazem pracy np. matki na urlopie macierzyńskim, które karmią pięciomiesięczne dzieci. Te nakazy są bezprawne. Poza tym jeśli na podstawie nakazu pracy kieruje się kogoś do ośrodka, gdzie są pacjenci zakażeni koronawirusem, a jednocześnie nie ma tam środków ochrony dla personelu, to ten personel tak naprawdę jest kierowany na śmierć. Na dodatek pan Radziwiłł zawiadomił o popełnieniu przestępstwa przez osoby, które nie zgłosiły się do pracy. Minister Ziobro zamierza podobno wszczynać postępowania wobec osób, które takich bezprawnych nakazów pracy nie przyjęły. To jest skandaliczne, że wojewoda Radziwiłł próbuje zrzucić odpowiedzialność za dezorganizację w domach pomocy na lekarzy i pielęgniarki, którzy tam pracowali w sytuacji zagrożenia epidemicznego i – mimo zbyt małej obsady – zajmowali się pacjentami. Widzimy, że obarcza się winą za nieprzygotowanie do epidemii koronawirusa środowisko ochrony zdrowia. Nie damy zrobić z siebie kozłów ofiarnych. Lekarze mają leczyć i mają mieć zapewnione odpowiednie warunki do pracy. Tymczasem zamiast walczyć ze skierowanym przeciw medykom hejtem, który jest niezrozumiały i budzi oburzenie środowiska lekarskiego, wiceminister zdrowia stwierdza, że winni rozprzestrzenianiu się wirusa są właśnie lekarze, bo nonszalancko zakładają kombinezony. Powinien za to zostać zdymisjonowany.

Wojewoda Radziwiłł próbuje zrzucić odpowiedzialność za dezorganizację w domach pomocy na lekarzy i pielęgniarki.

Czy gdyby pani skargi zostały uznane za słuszne, konsekwencje dla ministra i wojewody byłyby? Czy byłoby to tylko pogrożenie palcem?

– Może to być nagana, ale w skrajnych przypadkach może to być utrata prawa do wykonywania zawodu.

•

Rzecznik odpowiedzialności zawodowej OIL ma trzy miesiące na rozpatrzenie skarg.

FOT. PAP/TOMASZ GZELL

eprasa.pl e2e639bf4b

Respirator jak tańszy samochód

Naukowcy z Bydgoszczy dostali zadanie skonstruowania prostego i taniego respiratora. Uwinęli się w kilka tygodni

Małgorzata Szczepańska-Piszcz

– Od ponad pięciu tygodni codziennie o godz.19.00 jedenaścioro szaleńców spotyka się za pomocą internetowego komunikatora i myśli intensywnie nad stworzeniem nowego respiratora – śmieje się dr inż. Franciszek Bromberek, rzecznik Uniwersytetu Technologiczno-Przyrodniczego w Bydgoszczy, jeden z tej szalonej jedenastki. Jest w tym gronie także pomysłodawca respiratora, prof. Tomasz Topoliński, rektor UTP. – Żeby pomóc w czasie pandemii, drukujemy przyłbice, a także adaptery pozwalające zamienić maskę do nurkowania w taką chroniącą przed koronawirusem. Ale przecież naszą uczelnię – a zwłaszcza naukowców skupionych przy inżynierii biomedycznej – stać na dużo więcej. Stąd mój pomysł na skonstruowanie prostego i taniego respiratora – wyjaśnia profesor.

Entuzjazmem rektor najpierw zaraził płk. dr. n. med. Roberta Włodarskiego, zastępcę komendanta bydgoskiego szpitala wojskowego, konsultanta krajowego ds. obronności w dziedzinie anestezjologii i intensywnej terapii. – To świetny pomysł, bo obecnie respiratorów po prostu nie ma na rynku. Ostatnio mój szpital chciał kupić takie urządzenie. Okazało się, że trzeba czekać w kolejce aż 24 tygodnie. W dodatku respiratory nigdy nie były tanie. Przed pandemią kosztowały przeciętnie 50-100 tys. zł. Za najbardziej zaawansowane trzeba było zapłacić nawet 120-130 tys. zł. A teraz ceny ostro poszły w górę, o ok. 30-40% – ocenia dr Włodarski.

Prosty, ale nie zbyt prosty

Błyskawicznie powstał zespół, w którym naukowców z UTP wspierają bydgoscy fachowcy z zewnątrz, np. z firmy CIMAT, producenta i dystrybutora urządzeń do wyważania elementów wirujących, czy z Medseven – dystrybutora i serwisanta respiratorów domowych.

Franciszek Bromberek: – Pierwszym i wcale nie takim łatwym zadaniem było poznanie niuansów działania respiratora. Okazało się, że to dużo więcej niż worek, jaki widujemy na filmach w karetkach wiozących nieprzytomnych pacjentów. To naprawdę skomplikowana maszyna.

W dodatku dr Włodarski zrobił wszystko, żeby bydgoski respirator nie był taki prosty. – Bo co to znaczy prosty respirator? Czy ma sens produkcja maszyny tylko mechanicznie unoszącej klatkę piersiową w górę i w dół, tak jak to robiły aparaty w latach 50. z chorymi na polio? – pyta. – Moim zdaniem respirator, który ma skutecznie pomagać w pandemii COVID-19, musi być bardziej zaawansowaną maszyną. Przekonałem do tego zespół i określiłem warunki, jakie powinien spełniać. Respirator musi działać w trzech sytuacjach. Po pierwsze, w sytuacji krytycznej, w zapaści, gdy pacjent całkowicie sobie nie radzi i maszyna przejmuje za niego oddychanie. Po drugie, w czasie zdrowienia, gdy pojawia się własny oddech, a aparatura tylko pomaga wentylować płuca i ewentualnie chwilowo przejmuje oddychanie, gdy stan się pogarsza. I po trzecie, w drugiej fazie zdrowienia, gdy potrzeba jedynie delikatnego wspomagania i monitorowania oddechu.

– Jednak najważniejsze jest bezpieczeństwo – podkreśla dr Włodarski. – Respirator musi być bezpieczny dla chorego i nie może obniżać jego szans na zdrowienie. Poza tym musi pracować bez przerwy średnio ok. 20 dni, trzy-cztery tygodnie, bo tyle przeciętnie trwa leczenie chorego na ciężkie zapalenie płuc, jakie wywiązuje się u części pacjentów po zarażeniu koronawirusem. I nasz respirator spełnia te wszystkie wymogi – cieszy się dr Włodarski.

No to jaki jest ten bydgoski respirator? Prosty czy skomplikowany? – Prosty, ale nie zbyt prosty – twierdzi dr Włodarski. – Respiratory można porównać do aut. Są samochody drogie, bardzo zaawansowane technologicznie, i są dużo tańsze, mniej zaawansowane, ale którymi też bez problemu dojedzie się z punktu A do punktu B. Nasz respirator to takie tańsze auto. Świetnie wspomoże leczenie np. COVID-19, jednak pozbawiony jest pewnych funkcji, które dodatkowo ułatwiają leczenie. Na przykład nie monitoruje oddechu w sposób pozwalający precyzyjnie określić stan płuc, co jest przydatne, ale przecież i bez tego doświadczony lekarz da sobie świetnie radę.

– Nasz bydgoski ma tylko trzy tryby oddechowe, a szpitalne mają czasem nawet 10-12 – wskazuje kolejną różnicę Mikołaj Astukiewicz z firmy Medseven, absolwent inżynierii biomedycznej bydgoskiego UTP, jeden z najmłodszych w szalonej jedenastce.

A może łatwiej byłoby, zamiast konstruować prosty respirator, kupić dla szpitali respiratory domowe? – Nie spełniłyby zadania w leczeniu COVID-19 – ucina wątpliwości Astukiewicz. – Te domowe aparaty można wprawdzie podłączyć do koncentratora, który wzbogaca mieszaninę oddechową tlenem do maksymalnie 45%, ale zakażeni koronawirusem, cierpiący na ciężkie zapalenie płuc, potrzebują wzbogacenia nawet o 80%. Czasem trzeba im podawać

Respirator musi pracować 20 dni bez przerwy.

Jeszcze w maju rozpocznie się prototypowa produkcja.

eprasa.pl e2e639bf4b

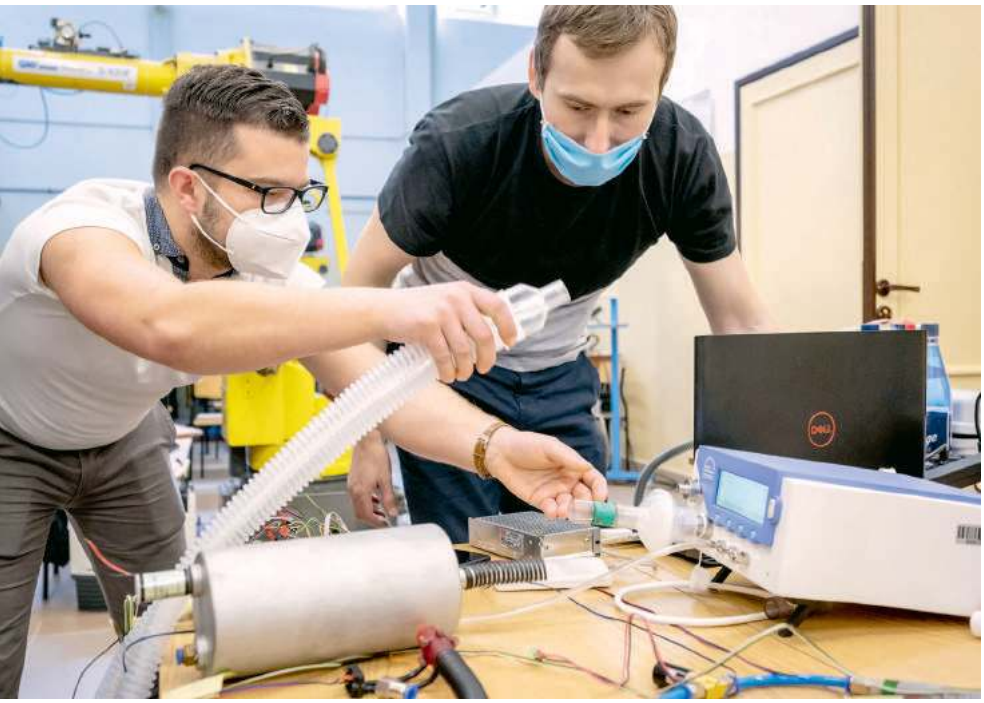

Bydgoski respirator świetnie wspomoże leczenie pacjentów z COVID-19.

SZALONA JEDENASTKA

Uniwersytet Technologiczno-Przyrodniczy:
dr inż. Sylwester Wawrzyniak
dr inż. Franciszek Bromberek
mgr inż. Sandra Śmigiel
prof. dr hab. inż. Tomasz Topoliński
dr inż. Ryszard Wocianiec

Firma CIMAT:
mgr inż. Szymon Wiśniewski
mgr inż. Piotr Kułeczko
mgr inż. Maciej Burczyk

Firma Medseven:
mgr inż. Mikołaj Astukiewicz

Konsultacje i nadzór medyczny:
płk dr n. med. Robert Włodarski
dr inż. Andrzej Topoliński

czysty tlen. A to nie jest możliwe w domowym respiratorze.

Efekty burzy mózgów

– Największym wyzwaniem było oprogramowanie. Żeby zgrać różne funkcje i utrzymać parametry w czasie różnych zdarzeń, np. gdy pacjent przewróci się z boku na bok – uważa Mikołaj Astukiewicz. – Koledzy z CIMAT świetnie wywiązali się z zadania.

– Najtrudniejsze było to – twierdzi dyrektor techniczny CIMAT Szymon Wiśniewski – żeby w krótkim czasie zaprojektować jak najprostszy, ale w pełni użyteczny sprzęt, skuteczny jako narzędzie leczenia. Coś zupełnie innej klasy niż elementy do respiratora drukowane na drukarce 3D czy siłownik osadzony na piłce ambu, o czym media donosiły w ostatnich tygodniach.

– Miał to być sprzęt tani i z podzespołów krajowych. Nie do końca nam się udało – uchyla rąbka tajemnicy dr Bromberek. – Musieliśmy np. użyć japońskiego czujnika zawartości tlenu. Ale nawet z tymi markowymi podzespołami prototypowy respirator kosztował nas nie więcej niż ok. 8-12 tys. zł. Czyli udało się skonstruować aparaturę konkurencyjną cenowo. Tanią i prostą. Zadanie zostało wykonane! A przecież, gdy już się dowiedzieliśmy, jak wielkim wyzwaniem jest konstruowanie respiratora w takim tempie, pomyślałem, że to zadanie ponad nasze siły. Nie miałem racji – nie kryje satysfakcji rzecznik UTP.

– Burza mózgów daje niesamowite rezultaty. Poza tym bardzo dużo wnosi świeże spojrzenie. Naukowcy z UTP nigdy wcześniej nie budowali respiratorów, są wolni od rutyny i dlatego stać ich na oryginalne rozwiązania – chwali dr Włodarski.

– Projekt techniczny już jest gotowy. Przeszedł pozytywnie pierwsze testy. Mimo to jeszcze go trochę udoskonalamy. Ostatnio wymieniliśmy czujniki na takie wyższej klasy, produkowane przez Emersona – relacjonuje dr Bromberek. – Ale przede wszystkim obudowujemy ten nasz projekt laboratoryjny, żeby przybrał postać aparatu, maszyny. Wyposażamy w przyłącza, którymi dysponują szpitale. I już za chwilę sprawdzimy działanie respiratora na specjalnym sztucznym płucu użyczonym przez Medseven, które kosztuje aż 250 tys. zł i ma możliwość symulowania choroby.

Zdążyć przed drugą falą

– Niemal od początku mamy wsparcie wiceministra nauki i szkolnictwa wyższego prof. Wojciecha Maksymowicza. Dzwoni, pyta o postępy. A pod koniec kwietnia MNiSW przyznało nam 125 tys. zł na prace nad respiratorem – nie kryje zadowolenia rektor Topoliński. – Przed nami rejestracja w Urzędzie Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych. Obiecano priorytetowe rozpatrzenie. Wszystko wskazuje, że jeszcze w maju ruszy prototypowa produkcja, którą najprawdopodobniej zajmie się bydgoski CIMAT – relacjonuje.

Przed pandemią respiratory kosztowały przeciętnie 50-100 tys. zł. Ten z Bydgoszczy kosztuje 8-12 tys. zł.

– Mamy certyfikat umożliwiający produkcję urządzeń medycznych. I wiele doświadczenia w sterowaniu pneumatyką, nabytego przy regulacji turbin samochodowych. Wytwarzaliśmy też podzespoły do maszyn medycznych – wylicza dyr. Wiśniewski z CIMAT. – Do produkcji moglibyśmy przystąpić w ciągu kilku tygodni.

– I od razu te prototypowe respiratory trafią do szpitali na badania kliniczne – tłumaczy dr Bromberek. – Jeśli się sprawdzą, ruszy produkcja na większą skalę.

W Bydgoszczy bardzo się śpieszą, żeby zdążyć z nowymi respiratorami przed jesienną, drugą falą COVID-19. ■

FOT. PAP/TYTUS ŻMIJEWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

Żłobkowo-przedszkolny surrealizm

Jak wytłumaczyć trzyletniemu dziecku, że ma utrzymać dwumetrowy dystans od rówieśnika?

Przygotowania do otwarcia miejskiego przedszkola nr 17 w Zielonej Górze.

Beata Igielska

– Jak wytłumaczyć trzyletniemu dziecku, że ma utrzymać dystans 2 m od rówieśnika, z którym cały czas się bawi? W jaki sposób dziecko zareaguje na to, że pani, do której się tuliło i szło na ręce, gdy było mu smutno, teraz ma maseczkę i przyłbicę, a ono nie może do niej się zbliżać? To jest też sprawa dla psychologa – zastanawia się tuż po ogłoszeniu przez rząd decyzji o otwarciu 6 maja żłobków i przedszkoli Tadeusz Truskolaski, prezydent Białegostoku. W ciągu doby od kontrowersyjnej decyzji, tj. od 29 kwietnia, kilkanaście miast, m.in. Poznań, Warszawa, Gdańsk, Łódź, Białystok, Piekary Śląskie, Świdnica, Sosnowiec, Katowice, Rybnik, Gliwice i Mikołów, ogłosiło, że żłobków ani przedszkoli otwierać nie zamierza. Jedynie prezydent Płocka od razu zadeklarował pełną gotowość. Wiceprezydent Łodzi Małgorzata Moskwa-Wodnicka: – Jeśli do placówki uczęszcza powiedzmy 300 dzieci, to jak mam przekazać rodzicom, że co trzecie nie powinno przychodzić do przedszkola? Wyeliminowani z pracy z najmłodszymi mają być pracownicy powyżej 60 lat, a część naszych opiekunek jest w takim wieku.

Aleksandra Dulkiewicz, prezydent Gdańska, w liście do premiera pisze: „Bez szczegółowych wytycznych ze strony rządu, a zwłaszcza Ministerstwa Zdrowia i Ministerstwa Edukacji Narodowej, nie widzę możliwości bezpiecznej organizacji pracy podległych mi placówek". Prezydent Szczecina Piotr Krzystek: „To będzie jedna z trudniejszych decyzji". Prezydent Sosnowca Arkadiusz Chęciński: „Podjąłem decyzję, aby 6 maja nie otwierać żłobków i przedszkoli z uwagi na wysoki poziom zakażeń COVID-19 w województwie śląskim (od kilku dni najwyższy wskaźnik w Polsce)". Jacek Sutryk, prezydent Wrocławia: „Wytyczne są nieostre i nie były konsultowane z samorządami".

Show i konferencje prasowe

Nieco zdezorientowany i zaskoczony rząd zwołuje więc konferencję prasową, na której widać irytację jego przedstawicieli. O Rafale Trzaskowskim oczekującym jasnych rozporządzeń, a nie kolorowych grafik, jak mają działać placówki w czasie epidemii, lekceważąco wypowiada się Dariusz Piontkowski, minister edukacji. Na Facebooku Trzaskowski przypomina, że chodzi o zdrowie i bezpieczeństwo 73 tys. warszawskich dzieci, ich rodziców i opiekunów oraz 16 tys. pracowników przedszkoli, żłobków i ich rodzin. Piontkowski przejeżdża walcem również po prezydencie Białegostoku, który zapowiedział, że nie otworzy placówek do 24 maja. Pokazuje esemesa od załamanej tym faktem nauczycielki.

Dziennikarze pytają o środki higieny osobistej. Łukasz Szumowski, minister zdrowia, odpowiada, że do samorządów poszło milion litrów płynów, „a poza tym dzieci w placówkach równie dobrze mogą myć ręce wodą z mydłem".

Mariusz Wiśniewski, zastępca prezydenta Poznania, śmieje się z ilości płynu, jaka trafia do miasta – wychodzi 6,5 litra na oddział. Z kolei Jacek Jaśkowiak, prezydent Poznania, podsumowuje: – W przeciwieństwie do rządu nie prowadzimy *show* i konferencji prasowych, tylko podejmujemy konkretne działania, których celem jest ochrona życia i zdrowia mieszkańców Poznania.

Na decyzję rządu natychmiast też reagują krytycznie instytucje oświatowe, samorządowe i medyczne. Na przykład według Porozumienia Pracodawców Ochrony Zdrowia zniesienie tego obostrzenia jest najgorszym, co mogło się wydarzyć. Apelują do rodziców, aby nie posyłali dzieci do placówek, jeśli tylko mają taką możliwość.

Samorządy kupują sobie trochę czasu, tworzą procedury, gromadzą środki dezynfekcyjne, o ile mają na nie pieniądze, ślą do przedszkoli ankiety, sprawdzają, ilu dzieci faktycznie mogą się spodziewać. Warszawscy rodzice przedszkolaków mają szybko odpowiedzieć na pytanie, czy deklarują chęć skorzystania z opieki przedszkolnej w trakcie epidemii COVID-19 od 18 maja 2020 r. I dalej – ze względu na ograniczenie

eprasa.pl e2e639bf4b

do dwanaściorga liczby dzieci w grupie, przy założeniu minimalnej powierzchni 4 m kw. na dziecko, ustalając kolejność przyjęć, stosuje się następujące kryteria pierwszeństwa: przynajmniej jedno z pracujących rodziców wykonuje pracę w systemie ochrony zdrowia, służbach mundurowych, handlu i przedsiębiorstwach produkcyjnych; rodzic samotnie wychowuje dziecko. Jeśli zaś zgłosi się więcej dzieci, niż jest miejsc, stosuje się dodatkowe kryteria: dziecko z rodziny wielodzietnej (troje i więcej dzieci w wieku szkolnym); mające niepełnosprawne rodzeństwo; wychowywane przez niepełnosprawnego rodzica/rodziców. W Krakowie podobne weryfikacje odbywają się do 15 maja.

Jedno wielkie nie wiem

Powrotem dzieci do przedszkoli zainteresowani są żywo dziadkowie. Zastanawiają się, czy rząd pomyślał o testach dla wychowawców. Przecież nie ma żadnych gwarancji, że personel nie jest cichym nosicielem wirusa. Martwi ich też trzymanie dystansu przez wychowawców – jak mają prowadzić zajęcia z dwanaściorgiem dzieci i zachować odległość?

– Praca przedszkoli to jedna wielka niewiadoma – mówi Dorota, nauczycielka wychowania przedszkolnego z Krakowa. – W maju nie mamy zbyt dużego zainteresowania rodziców. Część deklaruje posłanie dzieci od czerwca, ale też niewielu. Nie wyobrażam sobie zachowania odległości w grupie dzieci żłobkowych czy przedszkolnych. To nierealne. Wprawdzie możemy oglądać obrazki z Japonii, jak dzieci siedzą sztywno w przepisowych odległościach, ale czy o to chodzi, zwłaszcza po dwóch miesiącach siedzenia w domu, praktycznie bez możliwości wyjścia na spacer? Dzieci muszą się bawić, taka jest ich natura.

Kamila, właścicielka prywatnego żłobka i przedszkola w Warszawie, uważa, że za decyzją stoją forsowane wybory prezydenckie. Największy żal do rządzących ma o brak jasnych procedur. – Od kilku dni zadaję sobie pytanie, czy dobrze się zabezpieczyliśmy. Najważniejsza jest dezynfekcja rąk przez rodziców – w szatni może przebywać tylko jeden. Dzieci od razu po wejściu do nas będą myły ręce, bo dwulatki potraktowane płynem ze stacji benzynowej miałyby skórę jak papier. Wyzwaniem będzie niedopuszczanie do stykania się grup. Ponieważ użytkujemy sporą powierzchnię, nie mieliśmy problemu z zapewnieniem przepisowej powierzchni na dziecko. Podobnie nie mieliśmy kłopotu ze stworzeniem izolatki. Do czasu przyjazdu rodzica przebywać w niej będzie z chorym dzieckiem nauczycielka w przyłbicy, maseczce, foliowym fartuchu. Nie będziemy w stanie zweryfikować, co dziecku jest: zwykłe przeziębienie czy COVID-19. Problem będzie, jak wszyscy się zakazimy i wylądujemy na kwarantannie. Na piętrze u nas może przebywać czternaścioro dzieci. Miejsca dla wszystkich, czyli pięćdziesiątki, nie wystarczy. Jednak część rodziców na razie nie chce przyprowadzać dzieci. Czekają chyba na 24 maja, kiedy rząd ogłosi, że wszystko otwiera.

– Najbardziej absurdalny jest zapis o odkażaniu zabawek po każdym dziecku i wypraszaniu w tym czasie grupy z sali – zwraca uwagę Kamila. – Tu trzeba użyć zdrowego rozsądku. Obecnie rodzice podpisują oświadczenia, że są zdrowi, nie przebywają na kwarantannie, nie mieli kontaktu z zakażonym. Muszę im wierzyć na słowo, bo jak to sprawdzę? Takie oświadczenia służą raczej zabezpieczeniu nas w razie nieszczęścia. Nauczycielki i opiekunki nie boją się powrotu do pracy. Dwie się nie stawią – jedna ma 60 lat, druga poważnie chorego partnera. Przez te kilka dni od ogłoszenia decyzji o otwarciu do teraz nie wyrabiam się z tworzeniem procedur. Szczerze powiedziawszy, większość wyjmuję wprost z rozporządzenia. Nie dostaliśmy nic na środki odkażające. Z tego, co wiem, np. w Łodzi rozwozi je straż pożarna.

Minister „wydaje mi się”

Andrzej Porawski ze Związku Miast Polskich na pomyśle otwarcia żłobków i przedszkoli nie zostawia suchej nitki. – W krajach, gdzie współczynnik zakażania oscyluje wokół 0,6-0,9, nie ma decyzji o otwarciu placówek. W Polsce taką decyzję podejmuje się przy współczynniku 1,11. I wszystko spycha się na samorządy. A tarczy antykryzysowej dla nas nadal nie ma. Rząd jest więc co najmniej niepoważny. Dla równowagi poważni są poszczególni samorządowcy. Chylę przed nimi czoła. Powiatowe sanepidy różnie się odnoszą do ich licznych pytań. Na przykład w Rybniku inspektor sanitarny po rozpoznaniu sytuacji nie zarekomendował otwierania żłobków i przedszkoli, natomiast w Sosnowcu wysilił się bardzo, przysyłając jako odpowiedź tzw. wytyczne głównego inspektora sanitarnego. Mówię nie bez kozery tzw. wytyczne, bo jest to zbiór niedorzeczności w stylu: dzieci w przedszkolu mają zachować dystans. Czy ten pan był kiedykolwiek w przedszkolu? Dla mnie podsumowaniem sytuacji jest wywiad z, przepraszam za wyrażenie, ministrem edukacji, Dariuszem Piontkowskim, zamieszczony w serwisie samorządowym PAP. Kilkakrotnie padają w nim słowa „wydaje mi się”. Temu panu coś się wydaje i na tej podstawie podejmuje decyzje ważące o czyimś zdrowiu i życiu!

– Nauczyciele w zdecydowanej większości są przeciwni powrotowi dzieci do placówek. Rodzice – kilka, kilkanaście procent jest za, ze względu na powrót do pracy. Jednak większość wybiera zdrowie dziecka. Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Marlena Maląg opowiada, że gminy otrzymają środki ochronne do pracy w reżimie sanitarnym od Agencji Rezerw Materiałowych za pośrednictwem wojewodów. Tymczasem to wojewodowie proszą gminy o zakup tych środków, ilekroć występuje sytuacja krytyczna, zakażenia – irytuje się Porawski. – Może i agencja ma jakieś środki, ale jak je dystrybuuje?

Podobnie złe zdanie na temat otwarcia żłobków i przedszkoli wyraża Marek Pleśniar z Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Kadry Kierowniczej Oświaty. – Nie bardzo rozumiem,

Jeśli do placówki uczęszcza 300 dzieci, to jak mam przekazać rodzicom, że co trzecie nie powinno przychodzić do przedszkola?

FOT. MARIUSZ KAPAŁA/GAZETA LUBUSKA/POLSKA PRESS

eprasa.pl e2e639bf4b

dlaczego, gdy krzywe zachorowań pną się w górę, zapada decyzja o otwarciu placówek oświatowych dla najmłodszych. To niewątpliwie decyzja polityczna. I oczywiście wpłynie na wzrost zachorowań. Należało zacząć od licealistów, którzy są świadomi zagrożenia, łatwiej ich zdyscyplinować. Dość surrealistycznie wyglądają stroje dla dyrektorów, nauczycielek, procedury z niewpuszczaniem rodziców. Dla małych dzieci to będzie niezły stres. No i kwestia nieszczęsnej izolatki – kto i jak ma rozpoznać, czy to zwykły katar, czy już COVID-19? Nauczyciele, woźne, kucharki, personel pomocniczy nie są pracownikami szpitala zakaźnego, mają prawo do bezpieczeństwa i higieny pracy. A co w przypadku, gdy dziecko będzie zakażone? Zamknie się całe przedszkole z personelem, tak jak to się robi ze szpitalami? Czy rodzic ma prawo zabrać dziecko z izolatki, czy powinna przyjechać karetka? A co z dziećmi z zespołem Aspergera, które mają problem z kontrolowaniem emocji? Na razie dowiedziałem się, że panu ministrowi edukacji „wydaje się".

Jak to robią w Skandynawii?

Już 15 kwietnia szkoły i przedszkola zaczęła uruchamiać Dania, gdzie zajęcia zostały zawieszone 12 marca. Podobnie jak w Polsce nauczanie odbywało się online. Nie szło podobno najlepiej. Prowizorką nazwał efekty jeden z duńskich publicystów piszących o edukacji.

Przed uruchomieniem placówek rządzący przygotowali konkretne rekomendacje, a dyrektorzy musieli nieźle się nagimnastykować, by sprostać choćby zaleceniu rozpoczynania zajęć o różnej porze. Obiady też musiały być rozłożone w czasie. I jak najwięcej lekcji miało się odbywać na powietrzu. WF bez gier wymagających bliskości, bez przytulania i ściskania. Uczniowie w klasach mają siedzieć w odległości co najmniej 2 m, więc wiele szkół podzieliło klasy na mniejsze grupy. Dzieci myją ręce po wejściu do szkoły i na każdej przerwie.

Mimo dużego zaufania do działań rządu nie wszystkim Duńczykom spodobało się otwieranie szkół i przedszkoli. Na Facebooku powstała grupa „Moje dziecko nie powinno być świnką morską, na której testuje się COVID-19". To protest rodziców przeciwko otwarciu przedszkoli podpisany przez prawie 30 tys. osób. Niezły wynik jak na liczącą 5 mln mieszkańców Danię. Niestety, rodzice mieli rację, bo od momentu ponownego otwarcia szkół i przedszkoli współczynnik zakażeń w Danii wzrósł. Analizę przeprowadziła duńska agencja ds. chorób zakaźnych, Statens Serum Institut (SSI). Porównano wyniki z 15 i 30 kwietnia. Okazało się, że wskaźnik reprodukcji, zwany R, wzrósł od czasu złagodzenia obostrzeń i wynosi obecnie 0,9, a dwa tygodnie temu było to 0,6. Gdy wskaźnik osiągnie 1,0, oznacza to, że każda zakażona osoba przeniosła chorobę na kogoś innego.

W Norwegii tamtejsza minister edukacji Guri Melby zapewniała, że powrót do przedszkoli jest w pełni bezpieczny. Czy na pewno? Szkoła Nordtvet w Oslo przełożyła planowany powrót uczniów na 4 maja. Troje z nich było zakażonych koronawirusem. Wcześniej COVID-19 wykryto u dwóch pracowników. W Karmøy na kwarantannie przebywa ponad 50 osób, w tym 26 dzieci z dwóch przedszkoli.

Jasne, że mimo lęku o zdrowie i życie musimy zacząć wracać do normalności, musi ruszyć gospodarka. Inaczej wszystko runie. Jasne, że COVID-19 musimy oswoić, mniej więcej jak grypę. Ale nie można uprawiać politycznej hucpy spod znaku wyborów prezydenckich kosztem zdrowia najmłodszych – bez przygotowania sztywnych, klarownych procedur, bez zabezpieczenia środków potrzebnych do zachowania reżimu sanitarnego w otwartych na nowo żłobkach i przedszkolach. Nie można wszystkiego zrzucać na barki samorządów i dyrektorów placówek. Już raz to zrobiono, tworząc rozporządzenie o edukacji zdalnej. Tyle że szkoła jest instytucją stworzoną do edukacji i lepiej czy gorzej radzi sobie z tym zadaniem. Natomiast na pewno nie zna się na medycynie, bo nie musi. Dlatego tak ważne jest stworzenie poczucia bezpieczeństwa pracownikom instytucji edukacyjnych, a przede wszystkim uczniom i ich rodzicom. Inaczej łatwo sobie wyobrazić, że w Polsce nauczyciele i rodzice zaczną wytaczać dyrektorom i samorządom procesy sądowe o odszkodowania, kiedy dojdzie do zarażenia. Między innymi dlatego właśnie rząd powinien zrozumieć, że nie można puścić na żywioł opieki nad najmłodszymi. O zdrowiu i życiu dzieci i kadry nie wspominając.

Beata Igielska

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

EDWARDA BRZOSTOWSKIEGO

Twórcy Kombinatu Rolno-Przemysłowego „Igloopol", wiceministra rolnictwa i gospodarki żywnościowej, posła na Sejm, prezesa PZPN, burmistrza Dębicy. Żegnamy Człowieka wielkiej pasji, mądrości i wiedzy. Przyjaciela, który swoją serdecznością budził w nas ufność i wzajemną życzliwość. Społecznika, który potrzebującym niósł pomoc. Był dobrym człowiekiem. Bedzie nam Go brakowało!

Żonie i Rodzinie

składamy wyrazy głębokiego współczucia.

Przyjaciele

Bronisław Ciaś, Jerzy Domański, Karol Gębka, Jan Glacel, Adam Glazur, Adam Gocel, Manfred Gorywoda, Tadeusz Haładaj, Krzysztof Janik, Józef Kozioł, Franciszek Kubiczek, Edward Kuczera, Zdzisław Kurowski, Bożena Messner, Edward Mikołajczyk, Kazimierz Olesiak, Witold Pereta, Antoni Piechniczek, Wojciech Ratyński, Wacław Seroczyński, Czesław Siekierski, Zbigniew Szałajda, Józef Wiśniewski, Andrzej Żor

eprasa.pl e2e639bf4b

Oko w oko Tomasz Jastrun

Trzy plagi

Jadę na rowerze do Lidla. Pustą ulicą sunie samochód policyjny, przez megafon orwellowskim głosem ostrzega, że czas zarazy, nie wychodzić z domu. Wieje grozą. Zamknięte restauracje i sklepy, drzewa puściły pąki, ale wiosna nie ma takiego zapachu jak zwykle. Wiatr porywa białe i niebieskie plastikowe rękawiczki. Idzie bezdomny w strasznym stanie, ma jednak maseczkę, ona też w strasznym stanie.

Już w sklepie uderza mnie dziwność, kupujący poruszają się jak na zwolnionym filmie. I nagle widzę, że wszystkim, dosłownie wszystkim spod masek wystaje starość. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nagle uświadamiam sobie, że jest przed godz. 12, to zakupowa pora dla starców, co przegapiłem. Niepokój, że mnie wyrzucą ze sklepu. Mam 69 lat, ale przecież jestem młody, mam tyle zielonych gałęzi, siadają na nich nawet ptaki. Pośpiesznie płacę i uciekam. A potem z trudem gramolę się na rower. Zostałem w sklepie zmieniony w staruszka.

•

Żeby nie siedzieć tylko w domu, jedziemy za Węgrów, do wsi, gdzie miałem kiedyś domek, który sprzedałem szczęśliwie Krysi Jandzie i Marysi Seweryn. Nie jechałem tą trasą z dziewięć lat. Poruszają zmiany, nowe domy, sklepy, odnowiona szosa. Jeździłem tędy setki razy, chyba bezbłędnie wychwytuję każdą zmianę. I każda zmiana porusza zastygły czas. Łapie nas ulewny deszcz. Mijamy Węgrów, przy pałacu w Starejwsi skręcamy w polne drogi. Nasz dawny dom, drewniany, stał tuż przy dużym lesie, na dwóch hektarach. Nie miałem pomysłu, by wchodzić na posesję, ludzie boją się ludzi, zresztą nie mam telefonu do Marysi Seweryn, mógłbym w każdej chwili go zdobyć, ale to kiedy indziej. Deszcz słabnie, podkradam się lasem, biały pies, dwa samochody i gęsto od dużych drzew, a pamiętam, jak były tu zaorane pola, teraz taki potężny las. Wyrósł też jakby we mnie. I rzuca wielki cień. W pobliżu w ruinie mały, drewniany, biały domek, gdzie mieszkał pan Gala z żoną i kozami; oplecione już korzeniami jego małe gospodarstwo.

Wracamy na rynek w Węgrowie, ukoronowany barokowym kościołem. Rynek zrewitalizowany, nowa nawierzchnia, fontanna, punkty świetlne, wielka zmiana. Zajeżdżamy potem do zamku w Liwie, odnowiony, dobudowano fragmenty murów. Ustawiono zabytkowe armaty. Powrót już w słońcu. A wszędzie plakaty „Duda prezydent Polski" i czasami mignie nacjonalista Bosak, innych plakatów wyborczych nie ma. No to mamy wybory.

•

Odchodzą do magazynu przeszłości różne stereotypy na temat Polaków. Choćby ten, że niezdyscyplinowani. Połączenie surowych kar z lękiem przed wirusem spowodowało, że rodacy zachowali się w czasie kwarantanny karnie. Odchodzi też w niebyt mit inny, że Polacy nad wyraz kochają wolność. Teraz dają się zniewolić przez jednego człowieka. Straciliśmy złudzenie, że jest jedna Polska, bo są trzy: parafialno-prawicowa, liberalna i obojętna. Kiedyś Ludwik Dorn pytany przeze mnie o wybory – wyraziłem opinię, że sfałszują – przekonywał, że to niewykonalne. Teraz widać, że wykonalne, może nie sfałszują, ale podfałszują. Przejęli już niemal wszystko. Zostały wybory. I wolne media. Nie będzie to jednak dyktatura, lecz dyktaturka. Ale jesteśmy w Polsce, gdzie wszystko, co złe i dobre, jest niedorobione. A może i ten stereotyp odchodzi już do lamusa?

Los pokarał nas Kaczyńskim, ale też nieurodzajem uczciwych graczy o sprycie politycznym.

•

Piszę przed czwartkowym sejmowym „głosowaniem wyborczym" – bojkot tych wyborów jest złym wyborem, jeszcze gorszym jest ich nie bojkotować, a najgorsze, kiedy każdy z opozycyjnych polityków mówi co innego w tej sprawie. Stojąc nad krawędzią przepaści, ludzie opozycji nie potrafią uzgodnić wspólnej taktyki. Los pokarał nas Kaczyńskim, ale też nieurodzajem uczciwych graczy o sprycie politycznym. No i ta plaga, a właściwie trzy plagi: PiS, koronawirus i susza. Jedyna pociecha, że przyszłość jest przebiegła, nie ma na nią mądrych. Pewne tylko co do przyszłości, że będzie inaczej, niż myślimy, że będzie. A to rodzi pewne nadzieje.

•

Duda już nie mówi, tylko pieje, patetyczny zapiewajło narodowy. Perspektywa, że będę musiał go oglądać przez następne lata, jest straszna. Ale Amerykanie mają ten sam problem z Trumpem, a Brytyjczycy z Johnsonem.

Narasta chaos, w chwili gdy grozi nam krach ekonomiczny. Tak kiedyś rozebrano Polskę. Teraz nikt nie chce nas rozebrać, to sami się rozbieramy.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

Mój przyjaciel Fryc

II wojna światowa oczami **Andrzeja Werblana**: Najlepsi w naszej armii byli żołnierze Wehrmachtu

Rozmawia Robert Walenciak

Wojenne losy Andrzeja Werblana są odbiciem losów większości żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego. Zamieszkały na Kresach, został w roku 1940 zesłany na Syberię. Tam pracował w kołchozie. Po układzie Sikorski-Majski jechał do armii Andersa, ale do niej nie dotarł; w drodze zachorował na tyfus. Wrócił do kołchozu i do polskiej armii dostał się dopiero za drugim podejściem.

Oto fragmenty jego wspomnień z książki „Polska Ludowa. Postscriptum" (Wydawnictwo Iskry, Warszawa 2019).

Kierunek: Riazań

– (…) Miesiąc później wezwali mnie na komisję wojskową. Okazało się, że organizuje się polskie wojsko. I że do tego wojska zostałem powołany.

Dali panu bilet…

– Nie od razu! Lekarka, która nas badała, polska Żydówka, osłuchała mnie i powiedziała: „U pana jest jakaś wada serca. Ja to muszę powiedzieć". I powiedziała. Zmartwił się przewodniczący komisji, bo tych poborowych miał kilku tylko. I zaczął mnie wypytywać, jak ja się czuję. Odpowiedziałem: „Dobrze!". „A czy chcecie pójść do wojska?". Odpowiedziałem: „Bardzo!". „I mimo tego, co ona mówi, jesteście gotowi pójść?". „Tak!". „Choroszo, ja was w oficerskuju szkołu poszlu! A na razie – powiedział – wracajcie do kołchozu, do pracy".

(…) Pod koniec lipca przysłali mi wezwanie, prosto na stację miałem się stawić, tam mi dostarczą dokumenty i bilet. Odbyło się typowe wiejskie pożegnanie odchodzącego na wojnę. Cała wieś odprowadziła mnie, tak jak odprowadzała swoich, do granicy pól. Szła nasza powózka, zaprzężona w kołchozowego ogiera, sam przewodniczący zdecydował się mnie odwieźć. Piechotą szliśmy koło tej powózki, moja rodzina i cała wieś. I u granicy pól zatrzymaliśmy się, odbyło się pożegnanie, całowanie się, wszystko… Potem wsiedliśmy na powózkę, pojechaliśmy, wieś została. Przewodniczący kołchozu odwiózł mnie na dworzec. Na stacji wsiadłem do pociągu. Dokumenty otrzymałem do Riazania. I w ten sposób zaczęło się moje wojsko.

20-letni Andrzej Werblan jako dowódca plutonu w 1. Brygadzie Pancernej WP, Warszawa-Praga, 1944 r.

Szybko pan tam dojechał?

– To trwało chyba z 12 dni. Różnie było, czasem normalnym wagonem z miejscami do spania, częściej wagonami towarowymi. Po kilku dniach miałem trzech kolegów, Polaków, podobnie jak ja jadących do Riazania. Na węzłowych stacjach zajmowali się podróżującymi poborowymi i wojskowymi komendanci stacji, wsadzali nas do właściwych pociągów, zaopatrywali w suche racje żywnościowe. Ostatni odcinek drogi ze stacji Ruzajewka do Riazania jechałem na dachu. Bo nie było miejsc w środku. A śpieszyło nam się do tego wojska. Jechaliśmy w towarzystwie kilku radzieckich marynarzy, którzy wracali ze szpitala do Murmańska, i oni też chcieli dostać się na swoje okręty. Szybko.

Z tym wojskiem mieliśmy szansę

Dlaczego im się śpieszyło do wojska?

– Dlatego, że chcieli wrócić na swoje okręty. Nie chcieli, żeby ich posłali na inne. A my? Z patriotyzmu śpieszyliśmy się do wojska.

Przecież pan wiedział, że ludzie na froncie giną.

– Każdy wiedział, że na wojnie się ginie. Ale każdy miał nadzieję, że on nie zginie. Na wojnę idzie się z nadzieją, że się ją przeżyje.

A nie przeszkadzało, że to wojsko nie do końca polskie?

– Nie. Bo ono było jednak polskie. To nieprawda, że nie było polskie. Wszystkim nam przyświecało – wrócić stamtąd, do siebie, do kraju. Z tym wojskiem mieliśmy szansę.

Lepiej być na wojnie niż w kołchozie?

– Na Syberii przeżyłem różne, najczęściej bardzo ciężkie czasy, i głodu, i zimna, i poniewierki. Siedmioosobową rodziną mieszkaliśmy cały czas w jednej izbie. Nikt nie chodził do szkoły… Matka sama, ona była z zawodu nauczycielką, młodsze dzieci uczyła. Nawet po amnestii Sikorskiego-Majskiego byliśmy faktycznie podludźmi. To nam dawali paszporty, dokumenty, że jesteśmy wolnymi ludźmi, to nam je zabierali. To pozwalali mieszkać w Pawłodarze, to wyganiali z Pawłodaru. To było upokarzające. Warunki życia były dla nas zupełnie dramatyczne w porównaniu z tym, jak żyliśmy przed wojną (…).

I byliście tą grupą, która wprowadzała w Polsce ustrój socjalistyczny.

– My? Nikt nam tego nie mówił. Wręcz przeciwnie! Słowo socjalizm było zakazane w 1. Armii. Była tylko demokracja. Komuniści, ci nasi ofice-

Słowo socjalizm było zakazane w 1. Armii. Była tylko demokracja.

eprasa.pl e2e639bf4b

rowie polityczni, mieli zakaz mówić o jakimkolwiek socjalizmie. Starannie wystrzegali się tego, żeby nam powiedzieć, że niosą coś na podobieństwo Związku Radzieckiego. Gdyby powiedzieli, że mamy sowietyzować Polskę, mieliby z tym wojskiem na pieńku. Zresztą nie sądzę, żeby oni, sami ci komuniści, wtedy tak myśleli. Oni raczej sądzili, że Stalin kazał, że to ma być demokratyczny ustrój, a nie radziecki. Takie było wyobrażenie. Wracaliśmy do kraju z przekonaniem, że to będzie po trosze jak przed wojną. Może trochę sprawiedliwiej.

A miał pan świadomość, że Tarnopola w Polsce nie będzie?

– Dla nas było istotne, że my wyjdziemy ze Związku Radzieckiego, z Syberii wrócimy do siebie. Choć raczej już nie do Tarnopola. To żeśmy wiedzieli i z tym żeśmy się pogodzili. (…)

Frontowy kolega z Wehrmachtu

Mówi się, że przyjaźnie z wojny są najtrwalsze.

– Powiem panu o jeszcze jednej… Pod koniec 1943 r. albo na początku 1944 do naszej armii wcielono grupę żołnierzy z Wehrmachtu, którzy dostali się do radzieckiej niewoli pod Stalingradem i pod Kurskiem. Byli to Ślązacy. Z volkslisty, powołani do Wehrmachtu, którzy w radzieckiej niewoli zgłosili chęć służby w wojsku polskim. Trafiło ich do naszej brygady kilkudziesięciu. Do naszego batalionu przyszło kilkunastu. Byli to wyśmienici żołnierze. Doskonale wyszkoleni, odporni na stres. Ostrzelani już. Z jednym się zaprzyjaźniłem. Był o rok, dwa ode mnie starszy. Z Chorzowa. Joachim Koczy. Blondyn, z wąsikiem. W Wehrmachcie był feldfeblem. Chociaż miał średnie wykształcenie. Ale tych, którzy nie byli Reichsdeutschami, do oficerskich stopni nie dopuszczano. Koczy był żołnierzem doskonałym. Z wielką odpornością na stres walki. Z umiejętnością dowodzenia. Odważny, ale rozważny. Po kilku miesiącach dowodził w naszym batalionie plutonem, a w zimowej kampanii 1945 r. – kompanią. Po wojnie był zastępcą dowódcy batalionu, w stopniu kapitana. Zaprzyjaźniłem się z nim, wiele od niego dowiedziałem się o Wehrmachcie. Włącznie z tym, że kiedyś urządził nam koncert, on dobrze śpiewał, wojskowych piosenek hitlerowskich. Ciekawi byliśmy tego. Wtedy po raz pierwszy usłyszałem w jego wykonaniu „Horst Wessel Lied": „Die Strasse frei den braunen Bataillonen". Po wojnie utraciliśmy kontakt. Spotkałem go tylko raz, w 1948 r., na ulicy w Warszawie, był majorem w strukturze ministerstwa obrony. Upłynęło ponad 10 lat. Jestem w Chinach, w Pekinie, w delegacji studyjnej, sześciotygodniowej. Jerzy Morawski był na jej czele. Na początku mieszkałem w hotelu Pekin, niedaleko placu Tian'anmen. I oto rano wychodzę na szeroki korytarz hotelowy, idę do windy, żeby zjechać na śniadanie, i oczom nie wierzę – naprzeciw mnie idzie Joachim Koczy. Nie byłem pewny, myślałem, że mnie wzrok myli, nie widzieliśmy się 10 lat. Ale on z odległości 10 m krzyczy: „Andrzej!". Ja: „Chimek!". Długośmy rozmawiali. Okazało się, że w 1950 r. była w wojsku wielka czystka, usunęli wszystkich byłych akowców, byłych wehrmachtowców także, każdy, kto miał plamkę na życiorysie, choćby był bohaterem, a on miał wysokie odznaczenia bojowe, został usunięty z wojska. Zapisał się na geografię gospodarczą na Uniwersytecie Warszawskim, to był zdolny człowiek. Błyskotliwie ją ukończył. Specjalizował się w geografii krajów Azji. Został jako pracownik naukowy w Instytucie Geografii i otrzymał jakiś grant na dwuletnie badania i studia w Chinach. Nauczył się języka chińskiego. I jak ja go spotkałem, to wracał z sześciomiesięcznego pobytu na wsi, w dolinie Jangcy, prowadził badania poziomu spożycia u chłopów chińskich. Mówił mi, że przez sześć miesięcy mieszkał tak jak chłop chiński, jadł tak jak chłop chiński, prowadził życie chłopa chińskiego i sporządzał notatki. (…) Jego przykład pokazuje losy tych nieszczęsnych Ślązaków. On był feldfeblem w niemieckiej armii, skończył jako major w naszym wojsku. A i tak go wywalili. Ani tu, ani tu…

Koczy mówił, jak trafił do Wehrmachtu?

– Na Śląsku, na Pomorzu i w Poznańskiem przymusowo wszystkim nadali volkslistę. Jak ktoś nie przyjął volkslisty, to wysiedlali lub gorzej, wysyłali do obozu. Potem tych z volkslisty powoływali do wojska. 200 tys. Polaków służyło w Wehrmachcie. 70 tys. z nich, jak dostało się do niewoli na Zachodzie, podjęło służbę w jednostkach polskich. W 1945 r. co drugi żołnierz w korpusie Andersa był byłym wehrmachtowcem, tak jak dziadek Tuska. W naszym batalionie było ich kilkunastu, a w brygadzie – kilkudziesięciu. W takiej proporcji ich rozmieszczali.

Żeby się rozmieszało…

– Tak. Nazywaliśmy ich Frycami. Natomiast jedno zapamiętałem – byli to naprawdę wyśmienici żołnierze.

Dlaczego? Tak dobrze byli wyszkoleni?

– Na nich było widać szkolenie Wehrmachtu, jak oni potrafili z człowieka zrobić żołnierza. Odpornego na ogień, na stres, rozważnego, umiejącego się zachować w walce. Więc ci, co mieli do tego talent, zostawali podoficerami, bo umieli kierować ludźmi. W niemieckiej armii podoficer odgrywał wielką rolę. Mój Koczy był feldfeblem. Sierżantem.

A mówił, jak się dostał do rosyjskiej niewoli?

– Do niewoli dostał się pod Stalingradem. Był w 6. Armii Paulusa. I z tymi 100 tys., którzy skapitulowali… Czyli on się dostał do niewoli na rozkaz.

To musiał Rosjan przekonać, że jest Polakiem…

– Tak jak nam mówił, każdego jeńca przesłuchiwali i zbierali informacje, kim jest. To łatwo było rozpoznać.

Nieprawda, że to wojsko nie było polskie. Wszystkim nam przyświecało – wrócić stamtąd, do siebie, do kraju.

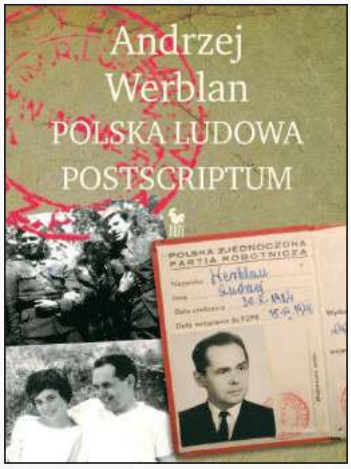

eprasa.pl e2e639bf4b

Berlin, maj 1945 r. W środku por. Bronisław Daniszewski, na prawo od niego Andrzej Werblan, Marian Fuks, Michał Krygier, na lewo Józef Krosnowski.

Wystarczy, że sprawdzili język. Przecież on ukończył polskie gimnazjum w Chorzowie. (…) No ale idąc do naszej armii, on wiedział, że do niewoli niemieckiej dostać się nie może. Bo tam zostanie po prostu rozstrzelany jako zdrajca. To też była odważna decyzja. Ale dobrymi żołnierzami byli wszyscy.

W amerykańskich butach

Tak dobrze wyszkolona armia i przegrała z Rosjanami.

– Bo Rosjanie też są dobrą armią. Są bitnymi żołnierzami, którzy nie boją się umierać. Mieli dobrych dowódców. Rokossowski! Jego operacja zdobycia Gdańska okazała się całkowicie udana, oszczędziła masę krwi. Obszedł umocnienia niemieckie i rozbił ich obronę na dwie części. Jedną wypchnął na Hel, drugą na Westerplatte. Poza tym Niemcy przegrali przez dysproporcję sił. Z chwilą, kiedy zawiązał się sojusz Związku Radzieckiego ze Stanami Zjednoczonymi, ta dysproporcja zrobiła się dla Niemiec dramatyczna. W rezerwach ludzkich Związek Radziecki miał ogromną przewagę. Dysponował też rezerwą przestrzeni, miał się gdzie cofać. Stany Zjednoczone zaś, obok potęgi ludzkiej, miały niesłychaną siłę gospodarczą. One dostarczyły ZSRR ogromnej wojskowej pomocy gospodarczej w czasie wojny. W istocie niewyobrażalnej. My na wojnie chodziliśmy w amerykańskich butach, jedliśmy amerykańskie mięso i tłuszcz, używaliśmy amerykańskich telefonów i radiostacji, jeździliśmy amerykańskimi samochodami. Broń, tę podstawową, mieliśmy radziecką. Mieliśmy radzieckie karabiny i przede wszystkim radzieckie czołgi, które były od amerykańskich lepsze. Chociaż gorsze od niemieckich… To znaczy nie od wszystkich. Były gorsze od Kampfwagen V i VI. Lepsze od czwórki i trójki.

Jak to wyglądało w praktyce?

– W 1941 i 1942 r. Związek Radziecki miał na froncie tankietki z lat 30., które do niczego się nie nadawały, a tych dobrych, które górowały nad niemieckimi, to znaczy T-34, miał mało. Na dodatek one wprawdzie były lepsze od niemieckich, ale w walce im nie dorównywały. Bo były gorzej oprzyrządowane. W 1942 r. jeszcze tylko co trzeci albo i co czwarty czołg miał radio. A pozostałe komunikowały się ze sobą chorągiewkami. Trzeba było luk otworzyć, rękę wysunąć i chorągiewkę pokazywać… Nie do porównania z niemieckimi czołgami, które wszystkie miały dobrą łączność… Poza tym, jak nie było w czołgu radiostacji, to nie było też wewnętrznej komunikacji radiowej. W tej maszynie jest straszny huk. Tam żadnych komend nie słychać, jak nie ma interkomu. W 1944 r. już wszystkie radzieckie czołgi miały radia, i wewnętrzne, i zewnętrzne. Ale te radia były amerykańskie. Amerykanie dostarczyli też większość transportu samochodowego.

Ciężarówki…

– Różne. Od czteroosobowego willysa do pięciotonowego studebakera. Przystosowane do wojny, z napędem na wszystkie osie. Nadające się do tego, żeby wjeżdżać na pole. Nie pamiętam radzieckich samochodów w naszym wojsku. My wprawdzie byliśmy na uprzywilejowanym zaopatrzeniu, takim jak jednostki gwardii. Niemniej jednak… Po drugie, w 1944 r. właściwie podstawowym mięsem, które wojsko jadło, była wieprzowina amerykańska. Słynna *swinnaja tuszonka*. Takie kilogramowe konserwy z duszoną wieprzowiną, wszystkie produkowane w Chicago. Te milionowe armie były tym karmione.

Rosjanie mogliby nie wygrać tej wojny, gdyby nie pomoc Ameryki?

– Znany francuski historyk wojny Philippe Masson (po polsku ukazały się m.in. jego „Armia Hitlera. 1939-1945” oraz „Historia Wehrmachtu. 1939-1945”) jest takiego zdania – Niemcy stworzyli machinę wojenną w istocie doskonałą. Świetnie zorganizowaną, doskonale uzbrojoną. Mieli lepsze czołgi niż alianci, lepsze samoloty niż alianci, z wyjątkiem bombowców. Pierwsi wprowadzili do walki odrzutowce, pierwsi wprowadzili do walki rakiety. Byli bardzo sprawną maszyną wojenną, która była zdolna pokonać każde inne mocarstwo na świecie. A także koalicję dwóch mocarstw. Każdą. Nie byli w stanie pokonać koalicji trzech mocarstw i przede wszystkim koalicji radziecko-amerykańskiej. Niemcy wedle R.A.C. Parkera, to z kolei brytyjski historyk, związany z uniwersytetem w Oksfordzie (autor m.in. przetłumaczonej na polski książki „Druga wojna światowa. Krótka historia”), mogli wygrać wojnę w dwóch przypadkach: gdyby pokonali Wielką Brytanię, zanim zaatakowali Związek Radziecki, a także, gdyby pokonali Związek Radziecki, zanim Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny. A koalicji trzech już nie mieli szans pokonać. Wyczerpywały się ich rezerwy.

Robert Walenciak

Rosjanie są bitnymi żołnierzami, którzy nie boją się umierać.

FOT. ARCHIWUM ANDRZEJA WERBLANA/REPRODUKCJA KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

W salonie fryzjerskim w Bratysławie zachowane są wszelkie środki higieny, 6 maja 2020 r.

Łukasz Grzesiczak

Czechy i Słowacja wychodzą z pandemii

Łyk zimnego piwa w ogródku i wakacyjne plany. Tak Czesi i Słowacy odmrażają swoje gospodarki. A intelektualiści apelują o otwarcie granicy

Decyzją sejmu stan wyjątkowy w Czechach przedłużono do 17 maja. Minister zdrowia wnioskował, by trwał on do 25 maja. Zaplanowano, że to dzień znoszenia ostatnich ograniczeń w czeskiej gospodarce, która po tym terminie ma wrócić do normalności.

Jednak luzowanie obostrzeń Czesi poczują już wcześniej. Wszystko wskazuje na to, że teatry i kina zostaną otwarte 11 maja, czyli dwa tygodnie wcześniej, niż planowano. Warunek? Ograniczenie wstępu do 100 osób. Podobnie w przypadku przyjęć weselnych. To również data otwarcia muzeów, galerii oraz terenów zamków i skansenów na otwartej przestrzeni. Dopuszczalne będą także treningi sportowe, w których udział weźmie maksymalnie 100 osób. Minister kultury Lubomír Zaorálek zastrzegł jednak, że z pewnością latem nie odbędą się żadne duże festiwale. Odwołany został m.in. kultowy już muzyczny festiwal Colours of Ostrava.

Wciąż jeszcze obowiązują ograniczenia dotyczące nabożeństw. Wyjątkowo rząd zezwolił na odprawienie 5 maja mszy w praskiej katedrze św. Wita z okazji 75. rocznicy powstania praskiego, w której udział wzięło 60 osób.

Na 11 maja zaplanowano też otwarcie salonów fryzjerskich i kosmetycznych, salonów masażu i solariów. Dotychczas pozostawały zamknięte, ponieważ, jak zwracało uwagę ministerstwo, przy odległości mniejszej niż 2 m – w jakiej znajdują się osoby w tego typu zakładach – maseczki nie zapewniają skutecznej ochrony. Oznacza to wysokie ryzyko zarażenia.

11 maja to również dzień ponownego otwarcia restauracji, pubów, kawiarni i winiarni – wszystko jednak wyłącznie w ogródkach, z wydawaniem napojów i potraw przez okienko. Otwarcie wewnętrznych pomieszczeń lokali gastronomicznych zaplanowano na 25 maja. Ministerstwo zastrzega, że oba terminy mogą się zmienić, jeżeli pogorszy się sytuacja epidemiologiczna.

Za to już 27 kwietnia zostały otwarte duże sklepy, o powierzchni do 2,5 tys. m kw, o ile nie znajdują się w centrach handlowych o powierzchni powyżej 5 tys. m kw. Wyjątkiem są sklepy z niezależnym wejściem z zewnątrz. W kolejnej fazie od 25 maja mają zostać otwarte wszystkie sklepy w centrach handlowych (pod warunkiem spełnienia określonych wymogów higienicznych). Oczywiście wciąż obowiązują ograniczenia

Słowacy tłumnie ruszyli do salonów fryzjerskich i zaplanowali wyjazdy.

FOT. VLADIMIR SIMICEK/AFP

eprasa.pl e2e639bf4b

– na jedną osobę powinno przypadać 10 m kw. Na miejscu muszą również się znajdować środek do dezynfekcji rąk oraz rękawiczki jednorazowe. Dodatkowo w Czechach obowiązują rzecz jasna maseczki (zarówno obsługę sklepu, jak i klienta).

W ostatnim czasie jednak obowiązek noszenia masek, które towarzyszą Czechom w zasadzie od początku walki z koronawirusem, w kilku przypadkach zniesiono. Dotyczy to artystów występujących na scenie i moderatorów. Warunkiem jest jednak zachowanie środków ostrożności w trakcie realizacji programów – między osobami musi być zachowany odstęp 2 m, a miejsce, gdzie realizowany jest program, musi być regularnie dezynfekowane. Aktorzy i moderatorzy będą też musieli mieć przy sobie negatywny wynik testu na COVID-19, nie starszy niż cztery dni.

Częściowo otwarte są już uniwersytety. Od 20 kwietnia możliwe są zajęcia w grupach maksymalnie pięciu osób i pod warunkiem spełnienia określonych warunków. Szkoły pozostaną zamknięte do końca czerwca. Jeżeli nie dojdzie do pogorszenia sytuacji epidemiologicznej, rząd zapowiada, że matury się odbędą – w terminie po 1 czerwca. Decyzję o otwarciu przedszkoli podejmują organy prowadzące, np. Rada Miasta Czeskiego Cieszyna uchwaliła, że dzieci mogą wrócić do przedszkoli już 18 maja.

Czesi rzucili rękawicę COVID-19 i przystąpili do opracowania szczepionki na koronawirusa. „Republika Czeska dzięki swojemu niezwykłemu naukowemu zapleczu należy do niewielu państw świata, które pokusiły się o stworzenie swojej szczepionki", powiedział minister zdrowia Adam Vojtěch. Prace nad czeską szczepionką mają się odbywać w trzech fazach, w tym momencie – wedle słów ministra – czescy naukowcy są na pierwszym etapie.

W dobie walki z pandemią premier Andrej Babiš umocnił swoją pozycję polityczną i cieszy się poparciem Czechów. Wydaje się, że jego decyzjom najgłośniej przeciwstawiają się czescy pracownicy transgraniczni. Rząd wymaga od nich, by raz w miesiącu okazali negatywny wynik zrobionego na własny koszt testu na koronawirusa, inaczej po powrocie do Czech wylądują na 14-dniowej kwarantannie.

Na początku maja czeski minister spraw zagranicznych Tomáš Petříček oznajmił, że granice Czech z krajami sąsiednimi powinny zostać otwarte w lipcu. „Jeśli sytuacja będzie się rozwijać pozytywnie, być może nawet nastąpi to szybciej", dodał. Rozmowy na ten temat są najbardziej zaawansowane w przypadku Słowacji i Austrii, najtrudniejsze będą rozmowy z Polską – twierdzi minister. W sierpniu natomiast być może Czesi będą już mogli podróżować nie tylko do popularnych miejsc turystycznych – do Chorwacji, Słowenii czy Grecji – ale również dalej, choćby do Kanady, Australii czy Japonii. Możliwość lotów poza Europę będzie jednak zależała od przywrócenia połączeń lotniczych. Minister nie chce natomiast mówić jeszcze o tym, kiedy realne staną się podróże do państw najbardziej dotkniętych pandemią, takich jak Włochy, Hiszpania, Francja, USA czy kraje Beneluksu.

Grupa czeskich i słowackich intelektualistów wezwała rządy w Pradze i Bratysławie do jak najszybszego otwarcia czesko-słowackiej granicy dla wszystkich obywateli Czech i Słowacji. List do premierów i ministrów spraw zagranicznych obu państw podpisali czeski pisarz Jáchym Topol, czeski dyplomata Michael Žantovský, słowacka dyplomatka, aktorka i była ambasador w Polsce Magdaléna Vášáryová czy słowacki pisarz i dziennikarz Milan Šimečka. „Wraz ze stopniowo ustępującą pandemią koronawirusa otwierają się także perspektywy wznowienia kontaktów między obywatelami europejskich krajów. Czechy i Słowacja należą do tych państw, które z chorobą walczą najskuteczniej. W obu krajach obecnie epidemia jest – według zapewnień przedstawicieli rządu i wykwalifikowanych specjalistów – pod kontrolą", piszą w liście sygnatariusze. Powołując się na intensywne relacje kulturalne, historyczne, ekonomiczne i międzyludzkie, wzywają do otwarcia granicy między oboma krajami. Przekonują, że „nasz wspólny przykład mógłby dodać odwagi i innym krajom w stopniowym powrocie do Europy bez granic dla wszystkich jej obywateli".

Zdaje się, że to właśnie Słowacy najskuteczniej rozprawiają się z koronawirusem. Od początku walki z epidemią w mającej 5,4 mln obywateli Słowacji zaraziło się 1429 osób, z czego 25 zmarło, podczas gdy w Czechach na 10,4 mln mieszkańców zarażone zostały 7933 osoby, a zmarły 262.

W środę 6 maja na Słowacji otwarte zostały wszystkie sklepy z wyjątkiem centrów handlowych, a także salony fryzjerskie, muzea, galerie i atrakcje turystyczne na otwartej przestrzeni. Dozwolone jest odprawianie nabożeństw i ślubów. Częściowo otwarte zostały hotele, ale nadal z zastrzeżeniami – goście mogą zamówić posiłek tylko do pokoju, a w każdym pokoju musi się znajdować łazienka i toaleta. W sklepach natomiast wciąż obowiązują ograniczenia, jeśli chodzi o liczbę klientów przebywających równocześnie w środku.

Od środy także właściciele restauracji i kawiarni mogą zaprosić klientów w swoje progi. Oczywiście tylko w ogródkach i przy zachowaniu surowych środków ostrożności – stoły muszą stać w odległości przynajmniej 2 m od siebie.

„Niestety, nasz ogródek nie jest za duży, więc zmieściło się ledwie pięć stołów. Ale wreszcie coś się dzieje", mówi portalowi Novinky.cz Karol z obsługi kawiarni na ulicy Michalskiej. Nie wszyscy jednak zdecydowali się otworzyć restauracje czy kawiarnie. Mając do dyspozycji niewielkie ogródki, w których mieści się mało stołów, obawiają się, że zysk nie pokryłby kosztów związanych z otwarciem lokalu, i wolą jeszcze poczekać.

Przy każdym stole mogą siedzieć maksymalnie dwie osoby, ewentualnie rodzice z dziećmi. Oprócz tego dotykane powierzchnie muszą być dezynfekowane po wizycie każdego klienta, a toalety – przechodzić dezynfekcję co godzinę.

Po słowackich miastach zaczęły na nowo jeździć taksówki, ale klienci mogą siedzieć tylko na tyl-

W Czechach częściowo otwarte są już uniwersytety. Od 20 kwietnia możliwe są zajęcia w grupach maksymalnie pięciu osób.

eprasa.pl e2e639bf4b

nych siedzeniach, kierowca zaś musi być od nich oddzielony osłoną z pleksiglasu lub folii. To też dla wielu kierowców okazuje się kłopotliwe – narzekają, że osłona zmniejsza im widoczność w lusterku wstecznym.

Natychmiast po otwarciu Słowacy tłumnie ruszyli do salonów fryzjerskich i zaplanowali wyjazdy. Warto bowiem wspomnieć, że 8 maja to w Czechach i na Słowacji święto państwowe, co oznacza długi weekend. Grandhotel Praha w Tatrzańskiej Łomnicy na brak rezerwacji nie mógł narzekać. Hotel zapewnia posiłki w ogródku lub dostarczane do pokojów. Każdy gość dostaje tzw. zestaw Corona Killer zawierający maseczki, rękawiczki ochronne oraz środek dezynfekcyjny. Nie wszystkie hotele zdecydowały się od razu wznowić działalność, ale jak przewiduje Słowacka Agencja Ruchu Turystycznego, w pierwszych dwóch tygodniach otwarte zostanie 10-20% hoteli i pensjonatów.

Obecnie wprowadzona została druga i trzecia faza usuwania ograniczeń związanych z koronawirusem. Termin ostatniej, czwartej, jeszcze nie został ustalony. Według premiera najwcześniej za dwa tygodnie rząd podejmie decyzję, czy otworzyć kina, teatry, szkoły, centra handlowe i kąpieliska. Być może w tym samym terminie zniesione zostaną obowiązujące obecnie obostrzenia dotyczące restauracji i hoteli.

Na Słowacji w tym roku nie odbędą się klasyczne matury. Zamiast tego obowiązywać będzie średnia ocen na świadectwie. Jeśli uczeń nie będzie z takiego rozwiązania zadowolony, może wnioskować o ustny egzamin maturalny – oznajmił minister Branislav Gröhling. Co do otwarcia szkół – Słowacja planuje to zrobić dopiero w ostatniej, czwartej fazie znoszenia środków ostrożności.

Czeskie teatry i kina zostaną otwarte już 11 maja, dwa tygodnie wcześniej, niż planowano.

Z wypowiedzi premiera wynika również, że rząd planuje otworzyć granice z sąsiednimi państwami dopiero wtedy, gdy liczba notowanych dziennie nowych przypadków spadnie do poziomu obserwowanego na Słowacji. Od 25 kwietnia w tym kraju nie zanotowano dwucyfrowej liczby nowych zarażeń. W niedzielę 3 maja stwierdzono zaledwie pięć. „W państwach sąsiednich liczba przypadków w przeliczeniu na obywatela jest dziesięciokrotnie wyższa niż na Słowacji. To logiczne, że musimy się chronić", wyjaśnił premier.

„Dzięki odpowiedzialnemu zachowaniu ludzi i szacunkowi dla zasad udało nam się ograniczyć rozszerzanie się wirusa do minimum. Odnieśliśmy sukces i kieruję ogromne podziękowanie do wszystkich, którzy zachowali zalecane środki ostrożności", powiedział premier Igor Matovič po spotkaniu z epidemiologami.

Łukasz Grzesiczak

eprasa.pl e2e639bf4b

Zamożni dostaną jeszcze więcej

Amerykański gospodarczy pakiet ratunkowy bardzo pogłębi nierówności społeczne

Mateusz Mazzini

Na pozór czwartek, 30 kwietnia, był kolejnym dniem pandemii. Serwisy informacyjne na całym świecie zaczynały się od statystyk zachorowań i ofiar śmiertelnych choroby, potem płynnie przechodziły do raportów gospodarczych. Omawiano straty w kolejnych sektorach, cytowano wypowiedzi przedsiębiorców nerwowo oczekujących na podanie przez władze dat dozwolonego otwarcia ich biznesów.

W Stanach Zjednoczonych ten dzień miał jednak wymiar szczególny. Rano Departament Pracy opublikował kolejne cotygodniowe zestawienie danych dotyczących krajowego rynku pracy. Wynikało z nich, że w ciągu siedmiu poprzednich dni kolejne 3,6 mln Amerykanów znalazło się na bezrobociu. W ujęciu tygodniowym nie był to wynik rekordowy, w czasie pandemii zdarzały się już znacznie gorsze raporty. 30 kwietnia pękła jednak inna bariera psychologiczna. Liczba Amerykanów, którzy stracili źródło dochodów z powodu zmian wywołanych koronawirusem, przekroczyła bowiem 30 mln. Dla porównania, w czasie kryzysu finansowego sprzed dekady bez pracy znalazło się 8,7 mln obywateli, przeszło trzy razy mniej. Jerome Powell, sekretarz generalny Rezerwy Federalnej, szacuje już, że liczby te mogą oznaczać kwietniowe bezrobocie w USA przekraczające 10%, podczas gdy na koniec marca utrzymywało się na poziomie 4,4%.

Te dane to jednak tylko wycinek amerykańskiej rzeczywistości gospodarczej w czasach pandemii. W praktyce przekładają się one na drastyczny spadek poziomu życia całych rzesz ludzi. Tracących źródło utrzymania i dręczonych ciągłym strachem przed koronawirusem, bo dla milionów Amerykanów zarażenie się oznaczałoby nie tylko walkę o życie, ale również niemożliwe do udźwignięcia konsekwencje finansowe. W kraju, w którym nie istnieje powszechna służba zdrowia, a sektor medyczny został do granic możliwości przebudowany pod dyktando wielkich korporacji i zgodnie z zasadą generowania zysków, długa hospitalizacja może oznaczać albo śmierć na COVID-19, albo ruinę z powodu należności za opiekę.

Nowy Jork, w czasie pandemii najubożsi dostają jedzenie na ulicy.

Wspomniany Departament Pracy ocenia liczbę Amerykanów żyjących poniżej granicy ubóstwa (wyznaczanej na różnym poziomie w zależności od wielkości gospodarstwa domowego, dla osoby żyjącej samotnie wynosi ona 12 228 dol. rocznie) na ponad 40 mln. Zdecydowana większość nie ma żadnych oszczędności, a już na pewno takich, które pozwolą na przeżycie kilku czy kilkunastu tygodni bez jakiegokolwiek przychodu. Koronawirus najpewniej liczbę tę jeszcze powiększy, wśród najuboższych wyższe będą też statystyki zachorowań i zgonów. Dlatego warto

eprasa.pl e2e639bf4b

zadać pytanie, jak o najsłabszych, najbardziej narażonych na negatywne skutki pandemii obywateli próbuje zadbać rząd federalny z prezydentem Donaldem Trumpem – bądź co bądź najpotężniejszym człowiekiem na planecie.

Odpowiedź jest niestety bolesna i przewidywalna. Nie robi nic – albo prawie nic. Wprawdzie Trump pękał z dumy, kiedy 27 marca podpisywał tzw. CARES Act, czyli wart rekordowe w historii amerykańskiej gospodarki 2,2 bln dol. pakiet osłonowo-stymulujący, jednak już kilka dni po wdrożeniu okazało się, że działa on na tej samej zasadzie co wszystkie inne instrumenty polityki gospodarczej wprowadzone przez prezydenta i jego przybocznych z Partii Republikańskiej od czasu przejęcia Białego Domu w 2016 r. – bogatym zapewnia rządowe wsparcie i dodatkowe ulgi, a o biednych zwyczajnie zapomina.

Wspólny Komitet Podatkowy (ang. Joint Committee on Taxation, JCT), funkcjonujące w Kongresie ponadpartyjne ciało zajmujące się analizą zmian w amerykańskim systemie fiskalnym, wziął CARES na tapetę niemal natychmiast po jego uchwaleniu. Wyniki ekspertyzy były miażdżące. Ponad 80% całkowitej kwoty, która w wyniku ulg podatkowych i tymczasowych zwolnień zostanie w kieszeni amerykańskiego podatnika, będzie udziałem zaledwie 43 tys. osób. Tę grupę stanowią podatnicy zarabiający co najmniej milion dolarów rocznie. Jak wykazała analiza JCT, każdy z nich otrzyma pakiet stymulacyjny wart ok. 1,7 mln dol. Innymi słowy, CARES wyodrębnia grupę już niezwykle bogatych obywateli, którym dorzuca z publicznej kasy kwotę czasem nawet większą niż ich roczne zarobki. Z kolei osoby zarabiające poniżej 100 tys. rocznie, a więc znajdujące się poniżej granicy ubóstwa lub zbliżające się do niej, otrzymają mniej niż 3% całkowitego wsparcia podatkowego w ramach polityki Trumpa.

Nieproporcjonalnie duże przywileje dla bogatych są skutkiem przeorania przez republikanów amerykańskiej ordynacji podatkowej w 2017 r. Wtedy wprowadzono wiele z tych instrumentów, które przy okazji pandemii pozwoliły na zapewnienie bogatszym stabilności i dobrobytu, podczas gdy miliony mieszkańców kraju lądują na bezrobociu. Chodzi m.in. o ustalony na pół miliona dolarów dla rozliczających się wspólnie par lub 250 tys. dla indywidualnych przedsiębiorców limit na odliczenie od podatku strat poniesionych w wyniku „działalności niebiznesowej". Limit ten został zdjęty na czas pandemii, dzięki czemu przedsiębiorcy mogą bardzo kreatywnie podchodzić do księgowania strat. To dzięki tej głęboko zaszytej w CARES poprawce najbogatsi mogą suchą stopą przejść przez największy kryzys gospodarczy we współczesnej historii Stanów Zjednoczonych.

Sami republikańscy kongresmeni nie widzą w tym nic złego – wręcz przeciwnie, klepią się po plecach za zauważenie i naprawienie w porę własnego błędu, jakim było w ich opinii ustalenie limitu trzy lata temu. To, co dzieje się dzisiaj, jest tylko wyrównaniem dziejowej krzywdy wobec bogatych.

Zapis o zniesieniu limitu odliczonych strat nie jest jedynym elementem pokazującym nakierowanie CARES na zamożnych Amerykanów. Rozłożenie aktu na czynniki pierwsze i przeanalizowanie listy beneficjentów jasno wskazuje, że Trumpowi i republikanom nie chodzi o ochronę zwykłych obywateli. Nieco ponad pół biliona dolarów, czyli prawie jedna czwarta całego pakietu, przeznaczone będzie dla dużych korporacji. Z tego aż 425 mld pójdzie na preferencyjne kredyty dla gigantów, teoretycznie mające zapobiec masowym zwolnieniom. Co ciekawe, jedną ze spółek, która najprawdopodobniej otrzyma pokaźną sumę, będzie Amazon, wielopłaszczyznowy moloch należący do najbogatszego człowieka na planecie, Jeffa Bezosa. Aż 26 mld popłynie bezpośrednio do amerykańskich linii lotniczych, znanych na całym świecie z ogromnych bonusów dla kadry kierowniczej i nieopodatkowanych form wynagrodzenia.

Żeby te dane umieścić w szerszej perspektywie, warto je zestawić z pieniędzmi przeznaczonymi na bezpośrednią pomoc dla obywateli oraz tymi skierowanymi do małych i średnich przedsiębiorstw. Pierwsza grupa otrzyma łącznie nieco ponad 600 mld, czyli niewiele więcej niż korporacje. Z kolei dla mniejszych przedsiębiorców przewidziano zaledwie 377 mld. Reszta kwoty zostanie rozdysponowana niemal po równo między instytucje rządu federalnego i służbę publiczną na pozostałych poziomach administracyjnych. Co ciekawe, w całym planie Trumpa tylko 100 mld trafi do szpitali i klinik, a jeszcze mniej, bo 4,3 mld – na konto CDC, amerykańskiego odpowiednika sanepidu i bodaj najważniejszej teraz publicznej instytucji zaangażowanej w walkę z koronawirusem.

Pakiet Trumpa nie pozostawia żadnych wątpliwości co do ekonomicznej przyszłości amerykańskiego społeczeństwa. W wyniku jego zastosowania ubędzie klasy średniej, w której odsetek osób prowadzących mniejsze biznesy bądź zatrudnionych w takich firmach jest najbardziej znaczący. Korporacje, owszem, zatrudniają dziesiątki tysięcy ludzi, ale ci nie doświadczą przywilejów przewidzianych dla ich pracodawców. Mówienie o jakimkolwiek efekcie kaskadowym i walce o zachowanie miejsc pracy jest tylko mydleniem oczu. Zwłaszcza że same korporacje nierzadko przekonują swoich pracowników, że bardziej im się opłaci zwolnienie i przejście na rządowy zasiłek, bo ten będzie wyższy od oferowanej płacy (według doniesień stacji CNBC miało to już miejsce w co najmniej kilku magazynach Amazona).

W kraju, w którym nie istnieje powszechna służba zdrowia, długa hospitalizacja może oznaczać śmierć albo ruinę.

Z socjologicznego punktu widzenia CARES mocno nadgryzie i tak poszarpaną tkankę społeczną. Mieszkańcom USA, żyjącym w wielu aspektach bez jakiejkolwiek ochrony – nie tylko socjalnej czy zdrowotnej, ale też choćby praw lokatorskich – zagląda teraz w oczy nie tylko największa od stu lat bieda, ale i jeszcze większe rozwarstwienie. Osłabi to zapewne poparcie dla samej instytucji, jaką jest rząd federalny – co paradoksalnie działa na korzyść tego, który odnosi się do niej z największym sceptycyzmem, czyli Trumpa. Ekonomicznie, społecznie, politycznie, zdrowotnie – Amerykę trawi dziś kilka epidemii jednocześnie. ■

FOT. MPNC/BACKGRID/EAST NEWS

eprasa.pl e2e639bf4b

Paryż na beczce prochu

Rośnie napięcie na biednych przedmieściach. Najmniejsza iskra może wywołać masowy bunt

Katarzyna Mierzejewska

18 kwietnia, miejscowość Villeneuve-la-Garenne, północne przedmieścia Paryża. 30-letni motocyklista zostaje ciężko ranny w wyniku kolizji z radiowozem. Źródła policyjne przekonują, że jechał ze zbyt dużą prędkością. Świadkowie utrzymują jednak, że policjanci celowo otworzyli drzwi auta, by motocyklista uderzył w nie z całym impetem. Policja stanowczo zaprzecza. Na próżno. Wideo z miejsca wypadku szybko obiega całą Francję i przyczynia się do wybuchu zamieszek na paryskich przedmieściach w departamentach Sekwana-Saint-Denis i Hauts-de-Seine. Podczas kilkudniowych protestów uczestnicy domagają się sprawiedliwości dla poszkodowanego, choć on sam apeluje na Twitterze, aby ludzie wrócili do domów i zaprzestali przemocy.

Od tego czasu niepokoje społeczne rozprzestrzeniły się także na inne części kraju. Do zamieszek i starć z policją doszło m.in. w Tuluzie, Lyonie czy Strasburgu. 3 maja w Noisy-le-Grand na przedmieściach Paryża kilkanaście osób wdało się w bójkę z policjantami, którzy patrolowali ulice i sprawdzali, czy mieszkańcy stosują się do reguł kwarantanny. Pięciu policjantów zostało rannych, funkcjonariusze użyli gazu łzawiącego. Dwóch mężczyzn aresztowano. Nagranie obiegło media społecznościowe. W ostatnich dniach również należąca do Francji wyspa Majotta stała się areną ostrych starć służb z mieszkańcami, którzy nie chcą się dostosować do godziny policyjnej. Pandemia potęguje niepokoje. Niewykluczone, że zamieszki wybuchną znowu, z większą siłą, w wielu miejscach jednocześnie. Pracownicy pomocy społecznej mówią, że takiego napięcia nie było od 20 lat. Problem leży bowiem w głębokim poczuciu nierównego traktowania. Mieszkańcy ubogich francuskich przedmieść od dekad walczą z wykluczeniem i brakiem perspektyw.

Obawy przed powtórką 2005 r.

Wielu francuskich komentatorów przy okazji obecnych napięć wspomina zamieszki z 2005 r. Wówczas wszystko zaczęło się na innym paryskim przedmieściu (z franc. *banlieue*) – Clichy-sous-Bois. Dwóch nastolatków, uciekając przed policją, schroniło się w stacji transformatorowej. Policjant ani ich nie powstrzymał, ani nie wezwał służb ratowniczych, mimo że przez policyjne radio powiedział koleżance, że jeśli chłopcy wejdą do stacji, czarno to widzi. Tak się stało, zginęli od porażenia prądem. Dla Francuzów pochodzących głównie z Maghrebu i Afryki Środkowej, imigrantów lub potomków imigrantów, był to punkt zapalny. Od lat bowiem czuli się – i nadal czują – obywatelami drugiej kategorii. Mieszkają w biednych dzielnicach, gdzie ubóstwo jest dziedziczne, zmagają się z wykluczeniem, bezrobociem, izolacją społeczną. Protesty szybko rozlały się na wiele innych miast Francji. Nabrały wymiaru nie tylko etnicznego, ale także klasowego, gdyż przyłączyli się do nich biali mieszkańcy ubogich przedmieść. Bilans to ponad setka rannych i zniszczenia rzędu 200 mln euro.

Atmosfera biednych paryskich przedmieść jest więc gorąca nie od dziś. A odkąd Francja wprowadziła obostrzenia związane z pandemią, pojawia się wiele doniesień o nad-

eprasa.pl e2e639bf4b

Do starć w policją doszło w Paryżu także 14 marca mimo zakazu gromadzenia się więcej niż 100 osób.

używaniu władzy przez policję w banlieues. Zarzuty dotyczą m.in. nękania i przemocy fizycznej. 26 kwietnia francuski dziennikarz Taha Bouhafs opublikował wideo, na którym widać, jak policjanci wymieniają rasistowskie komentarze pod adresem zatrzymanego mężczyzny (chodzi przede wszystkim o słowo *bicot* – obraźliwe określenie osoby pochodzenia północnoafrykańskiego). Do zdarzenia doszło najprawdopodobniej w miejscowości L'Île-Saint-Denis we wspomnianym już departamencie Sekwana-Saint-Denis. Prefektura policji zapowiedziała śledztwo w tej sprawie, a minister spraw wewnętrznych Christophe Castaner podkreślił, że w służbach mundurowych nie ma miejsca na rasizm. Taha Bouhafs to dziennikarz i działacz społeczny pochodzenia algierskiego. Zajmuje się nagłaśnianiem nadużyć władzy i policyjnej przemocy. Podczas relacjonowania zamieszek w Villeneuve-La-Garenne sam został zatrzymany przez funkcjonariuszy na kilka godzin.

Dodatkowy stres i brak stabilności ekonomicznej związane z pandemią pogarszają i tak kiepską jakość życia. Przeludnienie, a więc brak możliwości zachowania dystansu, i powszechny brak odpowiednich warunków sanitarnych czynią z takich dzielnic idealne miejsce do rozprzestrzeniania się wirusa. Mieszkańcy skarżą się też, że obostrzenia związane z przymusową izolacją są tu egzekwowane surowiej niż gdzie indziej, a policja chętniej wlepia mandaty im niż ludziom z bogatszych dzielnic, którzy wyjdą na powietrze np. pobawić się z dziećmi. Minister spraw wewnętrznych podał, że od początku izolacji policja przeprowadziła kontrolę 220 tys. mieszkańców departamentu Sekwana-Saint-Denis, aby sprawdzić, czy przestrzegane są zasady kwarantanny. To dwa razy więcej, niż wynosi średnia krajowa.

To my ciągniemy ten kraj naprzód

Przedmieścia Paryża są zamieszkane głównie przez imigrantów i potomków imigrantów z byłych francuskich kolonii. Wielu przebywa we Francji nielegalnie, funkcjonują oni poza systemem i są pozbawieni praw czy jakichkolwiek zabezpieczeń. Głęboko zakorzenione w społeczeństwie uprzedzenia i dyskryminacja pozbawiają ich również szans na lepiej płatną pracę. W *banlieues* często ponad 40% młodych ludzi jest bezrobotnych i taki sam odsetek mieszkańców zmaga się z ubóstwem. Tu ludzie dziedziczą biedę i frustrację. Nie jest im dany luksus pracy zdalnej podczas kwarantanny. Zwykle to kasjerki/kasjerzy w sklepach, kierowcy ciężarówek, pracownicy ochrony lub serwisu sprzątającego. Ze względu na wprowadzone ograniczenia komunikacja miejska jeździ krócej i rzadziej. Pracownicy codziennie przemierzają więc miasto w zatłoczonych wagonach metra czy w autobusach, bojąc się, że zarażą i siebie, i swoje liczne rodziny.

– To my dzisiaj ciągniemy ten kraj naprzód. Pracujemy, by gospodarka nie padła. Państwo nas nie szanuje i nie daje nam środków do życia – skarżył się przy okazji najnowszych starć w rozmowie z Euronews Mohsen Troudi, mieszkaniec Villeneuve-la-Garenne. My, czyli pracownicy fizyczni, słabo opłacani, tzw. mniej wykwalifikowani.

Pracownicy pomocy społecznej mówią, że obserwują napięcie największe od 20 lat.

Ci, którzy stracili pracę lub prowadzili drobne biznesy (często w szarej strefie), nie są w stanie zarobić na utrzymanie swoje i bliskich. Ze względu na wykluczenie cyfrowe (słaby internet i sprzęt przypadający na wielu domowników) nie sprawdza się też forma edukacji online. Dzieci z tych dzielnic po raz kolejny będą w tyle za lepiej sytuowanymi rówieśnikami.

– W dzielnicach robotniczych kryzys zdrowia publicznego nałożył się na kryzys społeczny. Być może jako władze ponieśliśmy porażkę, jeśli chodzi o przygotowanie się na tę ewentualność – mówił mediom Olivier Klein, burmistrz podparyskiego Clichy-sous-Bois. Polityk jest więc świadomy, że w tych żyjących w ciągłym napięciu dzielnicach najmniejsza iskra może wywołać masowy bunt. Z kolei część policjantów za wybuch zamieszek wini przede wszystkim dilerów narkotykowych, którym kwarantanna znacząco utrudnia działanie i czerpanie zysków.

Clichy-sous-Bois znajduje się w departamencie Sekwana-Saint-Denis, jednym z najmłodszych demograficznie i najbiedniejszym we Francji kontynentalnej. To tu według danych Państwowego Instytutu Statystyki i Badań Ekonomicznych (Insee), począwszy od 1 marca, a więc od momentu, kiedy zaczęto we Francji liczyć ofiary śmiertelne koronawirusa, statystyki śmiertelności wzrosły ponaddwukrotnie. W mieście zaczęły działać banki żywności, gdyż zamknięcie szkół pozbawiło wielu uczniów tanich, ciepłych posiłków. Po pomoc od organizacji charytatywnych ustawiają się setki osób. Problem niedożywienia występuje w całym departamencie. Politycy nie wykluczają zatem wybuchu kolejnych zamieszek, właśnie z głodu.

Nędznicy dziś

W Clichy-sous-Bois reżyser Ladj Ly nakręcił film „Les Misérables" („Nędznicy"), który był francuskim kandydatem do Oscara w tym roku. Tytuł nawiązuje oczywiście do wielkiego dzieła Victora Hugo, w którym pisarz stworzył przekrój XIX-wiecznego francuskiego społeczeństwa, uwypuklając nędzę i wykluczenie, łatwo dające się ignorować z pałacowych okien. Współcześni „Nędznicy" to opowieść o Francji nierówności, napięć społecznych i slamsów, gdzie mieszkają imigranci i uchodźcy. Nierozumiani przez system, traktowani z podejrzliwością przez służby mundurowe, ludzie na krawędzi, w których kipi złość. Francja, a zwłaszcza *banlieues* metropolii, to tykająca bomba. Do izolacji kulturowej, religijnej i czasem językowej doszła teraz ta ze względów zdrowotnych.

Obecny kryzys uwypuklił problemy, z którymi od dawna zmagają się mieszkańcy *banlieues*. Oni żyli w izolacji na długo przed wprowadzeniem lockdownu, a raczej *le confinement*. ■

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl e2e639bf4b

Wirus bogatych

Brazylia: w przeludnionych fawelach koronawirus może oznaczać wyrok śmierci

Magdalena Bartczak

Uśmiech na twarzy, uściski z sympatykami i ochocze podawanie im dłoni – prezydent Jair Bolsonaro bagatelizuje koronawirusa, porównując go do przeziębienia. Mimo że pandemia zbiera w Brazylii coraz tragiczniejsze żniwo, nic nie wskazuje na to, aby prezydent zmienił zdanie.

•

W Ameryce Łacińskiej mówi się o nim wirus bogatych. SARS-CoV-2 został tu bowiem „przywieziony" albo przez turystów (to przypadek m.in. Kostaryki i Kolumbii), albo przez zamożnych mieszkańców, mających środki na dalsze podróże. Większość przypadków zarażenia dotyczyła osób, które wróciły z Azji lub Europy, bo właśnie w styczniu i lutym w krajach południowoamerykańskich trwają wakacje. Podobnie koronawirusa określa się w Brazylii, która była pierwszym państwem na kontynencie z potwierdzonym przypadkiem zarażenia. Stało się to 26 lutego, a zakażonym był 61-letni mieszkaniec stanu São Paulo, który wrócił z wyjazdu służbowego do Lombardii.

W tym samym regionie pojawiła się pierwsza ofiara śmiertelna. 16 marca prasa poinformowała o 62-letnim mężczyźnie, który cierpiał na cukrzycę oraz nadciśnienie i zmarł po kilku dniach pobytu w szpitalu. Głośno zrobiło się także o drugiej ofierze śmiertelnej koronawirusa w Brazylii, 63-letniej pomocy domowej w luksusowej dzielnicy Leblon w Rio de Janeiro. Jej przypadek pokazuje skalę różnic społecznych. Kobieta zaraziła się od pracodawców – zamożnego małżeństwa, które wróciło z wakacji we Włoszech i mimo pozytywnych wyników testu na obecność patogenu nie poinformowało jej o zakażeniu. Później ustalono, że zatrudniona na czarno kobieta przepracowała bez ubezpieczenia zdrowotnego ponad 20 lat. Była jedną z 7 mln pomocy domowych w tym kraju, należała też do 38-milionowej rzeszy Brazylijczyków zatrudnionych bez umowy, a tym samym bez świadczeń, które zapewniałyby dostęp do leczenia.

Zmarła była również jedną z wielu osób, którym dojazd do pracy zajmuje kilka godzin dziennie w zatłoczonym transporcie miejskim, a które mieszkają w ubogich, przeludnionych dzielnicach. W takich miejscach stosowanie się do zasad izolacji jest fikcją, a utrzymanie codziennej higieny niemożliwością, ze względu na problemy z dostępem do bieżącej wody. Mimo pozytywnych wskaźników rozwoju ekonomicznego Brazylia pozostaje jednym z wielu krajów globalnego Południa o wysokim odsetku osób żyjących poza systemem. Pandemia uwydatniła to, co jest problemem od dawna: niedofinansowanie ochrony zdrowia i ogromną skalę nierówności.

Podwójny problem

Sytuacja w tym 220-milionowym kraju wygląda coraz dramatyczniej. Szacuje się, że ok. 48% potwierdzonych przypadków zarażenia koronawirusem w całej Ameryce Południowej przypada właśnie na Brazylię, która trafiła do niechlubnej grupy najbardziej dotkniętych przez pandemię państw na świecie. Potwierdzono tu (dane z początku maja) ok. 116 tys. zarażeń, a codzienny przyrost wynosi ok. 3-4 tys. Niemal 8 tys. osób zmarło. Oficjalne liczby najpewniej odbiegają od rzeczywistości, bo dużej części zarażeń nie udaje się wychwycić. Według ostatnich statystyk w całym kraju przeprowadzono dotąd ok. 290 tys. testów, czyli w stosunku do populacji kilkakrotnie mniej niż w Chile, Urugwaju, Peru czy Kolumbii.

W związku z alarmującymi wskaźnikami dotyczącymi pandemii gubernatorzy 27 stanów, m.in. Rio de Janeiro, São Paulo, Rio Grande do Sul i Santa Catarina, zastosowali się do zaleceń wydanych w połowie marca przez ministra zdrowia Luiza Mandettę i nadal podtrzymują większość restrykcji, ale niektóre planują znieść w połowie lub pod koniec maja. To m.in. obowiązek domowej kwarantanny, tymczasowe zamknięcie przedszkoli, szkół i uczelni, odwołanie masowych imprez oraz ograniczenie funkcjonowania miejsc publicznych, takich jak galerie handlowe, kina, kluby czy restauracje. Wiele firm skierowało pracowników do pracy zdalnej, a lokalne linie lotnicze zmniejszyły liczbę lotów o połowę.

Mieszkańcy Faweli Santa Marta w Rio de Janeiro sami, bez pomocy państwa, zapobiegają rozprzestrzenianiu się koronawirusa w swojej społeczności. 23 kwietnia 2020 r.

Prezydent do tematu pandemii podchodzi jednak beztrosko, negując wagę problemu. Koronawirusa SARS-CoV-2 Jair Bolsonaro porównuje do wirusa grypy, używając określenia grypka (*gripezinha*). W kwietniu zdymisjonował też ministra Mandettę, zarzucając mu, że proponowane obostrzenia są przesadzone. Nie bacząc na opinie ekspertów i epidemiologów, 65-letni prezydent ochoczo bierze udział w protestach przeciw kwarantannom, nawołując do „powrotu do normalności". Podaje dłoń sympatykom, robi sobie z nimi *selfie* i nie widzi problemu w serdecznych uściskach z obywatelami. W orędziu z końca marca zakpił z histerii, jaką jego zdaniem wywołała Światowa Organizacja Zdrowia, i ironizował na temat jej zaleceń: „Wirus przyszedł, jest już wśród nas. Ale wkrótce sobie pójdzie, a nasze życie musi toczyć się dalej". Kiedy indziej

eprasa.pl e2e639bf4b

skrytykował krajowe media, które według niego podsycają panikę.

Radykalne wypowiedzi polityka nazywanego Donaldem Trumpem tropików nie pozostały bez echa. Dość szybko zareagowały na nie media społecznościowe, m.in. Twitter i Facebook, gdzie zaczęto blokować wpisy, w których Bolsonaro sprzeciwiał się nakazom dotyczącym izolacji społecznej. Prezydencka kampania #BrasilNaoPodeParar (Brazylia nie może się zatrzymać) została nawet zaskarżona do Sądu Najwyższego jako przestępstwo – podpisy pod oskarżeniem zebrali zarówno parlamentarzyści opozycji, jak i środowiska polityczne bliższe głowie państwa. Niektórzy zaczęli mówić o prezydencie jako o zagrożeniu społecznym. „Brazylia musi teraz walczyć z dwoma równie groźnymi wirusami: z koronawirusem i z wirusem Bolsonaro", przyznał João Doria, członek Brazylijskiej Partii Demokracji Społecznej i gubernator stanu São Paulo. Ten 63-letni polityk i przedsiębiorca jest jednym z wielu przedstawicieli lokalnych władz, którzy krytykują prezydencką strategię walki z pandemią – a dokładniej brak tej strategii. Jest tym bardziej przeciwny postawie prezydenta, że to jego stan pozostaje najbardziej dotknięty przez pandemię. Właśnie w São Paulo znajduje się cmentarz Villa Formosa, który zamienia się teraz w najrozleglejszą nekropolię koronawirusową na kontynencie.

Osamotnienie Bolsonara na scenie politycznej jest o tyle zauważalne, że działaniom prezydenta zaczęli się sprzeciwiać nawet politycy z jego bliższego grona, m.in. senator Fernando Bezerra Coelho, który zgodził się z zarządzeniami byłego już ministra zdrowia. Postulat izolacji społecznej i inne zalecenia Mandetty poparli także szef gabinetu prezydenta gen. Walter Braga oraz wiceprezydent gen. Hamilton Mourão. W konflikt z Bolsonarem wszedł minister sprawiedliwości i były sędzia Sergio Moro, który ostatecznie podał się do dymisji i w niedzielę 26 kwietnia został zastąpiony przez Jorge Oliveirę.

Zarazem pojawia się wiele scenariuszy dla Brazylii na najbliższe miesiące. W związku z pogłębiającym się osamotnieniem politycznym prezydenta komentatorzy nie wykluczają odsunięcia go od władzy w procesie impeachmentu (który popiera – jak wskazuje plebiscyt z 26 kwietnia – aż 56% obywateli). Wielu ekspertów przyznaje jednak, że równie realnym rozwiązaniem jest przeczekanie aktualnego kryzysu politycznego bez drastycznych zmian. Tymczasem poparcie społeczne dla decyzji głowy państwa gwałtownie maleje. Aktualnie wynosi ok. 30%, podczas gdy politykę walki z pandemią zaproponowaną przez odsuniętego ministra Mandettę pozytywnie ocenia aż 76% Brazylijczyków. Niewykluczone więc, że pandemia – poza wieloma osobistymi dramatami – doprowadzi też do wcześniejszego lub późniejszego upadku polityka, który długo uważał się za niezwyciężonego.

Módlmy się za Brazylię

Napięcie społeczne wywołane kryzysem zdrowotnym i politycznym zdecydowanie rośnie, a że to pozostanie w domach jest aktualnie dla Brazylijczyków najlepszą możliwą formą protestu, demonstracje odbywają się głównie w internecie, m.in. pod hasłem #ForaBolsonaro (Precz z Bolsonarem). Popularnym sposobem wyrażania sprzeciwu pozostaje również domowe *cacerolazo*, czyli stawanie w oknach bądź na balkonach i uderzanie w garnki lub patelnie. Ta melodia protestu rozbrzmiewała w ostatnich tygodniach na osiedlach São Paulo, Rio de Janeiro i innych brazylijskich miast. Jednym z manifestujących przeciw prezydentowi był 33-letni Fábio z miasta Foz do Iguaçu na pograniczu brazylijsko-argentyńskim.

– Mam ten przywilej, że mogę w ostatnich tygodniach zostać w domu – przyznaje Fábio. – Pracuję w firmie marketingowej, której szef już na początku marca powiedział, że będziemy pracować zdalnie. Wykorzystuję tę możliwość, staram się ograniczać wychodzenie. Ale niewielu dziś może powiedzieć o sobie to samo: że zarobią na chleb, jeśli zostaną w czterech ścianach. Mnóstwo ludzi żyje tak samo jak przed pandemią, bo nie może sobie pozwolić na izolację, czuje się jednak ogromny lęk. To nieuczciwe, że prezydent, zamiast myśleć, jak pomóc w tych dniach społeczeństwu, wciąż podkreśla, że problem pandemii nie istnieje – dodaje mężczyzna, nie ukrywając emocji.

Coraz więcej obaw budzi sytuacja rdzennych społeczności Brazylii,

Brazylia trafiła do niechlubnej grupy państw najbardziej dotkniętych pandemią.

FOT. BEWPHOTO

eprasa.pl e2e639bf4b

szczególnie plemion zamieszkujących Amazonię. Ze względu na niską odporność są one wyjątkowo podatne na zarażenie, a wszelkie choroby układu oddechowego są dla nich szczególnie groźne. Szacuje się, że właśnie tego typu schorzenia stanowią najczęstszą przyczynę śmierci autochtonicznej ludności kontynentu. Rdzenni mieszkańcy Brazylii stali się zresztą ofiarami polityki aktualnego prezydenta już wcześniej. Wśród różnych działań Jaira Bolsonara skierowanych przeciw ich społecznościom było bowiem wstrzymanie finansowania opieki medycznej dla amazońskich wiosek. Mieszkańcy tych rejonów próbują chronić się przed wtargnięciem w ich świat wirusa, np. budując barykady na drogach i nie wpuszczając ludzi z zewnątrz. Już teraz jednak wiadomo, że pandemia zaczyna dziesiątkować wiele amazońskich osad – choć dokładne liczby ofiar będą bardzo trudne do oszacowania.

Sprawę w swoje ręce wzięli też mieszkańcy faweli, w których żyje co najmniej 12 mln Brazylijczyków. W ubogich dzielnicach bez dostępu do bieżącej wody (nie mówiąc o maseczkach czy środkach dezynfekujących) koronawirus może oznaczać wyrok śmierci. Nie mając co liczyć na pomoc z zewnątrz, ludzie sami mobilizują się do działania. W wielu fawelach, choćby w Paraisópolis, największej w São Paulo, funkcjonuje siatka samopomocy.

W niektórych miejscach rolę opiekuna i nadzorcy przejęły gangi narkotykowe. Tak się stało m.in. w rozsławionej przez kino faweli w Rio de Janeiro, znanej jako Miasto Boga (Cidade de Deus). 20 marca, wkrótce po pojawieniu się pierwszego przypadku zarażenia, jeden z przywódców miejscowej grupy przestępczej wprowadził tam swoisty stan wyjątkowy, zobowiązując mieszkańców do kwarantanny. Podobne nakazy lokalni „szeryfowie" zastosowali w faweli Rocinha, gdzie wprowadzili godzinę policyjną i ograniczenia dotyczące przemieszczania się. To największa fawela w całej Brazylii, zamieszkana przez ok. 100 tys. ludzi. Z tej ogromnej dzielnicy położonej na wzgórzu, rozciąga się widok na Ocean Atlantycki i część cudownego miasta (*cidade maravilhosa*), jak często określa się Rio. Mieszkańcy twierdzą, że w bezchmurne dni widać stąd słynny posąg Chrystusa Odkupiciela na granitowym szczycie Corcovado. Od połowy marca figura ma dodawać mieszkańcom otuchy w trudnym okresie. Przez pewien czas wyświetlane były na niej flagi krajów najboleśniej dotkniętych przez koronawirusa. Później na sylwetce rozbłysło hasło: „Módlmy się za Brazylię". W połowie kwietnia jeden z siedmiu cudów współczesnego świata za sprawą oświetlenia przywdział śnieżnobiały kitel. Na jego postać rzutowane są też dziecięce rysunki twarzy lekarzy i pielęgniarek. Tym samym wznoszący się nad miastem Chrystus stał się nie tylko symbolem nadziei i pocieszenia, lecz także walki z pandemią. Tej najtrudniejszej, bo toczonej nie wśród podzielonych polityków, lecz na pierwszym, szpitalnym froncie.

Magdalena Bartczak

eprasa.pl e2e639bf4b

Podróż pociągiem w stanie pandemii

Koleją jeżdżą dziś ci, którzy muszą: do pracy, do lekarza, do urzędu

Jan Opielka

Dziwne to uczucie. Siedzę w jednej z bocznych części niemal pustego dworca kolejowego w Gliwicach. 21 kwietnia, wtorkowe przedpołudnie, słońce rozświetla wnętrza niedawno wyremontowanego gmachu, kobiecy głos z megafonu zapowiada kolejne pociągi jadące na wschód, zachód, do stolicy. W hali dworca więcej pracowników kolei i obsługi niż pasażerów. Starsza kobieta w pomarańczowej kamizelce czyści ławki, maseczka wisi jej pod brodą. – Jestem emerytką, ale mam wielkie długi, dlatego pracuję – mówi niewzruszona. – Dla mnie nic się nie zmieniło.

Bo w tym niezwykłym czasie epidemii kolej pasażerska działa, choć kursuje niespełna połowa pociągów, a sprzedaż biletów PKP Intercity spadła o ponad 90%. U przewoźników regionalnych spadki liczby pasażerów są nieco mniejsze, bo tymi pociągami jeździ więcej osób pracujących lub korzystających z usług w sąsiednich miastach.

Dlatego w pociągu do Katowic, wśród tuzina podróżnych, siedzą dziś państwo Barbara i Tomasz. Mieszkają w Raciborzu, do Gliwic jeżdżą regularnie na badania i terapię onkologiczną. Zazwyczaj autobusem, teraz jednak żaden nie kursuje. Odległość między miastami to 50 km, ale małżeństwo emerytów dziś do domu dojedzie dopiero za ponad trzy godziny, okrężną drogą, z przesiadkami w Katowicach i Rybniku. Obydwoje mają maseczki, pani Barbara towarzyszy mężowi. – Jak mąż by upadł, to się udusi – mówi spokojnie. Odkąd rok temu wykryto u pana Tomasza guza, mówi chropowatym głosem. Rozpoczął terapię w Gliwicach – nie wypytuję o szczegóły, pytam o to, czy w jego leczeniu nie ma zakłóceń z powodu koronawirusa. – Badania i leczenie odbywają się normalnie. U nas w Raciborzu nie byłoby to jednak możliwe, bo szpital rejonowy został wyznaczony do leczenia pacjentów z COVID-19.

Czy nie boją się wirusa i bliskości tego szpitala? – Wiadomo, że człowiek się boi, ja staram się nie wychodzić z domu, poza zakupami oczywiście. Ale szwagierka pracuje w tym szpitalu, musi, i u niej to widzę duży strach – przyznaje pani Barbara. Jej mąż do kwestii koronawirusa wydaje się podchodzić luźniej. – Ważne, aby nie zapomnieć, że są inne choroby. I że nie są one mniej groźne.

Kolej pasażerska działa, choć kursuje niespełna połowa pociągów.

Echo tych słów wybrzmi kilka godzin później, gdy pod koniec podróży, na przedmieściach Krakowa, wyczytam w prasie, że codziennie w Polsce ok. 60 osób umiera na raka płuc i że ta liczba może znacząco wzrosnąć. Chorzy na raka muszą korzystać ze szpitali, których personel i pacjenci są narażeni na zetknięcie się z nowym koronawirusem. „Dlatego ogranicza się przyjęcia i konsultacje tylko do najbardziej pilnych przypadków – mówi pneumolog Paweł Krawczyk w wywiadzie dla „Gazety Krakowskiej". – Obawiam się, że za pół roku będziemy rozmawiać o fali przedwczesnych zgonów z powodu raka płuca". Jest zatem i życie, i śmierć. Jest świat poza SARS-CoV-2.

Pociąg dojeżdża do stacji Ruda-Chebzie. To nie byle jaka stacja – to stacja biblioteka. Gmach dawnego zabytkowego dworca, który przez lata stał opustoszały, w ubiegłym roku, po kosztownej rewitalizacji, przekształcono w filię biblioteki miejskiej, bodajże jedną z najpiękniejszych w kraju. Na zewnątrz oczyszczona czerwona cegła z końca XIX w., wewnątrz zaś stalowa antresola ze szklaną balustradą mieszcząca zasoby biblioteki – w to miejsce tchnięto życie, organizowano liczne spotkania z kulturą i literaturą. Teraz nie dzieje się nic; wiosenne słońce rozświetla puste wnętrza i niewypożyczone księgi, nie tylko te Jakubowe. Na końcu składu pociągu siedzi kobieta w niebieskiej maseczce, zaczytała się w magazynie psychologicznym, na okładce pisma słowa: „Wolni ciałem – i duchem".

Czas na rozmowy

Dworzec w Katowicach. Wnętrza gmachu, doklejonego do ogromnej galerii handlowej, świecą pustkami. W otwartym sklepiku z żywnością i prasą sprzedawczyni surowym tonem odsyła młodszych klientów. Bo choć nikogo starszego w pobliżu nie ma, obowiązuje czas zadekretowany dla osób powyżej 65. roku życia. – Przecież to nonsens, kto coś takiego wymyślił? – denerwuje się kobieta,

eprasa.pl e2e639bf4b

której do granicy wiekowej pozostała może dekada. W kasie biletowej ograniczenia wiekowe nie obowiązują, a i pracownica sprzedająca zza szyby bilety surowa nie jest. Wręcz przeciwnie. – Teraz mamy trochę więcej czasu na rozmowy z ludźmi – mówi. Jako temat koronawirus nadaje się znakomicie, skutki dotykają wszystkich. Rozmawiamy ponad kwadrans, w tym czasie tylko jeden inny klient kupuje bilet w okienku obok, a kasjerka zmienia się z bezimiennej obsługującej w Angelikę, która ani razu nie używa słowa klient. Mówi o ludziach. – Ostatnio rozmawiałam z takim panem, który często kupuje bilety. Okazało się, że jest stolarzem. Rzadko się słyszy, by ktoś z taką pasją mówił o swoim zawodzie. Opowiadał, że kiedyś uprawiał boks – stąd jego nieco zniekształcony nos, który już wcześniej rzucił mi się w oczy – pani Angelika uśmiecha się. Nie narzeka, nie stresuje się, widzi dużo pozytywów nowej sytuacji. Dla niej ten czas zastoju jest szczególny. – Mam wrażenie, że teraz jak chyba nigdy jesteśmy w stanie dostrzec i poczuć, czego naprawdę potrzebujemy, a co jest zwyczajnie zbędne. Okazuje się, że wcale nie musimy nieustannie czegoś kupować, że niejeden kredyt, który nas dziś krępuje, był niepotrzebny, że mniej może być więcej.

Pani Angelika zauważa, że część pasażerów jest bardziej zestresowana. Jedni boją się utraty pracy albo już ją stracili, dla drugich kilkutygodniowe uziemienie w małych mieszkaniach dużych blokowisk to dramat psychiczny. Ale widzi pozytywne skutki tego wyhamowania, np. to, że ucząc się w domu, dzieci mogą bardziej się rozwijać, jest więcej czasu, mniej stresu, można zgłębiać tematy.

Stare i nowe epidemie

Zanim wsiądę do pociągu relacji Katowice-Rzeszów, oglądam wystawę „Obiektywnie śląskie" w gmachu dworca. Towarzyszą jej słowa: „Czas schyłku, przemijania, nieuniknionych zmian". Z kolei słowa takich osób jak Angelika dają nadzieję, że będzie dobrze, może nawet lepiej, gdy wszystko minie, i że ludzie, którzy za sprawą swojej pracy mają kontakt z innymi, mogą mimo istniejącego ryzyka dalej odczuwać pewnego rodzaju normalność. I swoim spokojem pozytywnie zarażać innych.

Jednak coś tu nie pasuje. Ten zastój, te kilka tygodni na odetchnięcie, zastopowany smog, ograniczona konsumpcja – z tym wszystkim zmieszany jest niepokój. Patrzę znów przez okna mknącego pociągu. W robotniczej dzielnicy Katowic mężczyzna na balkonie zamyślony pali papierosa, kominy elektrowni w Sosnowcu wypuszczają jakby mniej trucizny, tereny kopalniane powoli zostają w tyle. Wysuszone pola, jasnoniebieskie niebo, od tygodni nieukrywające się słońce – trudno nie odnieść wrażenia, że coś się kończy. I być może to, co się kończy, jest koronawirusem tylko wzmożone. Za kilkanaście tygodni do kryzysu spowodowanego pandemią dojdzie susza, gdy skutki braku deszczu jeszcze spotęgują problemy: zniszczone plony, wzrost cen żywności, niebezpiecznie niskie poziomy rzek i wód gruntowych. Czytam, że ropa naftowa kosztuje mniej niż zero. Mniej spalonej ropy równa się mniej suszy w przyszłości? Gdyby to było takie proste – a i tak najpierw trzeba się uporać z koronawirusem.

– Mieliśmy już kiedyś taką epidemię, w 1971 r., zginęło wówczas ponad 5 tys. Polaków – mówi pan Waldemar, jeden z niewielu pasażerów pociągu regionalnego. 69-latek, pracujący emeryt, jedzie do Krakowa. Twarz zakrywa maseczką, mówi cicho, stukot kół pociągu i dwumetrowa odległość sprawiają, że trudno wyłapać jego słowa. – Byłem wówczas w wojsku, wielu żołnierzy trafiło do szpitali, niektórych już nie zobaczyłem. Nie mieliśmy wtedy takiego dostępu do wiadomości jak dziś, więc nie o wszystkim się dowiedzieliśmy.

Dziś o tamtej epidemii wiemy więcej. Także wtedy wszystko rozpoczęło się w Chinach, w 1968 r. Wysoce zaraźliwy wirus podtypu A(H3N2), nazwany grypą Hongkong, rozprzestrzenił się na całym świecie, osiągając szczytowy moment w 1971 r. W Polsce zaraziło się ponad 6 mln osób, zmarło ok. 6 tys., na całym świecie było 700 tys. ofiar. Rządząca partia utajniała wiele informacji na temat wirusa. – Nie wiem, czy to było dobrze, czy źle, ale na pewno miało to wpływ na zachowania ludzi – przyznaje pan Waldemar. – Nie było takiej paniki jak dziś. Teraz nie podajemy sobie ręki, patrzymy na siebie podejrzliwie, nosimy maseczki – czy to nie działa na naszą psychikę?

I dodaje, że jeśli dalej nieustannie będziemy śledzić statystyki zakażeń i zgonów, będzie tylko gorzej. – Ja chciałbym się dowiedzieć więcej o tych osobach, które przechodzą COVID-19 i zdrowieją. Musimy je zobaczyć, bo to działa pozytywnie.

Sprostowanie

Sprostowanie nieprawdziwych informacji dotyczących Muzeum Śląska Opolskiego podanych w artykule autorstwa Beaty Dżon-Ozimek opublikowanym w nr 16/2020 Tygodnika Przegląd z dnia 14 kwietnia 2020 roku na stronach internetowych Tygodnika Przegląd oraz w wersji papierowej (jeśli taka była wydana).

Nie jest prawdą, informacja odnosząca się do pomieszczenia socjalnego dla pracowników, że „w ramach lepszego wykorzystania przestrzeni zabrano im pokój socjalny, dostali śmierdzącą kanciapę z niesprawną wentylacją".

Pracownikom Muzeum Śląska Opolskiego udostępniono kolejne (łącznie na obiektach Mały Rynek 7 i 7a oraz św. Wojciecha 13 są dwa) umeblowane pomieszczenie służbowe ze sprawną wentylacją, zlewozmywakiem oraz wydzieloną toaletą dla pracowników. Pomieszczenie to spełnia wymogi BHP.

Nie jest prawdą stwierdzenie, odnoszące się do słodkiego zapachu z manufaktury słodyczy znajdującej się na terenie Muzeum Śląska Opolskiego, że „pracownicy obawiają się, że obrazy i inne eksponaty przejdą tą ekspansywną wonią, przeszkadza im to w pracy".

Żaden z pracowników nie wnosił z tytułu zapachu słodkości żadnych uwag. Natomiast Muzeum Śląska Opolskiego dysponuje opinią konserwatora zabytków o braku wpływu zapachu produktów spożywczych na stan zachowania zabytków.

Z upoważnienia Dyrektora MŚO Zastępca Dyrektora Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu Joanna Ojdana

Odpowiedź autorki w następnym numerze.

eprasa.pl e2e639bf4b

Ruda-Chebzie to stacja biblioteka.

Pan Waldemar robi wrażenie spokojnego o swoje zdrowie, mimo że z racji wieku należy do grupy zagrożonych. Dziś wraca z pracy. Po przejściu na emeryturę założył jednoosobową działalność, jest inspektorem nadzoru, kontroluje remont i budowę torów, takich jak te, po których właśnie się wleczemy. – Część zadań mogę wykonać zdalnie, ale pracy na miejscu nie chcę porzucić, bo remonty trwają, nie chcę zerwać kontraktu.

I to, jak przekonuje, wcale nie z powodów finansowych, tylko żeby działać. – I tak sporo czasu spędzam sam, dużo czytam – ale staram się unikać tych wielu niezbyt mądrych komentarzy na temat koronawirusa.

Dziś cieszy się na powrót do swojego Krakowa – teraz tam jest „pusto, ale i czysto".

Dawny Kraków na razie nie istnieje

I niezwykle cicho. Rynek dawnej stolicy Polski w słońcu. Drzwi bazyliki Mariackiej szeroko otwarte, obok wywieszono listę obostrzeń. Wchodzących nie widać. Sukiennice są puste, w dolnej hali miejsca, gdzie zwykle stoją stragany oblężone przez turystów, odgrodzono kratami. Po drugiej stronie Rynku kobieta rozmawia przez telefon, bez zakrywania twarzy. – Maska! – krzyczy gniewnie przejeżdżający obok rowerzysta. Niby jest spokojnie, a jednak w powietrzu wisi napięcie. Zaglądam do jednej z księgarń – żadnego klienta, trzy księgarki sprawdzają coś w komputerach, księgarz, oparty o półkę z poezją, zaczytał się w prozie. – Nic związanego z koronawirusem, już wystarczająco dużo informacji krąży, to już siada ludziom na psychice – zarzeka się.

Niektóre sklepy i butiki na Rynku i wokół niego są czynne, tak jak sklep z obuwiem na ulicy Wiślnej. Sprzedawczyni siedzi na schodkach przed sklepem. – Ludzie nie przychodzą, bo pracy już nie mają albo pieniędzy. Albo tego i tego – mówi. Czytam wywiad z prezydentem miasta Jackiem Majchrowskim: „Ostatnie 30 lat to najlepszy czas dla Krakowa". Ten Kraków właśnie przestał istnieć. Tak jak przestała istnieć reszta Polski, jaką znaliśmy. Na jak długo? I czy wrócą?

Późnym popołudniem w pociągu relacji Tarnów-Katowice. W sypialniach Krakowa wysiadają niemal wszyscy pasażerowie, jest ich może 20. Do Katowic pozostaje czterech, jednym z nich jest Marek, 39-latek, z wykształcenia architekt, pracujący jako informatyk. – Teraz dużo działam zdalnie, ale to dla mnie nic nowego. Moja firma co prawda oszczędza, ale jednocześnie mamy więcej zleceń, ponieważ oferujemy produkt właśnie do pracy zdalnej – opowiada. Marek mieszka z żoną w Krakowie, nie boi się o zawodowo-finansową przyszłość. – Ale śledzę sytuację małych przedsiębiorstw – ludzie przeżywają dramaty. No bo ile można wytrzymać w takim lockdownie? Długofalowo to nie problemy zdrowotne będą najistotniejsze, bo wcześniej czy później pojawi się lek albo szczepionka. Najwięcej złego wydarzy się na płaszczyźnie społeczno-gospodarczej – obyśmy tylko nie powariowali.

W drodze powrotnej

Znów na dworcu w Katowicach. Na schodach przed wejściem na perony dwójka młodych ludzi bez maseczek. Wklepują coś w smartfony, jedzą bułki z mięsem. Czarnoskórzy chłopak i dziewczyna, obok nich stoją kwadratowe plecaki termiczne. Dostawcy jedzenia. Rozwożą go teraz jeszcze więcej do domów, których lokatorzy wychodzić nie chcą lub nie mogą. Chłopak wkrótce znika. – Ja jestem z RPA – mówi dziewczyna. Od roku mieszka w Katowicach. Więcej opowiadać nie chce. Zaczynam czytać informację pewnej fundacji o tym, w jaki sposób Europa może pomóc Syryjczykom. Łapię się na myśli: kogo dziś w Europie ci ludzie interesują? Unia od dwóch miesięcy nie jest w stanie przyjąć 1,6 tys. niepełnoletnich z obozu na granicy turecko-greckiej, choć to obiecała. W ramach akcji podobnych do polskiego „Lotu do domu" kraje Unii sprawnie w kilkanaście dni sprowadziły kilkaset tysięcy obywateli. Swoich.

Na stalowym siedzeniu w gmachu dworca przysiada się starszy pan. Jest bezdomny. Chwilę później przegania go pracownik ochrony dworca. – Dlaczego nie może tutaj siedzieć? – pytam, trochę oburzony. Ochroniarz na to: – Nie muszę mówić.

Powinienem się wstawić za tym starszym panem. Bo co z tego, że niemiło pachnie, że trochę wypił, że nie ma maseczki? Zanim coś zrobię, nachodzi mnie myśl: nic dziwnego, że w świecie, w którym normą jest wyrzucanie bezdomnych z dworców, reakcje na pojawienie się groźnego wirusa, który jednak mógłby być znacznie groźniejszy, zdają się niewspółmierne. Wypieraliśmy lęk przed śmiercią, wypieraliśmy biedę i nędzę, więc tym bardziej wypieramy grozę śmierci z powodu koronawirusa.

Zanim myśl sięgnie jakiejś konkluzji, mężczyzna wraca i siada na tym samym miejscu. Nagle włącza się wieczorowe oświetlenie dworca. On patrzy do góry, wskazuje palcem i mówi z uśmiechem niezakrytym maską: – Wszystko jasne!

Jan Opielka

FOT. TOMASZ KAWKA/EAST NEWS KATOWICE, ARKADIUSZ GOLA/POLSKA PRESS/EAST NEWS

eprasa.pl e2e639bf4b

Nawet ryby mają **potrzebę kontroli**

Koronawirus mówi: ucz się. Sprawdzać będzie nas za pół roku. To, przez co przechodzimy, to wciąż lekcja

DR EWA JARCZEWSKA-GERC
– psycholog społeczny i trener biznesu, dyrektor ds. badań SWPS Innowacje

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Co z nami robi pandemia?

– Żeby odpowiedzieć na to pytanie, trzeba sobie uświadomić, w jakiej psychologicznie sytuacji się znajdujemy. A jest to kryzys. Moment, kiedy tracimy grunt pod nogami, choć jeszcze chwilę wcześniej wiedliśmy przecież dość ustabilizowane życie. Mieliśmy plany związane z wakacjami, ze studiami, z rodziną.

Innymi słowy, mieliśmy poczucie kontroli…

– …które jest fundamentem zdrowia zarówno psychicznego, jak i fizycznego. Tak, mieliśmy poczucie, że możemy wpływać na to, co się dzieje w naszym życiu. Przy czym to poczucie jest fundamentalne nie tylko u ludzi, ale i u zwierząt. Bo nawet ryby mają potrzebę kontroli.

Jak to?

– Pierwsze badania nad wyuczoną bezradnością prowadzono właśnie na nich. To były bardzo nieetyczne eksperymenty, bo rażono je prądem. Obserwowano, że na początku starały się walczyć i uciekać, a dopiero z czasem popadały w bezradność, tak że nawet wtedy, kiedy mogły unikać rażenia prądem, nic nie robiły.

Dowodów na to, że w świecie zwierzęcym ta potrzeba wpływu jest bardzo silna, mamy zresztą więcej. Oczywiście zwierzęta mogą sobie z tego nie zdawać sprawy, ale mają to zakodowane w genach. Do sprawnego funkcjonowania jest im to niezbędne. Przykładem mogą być choćby badania na gołębiach czy psach Pawłowa, które doświadczyły powodzi. Gołębie np. wolały zjeść mniej, za to wybrać sobie pokarm.

A jeśli chodzi o psy Pawłowa?

– Te, które przeżyły zalanie laboratorium, zapomniały to, czego Pawłow je nauczył. Silny stres zabił komórki hipokampa, struktury mózgu odpowiedzialnej m.in. za pamięć. Zresztą u ludzi dzieje się podobnie. Poza tym część psów nigdy nie odzyskała dobrostanu psychicznego i fizycznego sprzed powodzi, już do końca życia nosiła znamiona zaburzenia po stresie traumatycznym, czyli PTSD. Te zwierzaki nie miały apetytu, nie były radosne, nie machały ogonem. Inne z kolei z czasem odzyskały siłę życiową.

Teraz takim czynnikiem, na który nie mamy wpływu, jest koronawirus.

– Ale nie tylko. Także zasady wprowadzane przed rząd, które powodują, że czy chcemy, czy nie chcemy, maseczki musimy nosić. Nie wolno nam było wychodzić z domu bez ważnego powodu itd. Choć działania te są epidemicznie uzasadnione, komplikują nam życie, w tym dążenia osobiste i relacje oraz poczucie wolności i sprawstwa. Wzbudzają frustrację i poczucie bezradności. Epidemia i związane z nią zagrożenie zdrowia i życia dla niektórych są wręcz sytuacją traumatyczną.

Z traumą mamy do czynienia – zgodnie z definicją – kiedy zachodzą równocześnie dwa warunki. Pierwszy: jesteśmy w sytuacji zagrożenia zdrowia lub życia naszego lub bliskiej nam osoby i drugi: towarzyszą temu silny strach, przerażenie i groza. Przy czym nawet jeśli nie boimy się samego wirusa, to możemy bać się jego konsekwencji: ekonomicznych, gospodarczych, edukacyjnych itd.

A gdyby prześledzić to na etapach?

– Pierwszy moment, kiedy stykamy się z epidemią, to szok. Zaprzeczanie. Niedowierzanie. Nie do końca wierzymy, że to naprawdę się dzieje i mo-

Fundamentem naszego zdrowia psychicznego i fizycznego jest poczucie kontroli nad życiem.

eprasa.pl e2e639bf4b

że mieć tak poważne konsekwencje. A jeśli już, to uważamy, że zaraz się skończy. Dopiero w drugim etapie pojawia się frustracja, bo nagle taki stan okazuje się przewlekły. Frustracja bierze się z tego, że mamy jakieś cele, marzenia, potrzeby i one pozostają niezrealizowane. Przecież ludzie chodzili do kina, na siłownię, do kawiarni, restauracji, na randki, spotykali się… A tu nagle nie mogą robić żadnej z tych rzeczy.

Do czego prowadzi frustracja, jakie ma konsekwencje?

– To najprostsza droga do agresji, którą przelewamy albo na siebie, albo na innych. Stąd podwyższona nerwowość wobec członków rodziny, irytacja, krzyki… Ale to zamknięcie w domach powoduje też, że osoby, które żyją w związkach przemocowych, doświadczają teraz jeszcze więcej przemocy ze strony swoich oprawców, o czym w Polsce wciąż mało się mówi. Tymczasem linie pomocowe kipią od zgłoszeń i problemów, które ludzie relacjonują. W jednym z budynków Parlamentu Europejskiego w Brukseli utworzono tymczasowe schronienie dla stu kobiet, które uciekły od partnerów w związku z nasiloną agresją z powodu zamknięcia w domach. Wcześniej zapewne partnerzy także byli przemocowi, ale nadmierne napięcie rozładowywało się przez ruch związany z chodzeniem do pracy i swobodnym poruszaniem się.

Jakby tego było mało, szukamy też kozłów ofiarnych.

– A to na pewno, bo łatwiej nam, kiedy kogoś obwiniamy. Rząd polski, Chiny, mężczyznę, który zjadł nadal nie do końca wiadomo jakie zwierzątko…

…albo koncerny farmaceutyczne. 26% Polaków, co wiemy z badań SWPS, jest przekonanych, że koronawirus został nagłośniony właśnie po to, żeby zwiększyć sprzedaż a to leków, a to środków ochrony osobistej.

– To kolejny naturalny element procesu radzenia sobie z kryzysem. W ten sposób również próbujemy odzyskać poczucie, że w jakikolwiek sposób możemy wpływać na sytuację.

A następne etapy?

– Staramy się już adaptować. Mija jakiś czas, najczęściej parę tygodni, i uznajemy, że nic się nie zmieni, to my musimy się zmienić. Szukamy ulgi. Czegoś, co zredukuje choć trochę emocje. I mamy tutaj dwie wersje, przy czym zazwyczaj najpierw przechodzimy przez pierwszą, później ewentualnie docieramy do drugiej. Tylko niektórzy mają na tyle siły, że od razu idą do wersji B. Wersja A jest taka, że popadamy w destrukcyjne zachowania. Pijemy alkohol, objadamy się, uciekamy w sen, oglądanie telewizji. Byle tylko odwrócić uwagę i sprawić, że choć na chwilę poczujemy się lepiej. To często jest też agresja wobec bliskich.

Ale niektórzy zauważają, że to nie działa.

– Jeśli się upiję, na drugi dzień wstanę z kacem i będę się czuć jeszcze gorzej. Tak, w związku z tym przechodzą do wersji B. Zaczynają szukać ulgi w zachowaniach konstruktywnych. Sport, automotywacja… Dokonują przewartościowań, dostrzegają w danej sytuacji nowe możliwości, widzą potencjał do zmiany, dzięki czemu następuje rozwój. Starają się zaadaptować w konstruktywny, pozytywny sposób. I to zresztą im się udaje. Oczywiście mogą potem wrócić do punktu wyjścia, cofnąć się do fazy wcześniejszej, to też się zdarza. Bo nie jest tak, że raz uzyskana faza adaptacji daje nam gwarancję, że już zawsze tak będzie. Nawroty do wcześniejszych faz mogą się zdarzać.

Gdzie tu w takim razie miejsce na syndrom stresu pourazowego?

– To określenie, które źle kiedyś przetłumaczono na język polski. Bo jest to zaburzenie po stresie traumatycznym – stres trwał wcześniej, a teraz mamy zaburzenie po tym stresie. PTSD pojawia się jakiś czas po urazie, choć u niektórych już teraz może mieć miejsce. Szczególnie u osób, które przeszły infekcję koronawirusową, u których było zagrożenie życia własnego albo bliskiej osoby.

Ale problemy wynikające z tego, co się dzieje teraz, mogą niejako „odkleić się" za chwilę. Jeżeli teraz stosujemy głównie ucieczkowe strategie radzenia sobie z problemami i emocjami, to tego pryszcza jedynie zapudrujemy. Nie będzie go widać, ale przecież sam nie zniknie. Za chwilę wybuchnie, gdy będziemy kłaść kolejną warstwę makijażu. Trudno określić, kiedy dokładnie. Zazwyczaj są to tygodnie, miesiące, czasem kilka lat.

Frustracja, bezradność, stres – zgoda. Ale skąd w nas podejrzliwość? Badania pokazują, że 63% uznaje, że rząd nie podaje pełnych danych dotyczących osób zakażonych.

– To nie tylko podejrzliwość, ale również brak zaufania do statystyk. Skąd się bierze? Wystarczy zestawić dane: 1 tys. osób umierających dziennie w Polsce na raka i choroby serca (łącznie) oraz najwyższą statystykę śmiertelności dobowej z powodu koronawirusa – ok. 30 osób. A rząd sparaliżował życie społeczne, wciąż pozamykane są szkoły, większość nie chodzi do pracy, więc chyba jednak coś w tych danych jest nie tak. Prosta matematyka. Jeśli statystyki dotyczące śmiertelności miałyby być prawdziwe, to są to promile naszej populacji. Po co więc rząd miałby organizować *lockdown*?! Skoro organizuje, musi coś mieć za uszami. Musi coś ukrywać – to rodzi podejrzliwość, że jednak zachorowań i śmierci z powodu wirusa musi być więcej. To jeden powód. Drugi – wyszło na jaw, że w Chinach statystyki bardzo zaniżano. Ba, stan Missouri w USA pozwał już za to Państwo Środka. Twierdzi, że chiński rząd okłamał świat, ukrywając prawdę o wysokiej śmiertelności COVID-19.

Taka perspektywa już teraz powoduje wzrost nieufności nie tylko do tego, kto wygłasza podobne komunikaty, ona dotyczy nas wszystkich.

Co też powiększa napięcie. Do czego może to prowadzić?

– Trudno powiedzieć, bo nigdy nie przeżyliśmy takiej sytuacji i aż takiego ograniczenia wolności i zagrożenia epidemicznego. Jako psycholog z 16-letnim stażem mogę jednak powiedzieć, że zwiększy się

Mija jakiś czas, najczęściej parę tygodni, i uznajemy, że nic się nie zmieni, to my musimy się zmienić. Szukamy ulgi.

Jest nam łatwiej, gdy kogoś o wszystko obwiniamy.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

poziom patologii psychicznej w społeczeństwie. Będziemy mieć coraz więcej problemów emocjonalnych. Tym bardziej że ich poziom rośnie wykładniczo, co pokazują także badania z 2016 r. prowadzone przez fundację Melindy i Billa Gatesów, Global Burden of Disease Study (GBD), o powszechności różnego rodzaju chorób. Powołuje się na nie zresztą WHO. Wynika z nich, że już przed epidemią ten poziom był bardzo wysoki. Globalnie, w Polsce oczywiście też. Coraz więcej osób cierpi na depresje, zaburzenia lękowe czy zaburzenia osobowości.

– Wszelkie działania zorientowane na znalezienie wyjścia z trudnej sytuacji, na rozwiązanie problemu. Konfrontowanie się z trudnymi stanami. Ale również aktywne formy obniżenia napięcia w ciele, czyli sport, techniki uważnościowe, medytacja, joga, rytuały, dziennik wdzięczności. Czy zwierzanie się, bliski kontakt.

Ile takich filarów zdrowia można wyróżnić?

– Pięć, zgodnie z opracowanym przez amerykańskiego psychiatrę Johna Ardena modelem SEEDS (tłum. z ang. jako ziarna).

Pięć filarów zdrowia to: relacje społeczne, regularne ćwiczenia fizyczne, uczenie się przez całe życie, dieta i sen.

Co może nas przed tym uchronić, szczególnie teraz?

– Jednym z istotniejszych czynników jest poczucie – niekoniecznie to, co faktycznie ma miejsce – że inni mi sprzyjają, są życzliwi i pomogą, gdy tylko będę potrzebować. Dowiodły tego badania nad mechanizmami radzenia sobie w trudnych sytuacjach, i to niezależnie od tego, czy chodziło o epidemię, powódź czy np. trzęsienie ziemi. Psychologicznie to bardzo podobne sytuacje, kiedy ludziom zabiera się wolności, kontrolę i poczucie wpływu.

Co jeszcze może okazać się skuteczne?

To akronim, gdzie pierwsze S oznacza *social support*, czyli relacje społeczne, a pierwsze E – *exercise*, czyli ćwiczenia fizyczne, regularne. Mieszczą się w tym też: medytacja, ćwiczenia oddechowe czy praktyki religijne. Chodzi o zadbanie o swoje ciało. Dostarczenie mu energii. Drugie E to *education*, uczenie się przez całe życie. Nie tylko słówek czy gry na instrumencie, to również otwieranie się na nowe idee, pomysły. Tu najważniejsza jest otwarta głowa. D to z kolei dieta (ang. *diet*), a ostatnie S – sen (*sleep*).

W tej chwili zaburzone są wszystkie te filary. Nie brakuje osób, które chodzą spać o godz. 3 nad ranem, źle się odżywiają, sięgają po używki czy nie mogą znaleźć siły, żeby regularnie uprawiać sport. To nie może się nie odbić na zdrowiu psychicznym.

Jakie są zatem możliwości, żeby ten kryzys w ogóle przeżyć?

– Tylko trzy. Pierwsza to tzw. *servivial*. Będziemy żyć, kiedy to się skończy, ale funkcjonować znacznie gorzej niż przed kryzysem. Oczywiście rzeczywistość też będzie nieco inna niż kiedyś; nie ma możliwości powrotu do stanu sprzed epidemii. Przyszłość będzie jednak normalniejsza od tego, czego doświadczamy w tej chwili.

A druga możliwość?

– To *recovery*. Po kryzysie, w którym następuje pogorszenie naszego funkcjonowania, odbijamy się i funkcjonujemy równie dobrze jak na początku. Ale jest i trzecia możliwość. Często obserwujemy ją u tych, którzy przeżyli poważną chorobę i z niej wyszli. Jest to tzw. wzrost potraumatyczny, wzrost pokryzysowy.

Na czym polega?

– Na tym, że po kryzysie możemy funkcjonować nawet lepiej.

Od czego zależy to, czym on się dla nas zakończy?

– Od tego, co to za kryzys, jakie koszty przez niego ponosimy, ale przede wszystkim od tego, jak do niego podchodzimy. Jeśli postrzegamy go jak karę za grzechy, jako czynnik, którego chcemy się jak najszybciej pozbyć, nie możemy już go dłużej znosić, to się nie adaptujemy.

Prowadziłam z jedną z moich magistrantek badania wśród kobiet, które cierpiały na nowotwór piersi i go pokonały. Część doświadczyła wzrostu potraumatycznego. Sprawdzaliśmy, jakie czynniki psychologiczne i behawioralne temu sprzyjają. I co się okazało? Jednym z nich była prężność psychiczna. Wewnętrzna siła, umiejętność elastycznego reagowania na trudną sytuację. Dostosowywania się do warunków, ale też kształtowania swojego życia w tych obszarach, na które mam wpływ.

Czyli koronawirus, jak ciężka choroba, mówi teraz: sprawdzam?

– Raczej koronawirus mówi: ucz się. Sprawdzać nas będzie za pół roku. To, przez co przechodzimy, to wciąż lekcja. Bo wcześniej nie było tak przewlekłej sytuacji ograniczenia naszej wolności.

Ale to, co się dzieje, idealnie wpisuje się w zjawisko, które nazywamy luką empatyczną gorąco-zimno. Opisana została przez George'a Loewensteina, ekonomistę zajmującego się mechanizmami psychicznymi. Gdy jesteśmy w zimnym stanie, czytaj: nie czujemy się zagrożeni – nie sposób przewidzieć naszych ocen i zachowań w stanie gorącym. Z reguły mówimy wtedy: „O Boże, jak on się zachował, ja bym tego nigdy nie zrobiła, ale podły typ". Oceniamy. Bardzo łatwo nam to przychodzi. W stanie gorącym nasza ocena sytuacji może być diametralnie inna. I właśnie teraz mamy ten moment, gorące warunki. Nie jesteśmy już tak racjonalni jak wcześniej. Pytanie, czy zachowamy się równie moralnie i empatycznie, pozostaje otwarte.

Dorota Bartosewicz

Co łączy ze sobą wybory pocztowe, Pocztę Polską i nieuczciwą konkurencję? O państwowych handlarzach tożsamości **informuje najnowszy numer tygodnika „NIE".**

eprasa.pl e2e639bf4b

WSZYSCY JESTEŚMY Z PiS

Esej prof. Andrzeja Romanowskiego stanowi wielkie oskarżenie tego, czemu dziś fałszywie nadaje się miano wolnej Polski. Stworzono państwo określane przez autora jako skansen Europy, rządzone przez Kościół i trzeciorzędne odpryski społeczne uznające się za elitę. Od początku do końca tekst jest ponurą prawdą i u wielu budzi tęsknotę za minionym czasem, mimo wszystko czasem nadziei na lepsze jutro. Nadziei, która stała się katastrofą. Autor powinien chociaż wspomnieć ogromną rolę Michaiła Gorbaczowa, którego łatwowierność została zdradziecko wykorzystana przez tzw. demokracje zachodnie, oraz podłą rolę amerykańskiego wywiadu i Watykanu w zniewoleniu i kolonizacji Polski.

Wszyscy jesteśmy z PiS

Wojciech Chwaja

•

Pamiętam doskonale, jak w latach 90. w jakiejś dyskusji stanąłem w obronie masowo zwalnianych pracowników przemysłu i pegeerów. Użyłem wtedy określenia sprawiedliwość społeczna. Reakcją był wybuch szyderczego rechotu reszty dyskutantów. To była kadra naukowa jednego z czołowych ośrodków badawczych PAN. Oto prawda o sojuszu inteligencko-robotniczym, który miał być fundamentem Solidarności. Ta lumpeninteligencja miała pensje płacone z podatków wypracowanych przez ludzi, których nazywała robolami, a potem homo sovieticusami, i którymi gardziła. Takie zachowanie byłoby nie do pomyślenia w jakimkolwiek kraju Europy Zachodniej. Lumpeninteligencja zmanipulowała „roboli", by osiągnąć swoje cele, a potem wyrzuciła ich za burtę, żeby nie przeszkadzali w budowie prymitywnego systemu wyzysku, który nazywa wolnością i demokracją.

Korzenie zachodniej inteligencji tkwią w zrodzonej przed wiekami burżuazji, klasie rzemieślników, bogatszego chłopstwa, później przemysłowców – czyli grupach, które znały wartość i znaczenie pracy. Dlatego z wyżyn swojej pozycji społecznej potrafiły w miarę upływu czasu dostrzec potrzebę emancypacji niższych klas pracujących.

Korzenie polskiej inteligencji są szlacheckie – tkwią w grupie, która majątki dziedziczyła, a nie wypracowywała. Choć wielu było światłych przedstawicieli tej klasy, dominowała postawa pasożyta, godzącego tymi, których wykorzystuje. Polska Ludowa zmusiła pasożytów do uczciwej pracy i nigdy jej tego nie darowali. Ich pogardliwą postawę wobec „plebsu" przejęła niestety także inteligencja z korzeniami robotniczo-chłopskimi, która koniecznie chciała w ten sposób ukryć swoje „wstydliwe" pochodzenie. I tak doszliśmy do dzisiejszych „elit".

Po wspomnianym na początku incydencie przestałem się zdradzać ze swoimi socjalistycznymi poglądami. W końcu każdy chce pracować… Lewicowcem mogłem się stać na nowo dopiero po wyjeździe na Zachód. Tutaj pojęcia awansu społecznego czy sprawiedliwości społecznej są normalnym elementem debaty publicznej, przedmiotem troski władzy i jednym z filarów demokracji. Współczesna Polska to kompletnie anachroniczny dziwoląg, który jest nieporównanie dalej za Zachodem, niż był chociażby w epoce gierkowskiej.

Radosław

UNIVERSAL
© 2020 Universal Studios. All Rights Reserved.
FILMOSTRADA
dlaStudenta.pl
FILMAWKA
SFILMOWANI
Przegląd
fdb
MECHANICZNA KULTURACJA
FILMOZERCY.COM
33 ULICA

eprasa.pl e2e639bf4b

Rafał Pikuła

Nic, tylko pisać

W czasie epidemii pisarze się nie nudzą, inspiracji jest dość

Oto historia o tym, jak w Wielki Piątek, będący jednocześnie 10. rocznicą katastrofy smoleńskiej, podczas największej od 100 lat pandemii prowadzącej do krachu gospodarczego, miesiąc przed wyborami prezydenckimi, dochodzi do radioaktywnego pożaru w Czarnobylu. Brzmi nieźle? Jak pomysł na bestseller? Być może ktoś się zainspiruje, bo autor tej internetowej anegdoty, Jakub Sieczko, jest lekarzem i chyba nie ma czasu chwytać za pióro. Bo żyjemy w ciekawych czasach. Rzeczywistość dostarcza tematów, których nie wymyśliliby najlepsi autorzy. Nic, tylko pisać. Toteż literaci, zarówno ci uznani, jak i początkujący, lepiej lub gorzej, ale piszą.

Do łask wróciło prowadzenie diariusza. „Dziennik z czasów zarazy" – to popularna fraza w mediach społecznościowych, bo właśnie w tej przestrzeni publikowane są zapiski. Profesjonaliści wybierają różne strategie: są narracje zażarcie polityczne, opisy stanu wewnętrznego, a także recenzje filmów, seriali i książek.

Łukasz Orbitowski i Szczepan Twardoch stworzyli literacki duet, by na przemian publikować powieść detektywistyczną w odcinkach.

Kaczyński bohaterem literackim

Manuela Gretkowska, pisarka, scenarzystka i działaczka społeczna, w swoim dzienniku zarazy ostro krytykuje rządzących. Dostaje się Dudzie, Kaczyńskiemu, Morawieckiemu i pomniejszym politykom PiS. O absurdzie wyborów prezydenckich w trakcie epidemii pisze bez ogródek: „My jesteśmy bydłem wyborczym, które chcą zagnać do ubojni politycznej. Nigdy »urna« nie miała tak dwuznacznej wymowy. Wmówi się seniorom, że są bohaterami głosującymi za pisowską Polską. PiS doszedł do władzy po trupach smoleńskich i dorwie się do niej po zmarłych na zarazę. Dwie – zdrowotna i polityczna – zarazy naraz, Polska to przeżyje?".

Nad prezesem pastwi się z taką swobodą, że łezka w oku się kręci: „Kaczyński nie mógł sobie odmówić w 10. rocznicę Smoleńska przyjemności paradowania z wieńcem w licznej asyście. Tak zachowuje się narodowa relikwia, trup narodowy. Może chodzić bez maski, rękawiczek, trzymania odległości. On już niczym się nie zarazi (wszystkim z Nowogrodzkiej zrobiono testy), bo nie ma w nim żadnego życia, ludzkich odruchów po śmierci brata".

W podobnym tonie, choć bez takiego pazura, swoje obserwacje na Facebooku publikuje Andrzej Saramonowicz – dramaturg i scenarzysta, autor powieści „Pokraj". Wpisy, które są analizą medialnych doniesień, opatruje tytułem ZMAŁPYCHWSTANIE. „Jak to jest, że w 2021 r. będzie można zorganizować igrzyska olimpijskie w Tokio i mistrzostwa Europy w piłce nożnej w 20 miastach europejskich, po których będą śmigać setki tysięcy kibiców, ale nie da się zorganizować bezpiecznie wyborów w Polsce? A może to rząd Polski ma jakieś lepsze dane, ale z niewiadomych powodów nie chce się nimi podzielić z MKOl i UEFA, narażając tylu niedoinformowanych ludzi na niebezpieczeństwo? Jak długo można pozwalać politykom na bajdurzenie głupot i odnoszenie się do nich z powagą, która nie przystoi ludziom myślącym?", pyta autor.

Eufemistycznie mówiąc, Saramonowicz nie darzy rządu szczególną miłością. Kaczyńskiego i jego polityczne podnóżki krytykuje od dawna, jednak nieudolność władzy z ostatnich tygodni dostarcza świeżych inspiracji. Abyśmy też nie zapomnieli, w jakim kraju przyszło nam żyć, chorować i tracić pracę, Saramonowicz wrócił do publikowania wiersza Wiktora Woroszylskiego o prostym, ale wymownym tytule „Państwa faszystowskie". Swego czasu robił to codziennie.

Dalej od polityki jest Bartosz Żurawiecki, krytyk filmowy, autor powieści „Trzech panów w łóżku, nie licząc kota". U Żurawieckiego rządzą absurd, groteska i gejowskie impresje: „Wprowadzili przepis, że członkowie rodziny muszą zachować do ciebie dystans co najmniej dwóch metrów. Boże! Czekałem na to całe życie! Poza tym w sklepach ustalili specjalne godziny tylko dla

eprasa.pl e2e639bf4b

gejów, żeby mogli swobodnie kupować towary. Niezwłocznie pobiegłem do Biedry. Jedyny wymóg jest taki, że trzeba najpierw rozebrać się do naga i zdezynfekować całe ciało.

Wojciech Chmielarz wrzuca do sieci fragment pisanej na gorąco historii i… czeka na sugestie czytelników.

Drobiazg! Personel bił mi brawo, gdy schylałem się po mydło. Z godzinę chodziłem po sklepie i nie mogłem się zdecydować – kupić Grześka czy Pawełka? W końcu wziąłem obu. Osłodzą mi życie eremity". W innym miejscu można przeczytać: „W Biedronce przecenili tulipany z 7,99 na 2,99 zł za bukiet. Nie wiem, co o tym myśleć. Kupiłem 50 bukietów. Będę miał co jeść, jak się skończy tofu bezglutenowe".

Izolacja po angielsku

O ile Saramonowiczowi czy Żurawieckiemu bliżej do królów jednego tweeta, o tyle dziennik Wioletty Grzegorzewskiej, autorki „Stancji" i „Guguł", to całkiem udana literacka korespondencja z Wysp o trudach, złudzeniach i marzeniach czasu epidemii.

„– Pobawmy się w »świat bez pandemii« – zagaduje mnie Julka w czasie spaceru.

– Dobra, więc wyobraź sobie, że idziemy na basen.

– Wolałabym na lody.

– No to idziemy do tamtej lodziarni na starym rynku. Bierzemy po trzy gałki. Jakie smaki wybierasz?

– Czekoladowy, śmietankowy i… malinowy. A ty?

– Ja to może rumowe z rodzynkami.

– Ble. – Spogląda na biały budynek teatru. – A co to znaczy »Waiting for Godot«? – pyta, pokazując plakat.

– To taka sztuka Irlandczyka.

– Nazywał się Godot?

– Nie, nazywał się Beckett. W tej sztuce dwaj bezdomni włóczędzy czekają na coś, co nigdy nie nastąpi.

– To prawie tak jak my".

W innym miejscu pisarka pozwala sobie na liryczność, opis czasów epidemii w dobrym literackim stylu: „W litewskim sklepiku na starym mieście w Hastings kupiłam czarny, słodkawy chleb i pachnący miodem susz z nagietka (wyobrażając sobie, że pochodzi z fikcyjnej, ale jednak litewskiej, doliny Issy), a u Arabów herbatę z kardamonem. Dochodzę do siebie po wielu dniach zamroczonych gorączką. Jestem osłabiona. Zamiast oglądać Netflixa czy pisać obiecaną książkę dla dzieci, wsłuchuję się od świtu w szum fal albo obserwuję przez okno spacerowiczów. Ludzie biegają, robią zdjęcia, układają z kamieni przyrzeczenia, odliczają jak Robinson patykiem na piasku kolejne dni lockdownu. Niektórzy leżą na kamienistej plaży po kilka godzin, wypatrują statków, które teraz nie kursują, gapią się na mewy, rozkwitające na rabatach tulipany, płynące chmury; czytają książki. Mijamy się z niepewnym uśmiechem. Jest duszno i upalnie. Prawie nikt nie nosi maski nad morzem. Mała dziewczynka ustawia na ławce przy deptaku plastikowe figurki, a potem podnosi jasną głowę i woła po angielsku do mamy: – Czy ten wirus zmieni nas w animalsy?".

Bartosz Żurawiecki: Członkowie rodziny muszą zachować dystans co najmniej 2 m. Czekałem na to całe życie!

Literatura epoki COVID-19 to nie tylko dzienniki. Łukasz Orbitowski („Inna dusza" czy „Szczęśliwa ziemia") i Szczepan Twardoch („Morfina", „Król", „Królestwo") stworzyli literacki duet. Poczytni autorzy wpadli na pomysł, by naprzemiennie publikować w internecie powieść detektywistyczną w odcinkach. Przygody detektywa Zdzisława Zarazka to humorystyczna opowieść improwizowana na bieżąco, codziennie. Jak podają na stronie powieści (www.nazarazezarazek.pl) autorzy: „Piszemy ją na zmianę. Nie ustalamy niczego z wyprzedzeniem, zaskakujemy siebie nawzajem tak samo, jak chcemy zaskakiwać i bawić czytelników, samemu również bawiąc się pisaniem". Pisarska akcja ma też cel charytatywny. Autorzy zachęcają do wpłat na pomoc m.in. lekarzom.

Manuela Gretkowska: My jesteśmy bydłem wyborczym, które chcą zagnać do ubojni politycznej.

O to, aby czytelnikom było lżej w czasie przymusowej izolacji, dba Wojciech Chmielarz, autor powieści kryminalnych, publikując w odcinkach powieść „Prosta sprawa". Chmielarz wrzuca fragment pisany na gorąco i… pozostaje otwarty na sugestie, pomysły czytelników. Jak sam zastrzega, nie ma planu książki, pisze bez redakcji, spontanicznie. „Na spotkaniach wielokrotnie mówiłem, że mam ochotę napisać taką prostą sensację. Westernową. O facecie, który przyjeżdża do miasteczka, zabija wszystkich złych i wyjeżdża. Ale jakoś nie potrafiłem się do tego zabrać. A wczoraj sobie pomyślałem: a może by teraz spróbować?", tłumaczył Chmielarz na FB 13 marca. Jego powieści można także słuchać w wersji audio.

Gryzipiórek w Zoomie

W ostatnich latach pisarze chętnie występowali na żywo. Targi książki, spotkania autorskie, premiery... W czasie społecznej kwarantanny imprezy z autorami przeniosły się do internetu. Literackie *rendez-vous* w sieci organizują wydawnictwa i stowarzyszenia książkowe. Unia Literacka zaprasza na codzienne spotkania online ze swoimi pisarzami, nazwane wdzięcznie „UL z książkami". Podobnie działa agencja autorska Opowieści, gdzie obok pisarzy zapraszani są twórcy z innych dziedzin. Jak to wygląda w praktyce? Spotkania wypadają różnie. Pisarze to nie korporacyjne zwierzęta i nie zawsze w Zoomie czy innym Skypie sobie radzą. Ale lepsze to niż nic.

Za pióro, a raczej klawiaturę, chwycili liczni amatorzy. Chociaż można się spodziewać, że najbardziej groteskowa postać woli mocy – jak kiedyś grafomanię opisał Milan Kundera – rozkwitnie podczas kwarantanny, to kto wie, czy pośród tego słownego popiołu nie zalśni diament. ■

FOT. ŁUKASZ KRAJEWSKI/AGENCJA GAZETA, JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

eprasa.pl e2e639bf4b

SERIAL

DOM GROZY: Miasto Aniołów

reż. Paco Cabezas, Roxann Dawson, Sheree Folkson, Sergio Mimica-Gezzan, prod. USA, dostępny w HBO GO

Tak jak w świetnym „Spisku przeciwko Ameryce" cofamy się do lat 30. i podglądamy, jak w USA próbowano zaszczepić nazizm, tyle że na Zachodnim Wybrzeżu. Choć inne stany leżą przywalone konsekwencjami wielkiego kryzysu, czerpiąca zyski z kina Kalifornia nie odczuwa nawet draśnięcia. Miasto się modernizuje – właśnie budowana jest autostrada Wilshire Boulevard, co wymaga poświęcenia meksykańskiego osiedla. Mieszkańcy nie godzą się na zasypanie wspomnień, co nasila konflikt na tle rasowym. A to już gleba dla idei z Trzeciej Rzeszy. Akcję śledzimy z perspektywy dwóch policjantów. Stary wyga jest biały, żółtodziób to pierwszy Latynos w jednostce. Tropią sprawców poczwórnego mordu, tłumią zamieszki, walczą z uprzedzeniami i… stają w szranki z meksykańską Madonną Śmierci. Ostatni wątek jest przedobrzony, za dużo tu dosłowności i efekciarstwa. Nadrabiają pozostałe, które w historii amerykańskiego tygla kopią także po to, by wydobyć źródła dzisiejszych napięć.

Artur Zaborski

DOKUMENT

NICK CAVE & THE BAD SEEDS: One More Time with Feeling

reż. Andrew Dominik, prod. Wielka Brytania, Sundance TV, 15 maja, godz. 22.00

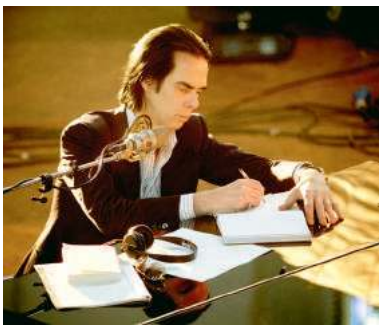

W lipcu Nick Cave traci 15-letniego syna. Pół roku później reżyser Andrew Dominik wprowadza się do niego z kamerą. I na mocy porozumienia z artystą kręci wszystko: pracę nad albumem „Skeleton Tree", rozmowy z zespołem o życiu i o sztuce, łzy, które pojawiają się w nieoczekiwanych momentach. Efekt wstrząsa. Z jednej strony, jako próba przekuwania traumy i związanych z nią emocji w sztukę. Utwory zyskują bolesny kontekst, co pozwala zrozumieć fenomen nagrań Nicka Cave'a and The Bad Seeds. Z drugiej – to kłam zadany przekonaniu, że poprzez mówienie o bólu i żalu, który rozdziera serce, można z nimi łatwiej się uporać. Na pytanie, czy film choć trochę pomógł mu poczuć się lepiej, zrezygnowany Cave odpowiada: nie. A my dostajemy dokument totalny, napędzany bezsilnością bohatera i reżysera, wynikający z potrzeby wyciągnięcia przez jednego artystę ręki do drugiego. Seans obowiązkowy.

Artur Zaborski

KURTYNA W GÓRĘ

POETA W DELIRIUM POLITYKI

Znakomity i wielokrotnie nagradzany spektakl „Broniewski" wystawiony przez Teatr Wybrzeże stał się kolejnym prezentem dla internetowej widowni. Autor prostymi środkami prowadzi nas przez życie poety, nie skąpi nam jego szaleństw, dramatów i kontrowersji. Stara się nadać postaci maksymalnie obiektywny wymiar, ukazać meandry wielkości i słabości, kryształową czystość patriotyzmu wymieszać z koniunkturalizmem czasów Stalina. Na te dziejowe dramaty nakładają się uzależnienie alkoholowe i różne osobiste tragedie. Od połowy ten niemal trzygodzinny spektakl toczy się jakby w malignie, pełen bełkotliwych okrzyków, spoza których wyziera budzące współczucie oblicze poety. Gdy jednak słuchamy jego wierszy, rodzi się żal i wstyd, że twórca tej miary dał o sobie zapomnieć. Spektakl stara się tę krzywdę wynagrodzić.

Bronisław Tumiłowicz

Radosław Paczocha, „Broniewski", reżyseria Adam Orzechowski, Teatr Wybrzeże w Gdańsku, spektakl dostępny na kanale YouTube Teatru Wybrzeże do soboty, 30 maja, do godziny 24.00

MIĘDZY OKŁADKAMI

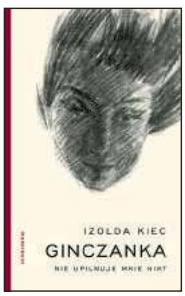

Izolda Kiec

Ginczanka

Marginesy, Warszawa 2020

Ta biografia ma dwa motywy przewodnie. Pierwszym jest podtytuł „Nie upilnuje mnie nikt", wzięty z wiersza „Zdrada", symbolicznego dla Izoldy Kiec, bo przywołaniem go promotor jej pracy doktorskiej zaaprobował pomysł przypomnienia Zuzanny Ginczanki. I właśnie jego wersy, to „Rtęcią wyślizgnę się z palców", odzwierciedlają wieloletnie już rekonstruowanie życia poetki z okruchów, które przetrwały wojnę, z relacji i wspomnień – zawsze subiektywnych, często sprzecznych, czasem zmienianych. Wiersze, satyry podpowiadają, o czym lub o kim myślała, ale i one mnożą zagadki, bo jeśli w „Non omnis moriar" pisała wprost: „Chominowo, lwowianko, dzielna żono szpicla / Donosicielko chyża, matko folksdojczera", to kim byli ci „bliscy moi", którzy, „kiedy szli szupowcy / Też pamiętali o mnie. Przypomnieli i mnie"? Jak czytać to „przypomnieli"? Drugim symbolem jest anegdota o małej Zuzannie ozdabiającej wystawę sklepu babki w Równem jako bożonarodzeniowy anioł – podziwianej, lecz oddzielonej od świata szybą. Talent połączony z niepospolitą urodą budzi zachwyt (lub zawiść), przyciąga wielbicieli, ale też izoluje. Buduje legendę, jednak to bliskości wszyscy potrzebujemy.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e2e639bf4b

Tak, ale

Agnieszka Wolny-Hamkało

Jak rozmnożyłam aloes noblistki

Nigdy nie wróżyłam takiej kariery nienachalnej urody aloesowi, który stoi u mnie w kuchni na parapecie. Nie grzeszy wdziękiem, rzuca groźny cień i raczej nie skłania do zanurzenia weń twarzy (w odróżnieniu do wypranych maseczek, które w różnych miejscach mieszkania czekają na twarz). Może zabrakło mi czujności? Mogłam przecież zauważyć, że się intensywnie rozrasta. Od początku miał parcie na szkło – napierał na okno kolczastym palcem. Z podwórka pod blokiem widać było jego żałosny *show*, kiedy w oświetlonej kuchni udawał większego, prężąc się i wyginając jak drętwa tancerka.

Swój potencjał medialny aloes ujawnił tej zimy, na zwykłej domówce, gdzie pijani goście opierali się o różne sprzęty, strącając a to kieszonkowe wydanie Koranu, a to poradnik „Jak zapanować nad chaosem we własnym życiu". Panna X zaś, zaśmiewając się, odgięła głowę do tyłu, straciła równowagę i nadziała się na kuchenny aloes. – A co to za piękny kwiatuszek? – zapytała i nachyliła się nad aloesem, jakby był mutacją bobasa albo jakimś pieskiem. – Dostałam od Olgi – wyjaśniłam. I przypomniał mi się dzień, kiedy żarówki w moim mieszkaniu wydały mi się zimne, a odpływ w wannie złowrogi. Wtedy postanowiłam umaić sobie mieszkanie i wysłałam do znajomych esemesy, czy nie chcieliby się pozbyć doniczkowych kwiatów, które im się znudziły albo naraziły w jakiś sposób. Koleżanki zaczęły mi spontanicznie kupować palemki z Lidla i Żaby – trochę niewydarzone, ale ambitne: wkrótce rozrosły się bezbożnie i rozpoczęły swoje lokalne kariery. Od Olgi dostałam jeden z jej aloesów, od Ani drzewko szczęścia, od Doroty pieniążek (*Pilea peperomioides*) – wszystkie rośliny opiekuńcze, lecznicze lub wiechcie talizmany.

– Od Olgiiiii? – panna X szeroko otworzyła młode oczy. I zrozumiałam, że krnąbrny kwiat wykazał się sprytem, pochodząc od noblistki. – Daaj mi szczepkę – poprosiła X. Sama mam busz domowy z darów, więc bez wahania ułamałam boczny wykwit aloesu, a potem wręczyłam koleżance. Po dwóch, trzech dniach rozdzwoniły się telefony. – Słuchaj, słyszałam, że masz taki kwiatek… – Paprotkę? – zwodziłam mściwie petentów. – Nie, nie, taki inny, eukaliptus? E… no ten od Olgi. – Aloes – odpuściłam. – Tak, aloes. – Noble-aloes? – upewniłam się. – Eee, chyba… tak? Słuchaj, dałabyś mi szczepkę? Podobno pięknie rośnie.

Do końca tygodnia wydałam pięć aloebobasów, życie towarzyskie kwitło, aloes łysiał, płacąc za swoją popularność. Niedługo skończy jak Jim Morrison (będzie gruby i urośnie mu broda?) – przedwcześnie zginie u szczytu sławy. Zresztą po co okrajam ten Bogu ducha winny aloes? Nazajutrz poszłam do Lidla i kupiłam kilka roślin za grosze, postawiłam je na balkonie i wciskałam coraz dalszym znajomym, mówiąc, że wszystkie są od noblistki i że sama widziałam, jak Olga wyciągała je z ziemi w ogródku. Nie powiem, żeby aloes mi się za to odwdzięczył, raczej w ciszy zbierał siły – skupił się na odrastaniu. Stoi przy radiu, więc stale słucha TOK FM i pewnie marzy o własnej audycji. Może „Życie z noblistką" albo „Wbij w dupę kolec politykowi PiS" albo „Tomaszu Piątek, wypuszczam dodatkowy korzeń, kiedy czytasz wiersze". Dzisiaj, kiedy gospodarka cierpi na COVID-syndrom, postanowiłam zainwestować i sama zrobiłam trzy szczepki. Trzymam je na szafie na czarną godzinę.

Zawsze myślałam, że w chwili kryzysu zwrócę się ku poezji romantycznej i malarstwu holenderskiemu, tymczasem rozmnażam paproć.

Jeśli więc chcecie kupić noble-aloes z uniwersum noblistki – ślijcie listy na adres redakcji. Aha, cenę ustaliłam zaporową – pięć stów za osobnika. Chyba że ktoś chce się pozbyć książki „Symulakry i symulacja" Baudrillarda. To też chętnie przygarnę. Zawsze myślałam, że w chwili kryzysu zwrócę się ku poezji romantycznej i malarstwu holenderskiemu, tymczasem rozmnażam paproć. Nie, nie pomyliłam się – paproć w prostej linii od Czesława Miłosza, jego biograf Andrzej Franaszek potwierdzi rodowód, mamy na to kwity. Często gasił w niej fajki (kiedy jeszcze palił) i ze dwa razy nerwowo nasiusiał, nasłali wtedy na niego urząd skarbowy. Paaaaproć sprzedaję! I geranium! Reymonta?

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Przegląd
Dołącz do naszej społeczności
Znajdź PRZEGLĄD na Facebooku i Twitterze

eprasa.pl e2e639bf4b

Psy zasługują na więcej

Wszystkie psy pragną czułej więzi emocjonalnej. To niewielkie wymagania i mamy obowiązek je spełnić

Clive Wynne

Wszyscy wiedzą, że szczenięciu można wpoić dystans, a nawet agresję wobec ludzi – utrwalając ten model reakcji w procesie wychowawczym. Mało kto jednak zdaje sobie sprawę, że szczenięta mogą nauczyć się kochać kogoś innego niż człowiek. Szkoda, bo świadomość tego faktu ma ogromny wpływ na zrozumienie, w jaki sposób pies dorasta do okazywania miłości ludziom.

Owszem, psy nas kochają, ale w tej miłości wcale nie chodzi o nas. Jej sedno tkwi w psiej naturze. Twój pies cię kocha, ale na dobrą sprawę mógłby kochać kogokolwiek – i to niekoniecznie człowieka. Koniec i kropka. Gdyby twój pies został wychowany przez zebry albo mrówniki, darzyłby je równie gorącym uczuciem, jak ciebie.

Psia umiejętność kochania ludzi sprowadza się po prostu do umiejętności kochania – nie skupia się konkretnie na człowieku. Jeśli cię to zaskakuje, to wyłącznie dlatego, że sam jesteś człowiekiem i przeważnie widzisz psy wchodzące w interakcje z innymi ludźmi. Popełniasz wybaczalny błąd. Może przesadą byłoby twierdzić, że pies wychowany przez mrówniki nauczyłby się je kochać – nie sądzę, żeby kiedykolwiek doszło do takiej sytuacji – niemniej gdybyś wychował się w stadzie kóz pilnowanych przez psy pasterskie w rodzaju akbaszy lub owczarków anatolijskich, twoje przekonanie, że psy kochają wyłącznie kozy, byłoby całkiem usprawiedliwione.

Beneficjentami psiej miłości bywają nawet pingwiny – na wysepce wchodzącej w skład miasta Warrnambool, około trzech godzin jazdy samochodem na zachód od Melbourne przez Princes Highway. (…) Pewien hodowca drobiu, znany w okolicy jako Swampy Marsh, wpadł na genialny pomysł, żeby do ochrony pingwinów użyć psów pilnujących na co dzień inwentarza. Marsh zdążył już zwątpić w możliwość ocalenia swoich kur z wolnego chowu przed zakusami lisów, kiedy został właścicielem owczarka maremma. Był pełen podziwu dla skuteczności, z jaką pies wypłaszał lisy z gospodarstwa. (…)

Owczarek maremma to stara rasa z południowego regionu Toskanii, określonego w jednej z brytyjskich gazet jako miejsce „dyskretne i szykowne". Podobne rasy występują na całym północnym wybrzeżu Morza Śródziemnego, od Portugalii aż po Turcję i Bliski Wschód. Używanie psów do pilnowania inwentarza praktykowano na południu Europy tysiące lat przed ekspansją turystów, którzy teraz są głównym źródłem dochodów dla okolicznych mieszkańców. W „Odysei", spisanej prawie 3 tys. lat temu, Homer przywołuje epizod, w którym Odyseusz po powrocie do Itaki o mały włos zostałby zagryziony przez psy strzegące świń.

Psy do pilnowania inwentarza nie mają nic wspólnego z dawnymi angielskimi rasami psów pasterskich, które służą do zaganiania. Angielskie owczarki stosują się ściśle do poleceń człowieka, by przegonić trzodę – zwykle owce – z jednego miejsca na drugie. Jestem pewny, że narażę się miłośnikom staroangielskiego bobtaila, ale moim zdaniem psy pilnujące dobytku powstały znacznie wcześniej niż psy zaganiające. Po pierwsze, strzeżenie inwentarza jest dużo prostsze niż jego zaganianie – nie wiąże się z koniecznością przestrzegania złożonych poleceń, wydawanych przez opiekuna głosem lub gwizdkiem. Po drugie, świadectwa użycia psów do pilnowania inwentarza sięgają początków historii pisanej – wzmianki o zaganianiu trzód pojawiły się znacznie później. Pierwsze zawody psów pasterskich zorganizowano dopiero pod koniec XIX w. (…)

Mimo że psy nie zdołały zadzierzgnąć więzi z pingwinami, i tak zrobiły

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl e2e639bf4b

swoje. W pierwszym sezonie lęgowym pod strażą owczarków maremma żadne pisklę pingwina małego nie padło ofiarą lisów.

Teraz Williams już wiedział, gdzie popełnił błąd. Żeby wykształcić w psach pilnujących prawdziwą motywację do ochrony swoich podopiecznych, trzeba je z nimi zetknąć na wczesnym etapie życia. Dziś na straży pingwinów małych z Middle Island stoją dwa psy, Eudy i Tula (ich imiona pochodzą od nazwy rodzajowej tych ptaków, czyli *Eudyptula*), które przebywały wśród nich już w okresie szczenięcym.

Żeby psy pokochały pingwiny, muszą je znać od małego. Podobnie jest w psich relacjach z ludźmi. Szczeniakom chowanym w gospodarstwie zdarza się wykształcić silną więź z dowolnymi zwierzętami, z jakimi miały wówczas styczność: ze świniami, kozami, krowami, kaczkami, kurami itd. Gdyby w folwarku nie było żadnych ludzi (chyba George Orwell kiedyś o tym pisał), nie nauczyłyby się nas kochać. (…)

Pies wie, że jesteś szefem – bez względu na to, czy dręczysz go stosowaniem smyczy zaciskowej i techniki *alpha roll*, czy też obchodzisz się z nim równie łagodnie jak z własnym dzieckiem. To dzięki tobie jedzenie pojawia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – karma zamknięta w puszkach, uwięziona w szafce, zapakowana do lodówki w próżniowych torebkach i mnóstwie innych pojemników, które człowiek – wyposażony w kciuk przeciwstawny – otwiera bez trudu, tymczasem większość psów nie ma pojęcia, jak się do nich dobrać. To ty decydujesz, kiedy i dokąd wyjdziesz z psem na spacer. Dyktujesz mu nawet, kiedy i gdzie ma się załatwić oraz z kim może uprawić seks – o ile w ogóle mu na to pozwolisz.

Z tych i wielu innych powodów pies nie ma wątpliwości, kto rządzi w waszym związku.

Być może nie zdajesz sobie sprawy, że ustalając jadłospis i pory posiłków swojego pupila, przejawiasz wobec niego dominację – mimo to wszelkie badania wskazują, że pies jest tego w pełni świadom. Psy wiedzą, że ten, kto ma dostęp do niezbędnych zasobów, musi być szefem. Gorąco namawiam do stosowania smakołyków, klikerów i łagodnej zachęty, żeby nauczyć psa chodzenia przy nodze. Niech cię ręka boska broni przed używaniem w tym celu kolczatki i innych narzędzi psich tortur. Ale bez względu na to, czy zdecydujesz się karać zwierzaka, czy szkolić go metodą wzmocnień pozytywnych, osiągniesz ten sam cel – pies nauczy się posłuszeństwa na spacerach. Tym samym utrwalisz swoją pozycję dominanta. Szczerze mówiąc, jeśli twój podopieczny ma żyć pośród ludzi, musisz nad nim dominować. Psy nie są psychicznie zdolne do podejmowania decyzji w twojej rodzinie.

Pies wie, że jesteś szefem. To dzięki tobie pojawia się jedzenie.

Model tej dominacji zależy wyłącznie od ciebie. Żeby być górą w tym związku, nie musisz straszyć swojego psa, wlec go na smyczy zaciskowej ani kopać go w brzuch. Twoja wyższość sprowadza się do zarządzania zasobami; lepiej odgrywać rolę wyrozumiałego przywódcy niż okrutnego barbarzyńcy. Każdy rodzic wie, że miłość nie wyklucza dominacji. Psy rozumieją jedno i drugie. Zasługują na przywództwo oparte na współodczuwaniu, nie na agresji.

Oprócz tego, że psy spodziewają się, a nawet oczekują od nas dominacji, pragną też towarzyskich kontaktów z ludźmi.

Oprócz tego, że psy spodziewają się, a nawet oczekują od nas dominacji, pragną też towarzyskich kontaktów z ludźmi. Potrzebę więzi z innymi stworzeniami mają dosłownie w genach. Muszą się z nami bawić, muszą być blisko swoich ukochanych właścicieli.

Pragnienie bliskości z człowiekiem jest w dużej mierze kwestią indywidualną. Na przykład moja Xephos uwielbia dotyk, ale tylko dotyk: układa mi się na stopach, kiedy jestem w łóżku albo pracuję przy biurku, lubi też wylegiwać się koło mnie na kanapie. Nienawidzi, kiedy ktoś ją bierze na ręce i przytula, rozmaicie reaguje na obściskiwanie z ziemi – zależy, w jakim jest akurat nastroju. Niektóre psy uwielbiają być podnoszone i kołysane w ramionach; inne nie szukają kontaktu fizycznego i są najszczęśliwsze, gdy człowiek jest po prostu w pobliżu.

Od pewnego czasu toczy się dyskusja, jak należy dotykać psa. Kanadyjczyk Stanley Coren wysunął tezę, że psy nie lubią przytulania. W jednym z wpisów na swoim blogu przedstawił analizę znalezionych w sieci zdjęć ludzi z psami w objęciach. Zdaniem Corena, na 204 z 250 fotografii zwierzaki sprawiały wrażenie zestresowanych. Psycholog radzi czytelnikom, żeby „zachowali swoje uściski dla dwunożnych partnerów i członków rodziny".

Uważam, że Coren przesadza, choć w jednym z pewnością ma rację – ludzie powinni zwracać uwagę, jak pies reaguje na kontakt fizyczny, zamiast wychodzić z prostego założenia, że to, co nam sprawia przyjemność, będzie miłe także dla naszych podopiecznych. Żeby uzyskać odpowiedź na pytanie, jak długo głaskać psa, wystarczy na niego spojrzeć. Stara maksyma „każdemu według potrzeb" odnosi się w równej mierze do ludzi, jak i do zwierząt.

Choć każdy pies jest odrębną jednostką, obdarzoną niepowtarzalną osobowością, musimy zrozumieć i przyjąć do wiadomości, że wszystkie psy pragną czułej więzi emocjonalnej. To niewielkie wymagania i mamy obowiązek je spełnić.

Niestety, często nie wywiązujemy się z tych zobowiązań. Najgorsza krzywda, jaką można wyrządzić tak bardzo towarzyskiemu zwierzęciu, to zostawić je w domu na cały dzień bez możliwości kontaktu z kimkolwiek. W krajach rozwiniętych stało się to już normą. Kochamy nasze psy za ich czuły charakter, a mimo to żegnamy się z nimi o wpół do ósmej rano i w najlepszym razie wracamy do nich dziesięć godzin później. Niektórzy ludzie wpadają do domu na chwilę, żeby wyprowadzić psa na spacer i pozwolić mu załatwić potrzeby fizjologiczne, po czym znów zamykają go na klucz, by spędzić resztę wieczoru w towarzystwie swoich przyjaciół. Co pies ma z takiego życia? 10 godzin samotności, 10 minut na kontakty towarzyskie i znów cztery albo pięć godzin samotnego

eprasa.pl e2e639bf4b

oczekiwania na powrót człowieka, który zaraz i tak padnie na łóżko i zaśnie.

W Szwecji właściciel jest prawnie zobowiązany zapewnić psu co najmniej cztery godziny kontaktu z człowiekiem. Moim zdaniem to doskonałe rozwiązanie. Skoro nie możesz wpaść do domu w ciągu dnia, żeby spotkać się ze swoim psem, znajdź inny sposób na spędzanie z nim czasu albo zrezygnuj z posiadania pupila.

Oczywiście psy mogą też czerpać korzyści społeczne z przebywania z innymi domownikami. Dobrze wychowany szczeniak doceni obecność psiego kompana, w ostateczności zadowoli się też towarzystwem kotów i innych zwierząt domowych – zwłaszcza jeśli zetknął się z nimi w krytycznym okresie życia, kiedy młode ssaki wdrukowują sobie wzorzec przyszłego partnera do zabaw. Wiele stworzeń sprawdza się w roli towarzyszy, osładzających psom czas oczekiwania na powrót pana.

Rzecz jasna jest mnóstwo innych sposobów na psią samotność niż sprowadzanie do domu innego zwierzęcia. Jednym z rozwiązań jest zostawanie z psem w domu, przynajmniej na parę godzin. Tak właśnie robię, choć zdaję sobie sprawę, że nie każdy cieszy się przywilejem elastycznego czasu pracy. Ale coraz więcej ludzi zabiera psy ze sobą do biura; w Stanach Zjednoczonych zapanowała nawet moda na przychodzenie do pracy z pupilem. Większość psów łatwo zawiera przyjaźnie, można więc wynająć opiekuna – albo poprosić o pomoc mniej zajętego przyjaciela – który wpadnie codziennie i trochę pogada z twoim podopiecznym. Może też wyjść z nim na kawę albo do restauracji. Niezłym pomysłem jest zapewnienie psu dobrze zorganizowanej opieki dziennej – wielu odpowiedzialnych właścicieli korzysta z tej usługi.

Tak czy inaczej, człowiek musi nie tylko zaspokoić potrzeby fizyczne psa, ale też mieć na uwadze jego szczerą i kochającą naturę. Mało komu przyjdzie do głowy, żeby pozbawić swojego pupila jedzenia albo możliwości wysikania się na dworze. A przecież trzymanie psa przez dłuższy czas w zamknięciu jest jednym z najgorszych, a zarazem powszechnie tolerowanych okrucieństw, jakie można mu wyrządzić. I wiąże się z poważnymi konsekwencjami – zarówno dla nas, jak i dla naszych podopiecznych.

Mnóstwo psów nie umie sobie poradzić z udręką samotności i próbuje ją zagłuszyć na różne sposoby, począwszy od ujadania, przez obgryzanie mebli, kończąc na zanieczyszczaniu domu odchodami. Wszystkie te objawy podciąga się pod tzw. lęk separacyjny, leczony farmakologicznie lub behawioralnie. Zdaniem weterynarzy i psychologów zwierzęcych problem przybrał rozmiary plagi – co piąty pies cierpi na tę przypadłość.

Fragmenty książki Clive'a Wynne'a *Pies jest miłością. Dlaczego i jak twój pies cię kocha,* przekład Dorota Kozińska, Marginesy, Warszawa 2020

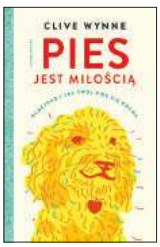

eprasa.pl e2e639bf4b

Co było i co jest…

Wiadomo, każda liszka swój ogonek chwali, zwłaszcza w polityce i w dyplomacji. Ale żeby chwalić, trzeba mieć najpierw jakiś punkt zaczepienia.

Zacznijmy więc od tego punktu. Radosław Sikorski we wspomnieniach z czasów, gdy był ministrem spraw zagranicznych, „Polska może być lepsza", wspomina swoje rozmowy z Hillary Clinton, ówczesną sekretarz stanu. „Na co dzień moim partnerem byli naturalnie sekretarze stanu USA: Condoleezza Rice, Hillary Clinton i John Kerry – pisze. – Najdłużej i najbliżej współpracowałem z Hillary Clinton. Podczas jednej z oficjalnych kolacji organizowanych przez państwo aspirujące do NATO posadzono nas obok siebie i gdy mówcy przynudzali ponad miarę, spytałem ją:

– Mogę ci opowiedzieć dowcip o Clintonach?

– Czy aby na pewno przyzwoity? – spytała i zauważyłem błysk paniki w jej oczach.

– Tak, spokojnie, ale pod warunkiem, że mi przerwiesz, jeśli już go słyszałaś.

– OK.

– Clintonowie urwali się ochronie i spędzili weekend, jeżdżąc samochodem po Arkansas, jak za starych czasów. Podjeżdżają pod stację benzynową, której właścicielem okazuje się chłopak Hillary jeszcze z czasów szkolnych. Po wymianie serdeczności odjeżdżają i Bill mówi do Hillary: »Widzisz, jakbyś wyszła za niego, to zostałabyś współwłaścicielką stacji benzynowej«. »Nie, Bill, gdybym wyszła za niego, to on zostałby prezydentem Stanów Zjednoczonych«.

Hillary rozpromieniła się w uśmiechu i odparła:

– Nie słyszałam. Świetne. Powiem Billowi!

Dobre relacje osobiste między ministrami pomagają w nieuniknionych rozmowach o trudnych sprawach. Całą sztuką jest tworzyć klimat i kontekst, w którym problemy można rozwiązać lub ominąć bez wdawania się w publiczną awanturę między zainteresowanymi krajami".

Tyle Sikorski… Nie można wykluczyć, że w tych wspomnieniach podbija swoje znaczenie, pokazuje się lepszym, mądrzejszym, dowcipniejszym i bardziej wpływowym, niż jest. To możliwe. Rzecz jednak w tym, że na stronie MSZ z ostatnich dni jako przejaw aktywności ministra Czaputowicza prezentowana jest informacja, że odbył telekonferencję z ministrami spraw zagranicznych Rumunii i Turcji.

Może więc jeszcze jedno porównanie. Pisze Sikorski: „Ministrem spraw zagranicznych był Bernard Kouchner, wizjoner i europejski patriota, który przyjął moje zaproszenie, aby jako pierwszy w historii szef francuskiej dyplomacji wygłosić przemówienie na dorocznej naradzie polskich ambasadorów. Przed częścią oficjalną w Warszawie wpadł na kolację do Chobielina".

Dzisiaj stosunki z Francją wyglądają tak, że prezydent Macron zastanawia się, czy zaprosić Andrzeja Dudę na uroczystą paradę z okazji 14 Lipca. A z Unią… Zastanawia się głośno unijny komisarz ds. sprawiedliwości Didier Reynders, jak postępować z Polską. I wylicza wszystkie unijne zastrzeżenia: tzw. reforma sądownictwa, podważanie orzeczeń TSUE, wybory pocztowe… A swój wywód zamyka słowami: „Jeżeli więc mamy do czynienia z gwałceniem stałym i systematycznym praworządności w jednej dziedzinie, to instrument »pieniądze za praworządność« jest najskuteczniejszy". Oto droga, którą Polska przebyła.

Attaché

Mimo pandemii ludzie starają się żyć normalnie. Wietnamscy rybacy na plaży w Da Nang.

FOT. KHAM/REUTERS/FORUM

eprasa.pl e2e639bf4b

JOLKA

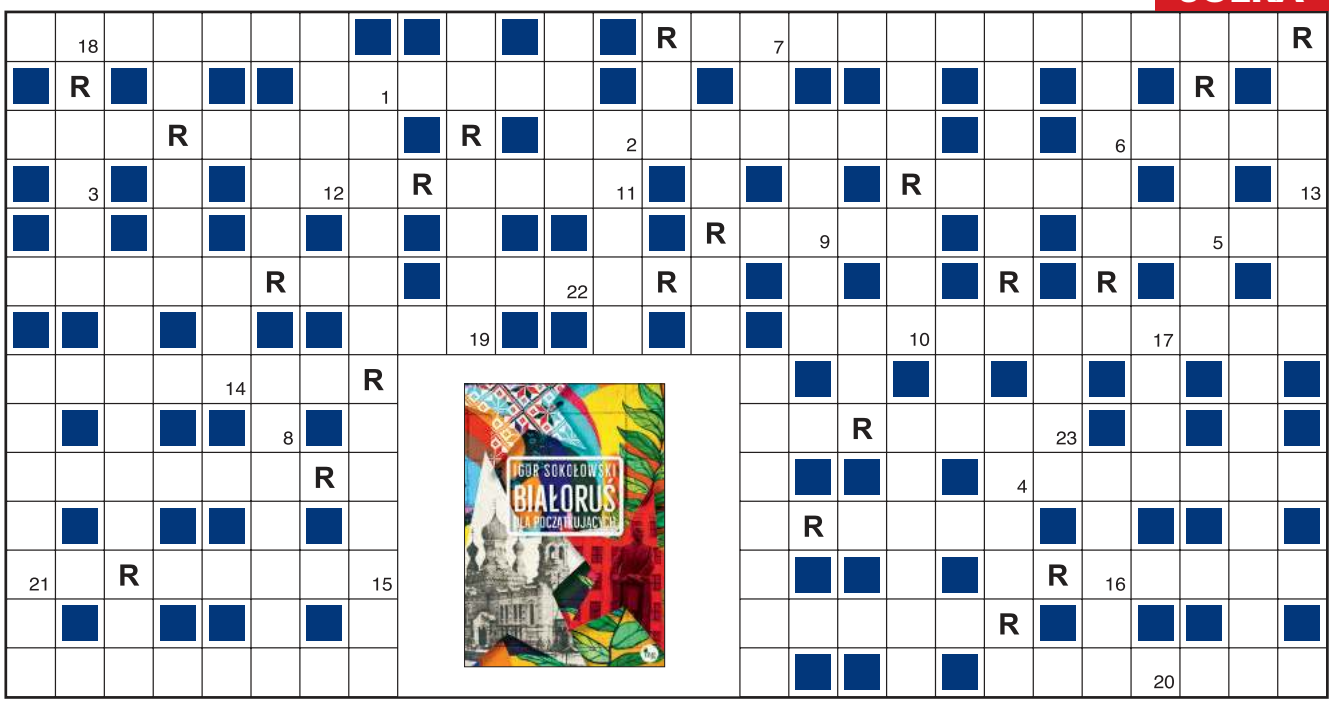

1	2	3	4	5	6	7	8

9	10	11	12	13	14

15	16	17

18	19	20	21	22	23

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery R ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 23 utworzą końcowe hasło.

- wskoczyły do niego kurka z babcią u Tuwima
- włókno syntetyczne, lakier lub farba
- gdy podejrzany był gdzie indziej
- w jej północnej części wyżyna Kolorado
- obszar poza linią boiska
- jednostka miary grubości desek
- Charlie lub Geraldine ze świata filmu
- danie z nerek zwierzęcych
- gdy nagli, trzeba się śpieszyć
- Karakalli, mediolański lub parczewski
- alter...
- i nielot, i buty z Australii
- stała posada ze stałą pensją
- urządzenie do przesyłania dokumentów
- belgijskie są grubsze i smażone dwukrotnie
- z domieszką krwi białej – Metys
- Wiśniowiecki albo Przybora
- łowieckie, młyńskie lub zębate
- Roch z „Potopu”
- żartowniś, prześmiewca
- tam po pożyczkę pod zastaw
- stolica Kenii
- swoimi opowieściami skłania do ziewania
- drugi wydawniczy lub wody w przyrodzie
- kompres na bolące, chore miejsce
- skarbowa – za czynności urzędowe
- „to ja, przyłbica twoja i...”, śpiewała Maryla
- pułapka, np. żelaza chwytne
- wpłaty lub przybycia
- sznur ze słomy
- „...o skrzydła” Staffa
- figlarz, kawalarz
- wdraża projekty usprawniające pracę
- „...capriccioso” Mendelssohna
- Mariański – najgłębszy znany na Ziemi
- rosyjska waluta
- ćwiczenia ruchowe w takt muzyki
- kuzyn okonia, często hodowany w stawach
- ale jako część mowy
- niejeden między władzą a opozycją
- kochaniusi mamusi
- taka jak Miranda Priestly z „Diabeł ubiera się u Prady” budzi lęk
- szorstkowłosy pies z brodą i krzaczastymi brwiami
- są socjalne, emerytalne, rehabilitacyjne
- milion bilionów
- dopuszczalne w pierwszy dzień wiosny
- jarzyna
- do zerkania, kto za drzwiami
- pełen mąki lub ziemniaków
- ręcznie robione dość twarde kluseczki
- bąków lub z tropu
- zbiera i suszy miętę, rumianek
- przed refrenem i po nim
- Miłoszewski, autor powieści o prokuratorze Szackim

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-960”. Do rozlosowania książki „Białoruś dla początkujących” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 17 maja 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-957” z 26 kwietnia: *Wybór broni to połowa sukcesu.* Nagrody otrzymują: Olga Czernek z Bielawy, Bożena Jachimiak z Warszawy, Zdzisław Pietruk z Międzyrzeca Podlaskiego.

eprasa.pl e2e639bf4b

PENETRACJE

DZIENNIK GAZETA PRAWNA

MIROSŁAW RÓŻAŃSKI, GENERAŁ BRONI W STANIE SPOCZYNKU

Słychać co jakiś czas euforyczne informacje, że odbyła się kolejna przysięga wojskowa z udziałem prezydenta Dudy. Przykre, że swoją obecnością nie zaszczyca np. promocji absolwentów Akademii Wojsk Lądowych, młodych podporuczników. Z całym szacunkiem, dla mnie to projekt polityczny i propagandowy. Jego kadrę zbudowano, wyciągając ludzi ze wszystkich jednostek Wojska Polskiego. Pan Kukuła… Trudno mi go nazywać generałem. Ściągnął swoich byłych podwładnych z jednostki specjalnej w Lublińcu.

POLSKA

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK, DYREKTOR CENTRUM EUROPEJSKIEGO UW

Czy nam się podoba, czy nie, Chińczycy w Europie Środkowej, w Unii Europejskiej już są obecni, bo taka jest ich strategia. W interesie Chin jest również inwestowanie w Polsce. Nie dlatego, że Polskę pokochali, tylko dlatego, że im tak po prostu wynika z mapy. Geostrategiczne położenie między Rosją a Niemcami było dla nas przez wieki przekleństwem, teraz może być wielką szansą. Jeśli uwzględni się, co robią Chińczycy na Białorusi, co w Polsce jest pominięte zupełnym milczeniem, to mamy tam do czynienia z bezprecedensowym zaangażowaniem. Widać to szczególnie w świetle chińskich inwestycji na Węgrzech Viktora Orbána, w Serbii, na Białorusi, w Niemczech czy we Francji, a nawet wszystkich krajach Unii razem wziętych.

URODA

ILONA ŁEPKOWSKA, SCENARZYSTKA

Olaf Lubaszenko odchodził z „Barw szczęścia" na własne życzenie, ale poprosił, żeby nie wysyłać go w scenariuszu na stypendium ani do sanatorium, bo wolałby umrzeć. A ponieważ wszyscy bardzo go lubimy, urządziliśmy mu piękną śmierć. Umarł jak bohater. Gorzej, jeśli mnie jakiś aktor wkurzy, jest nielojalny, łamie zasady współpracy, wtedy ginie w męczarniach, mało efektownie. Ale zdarza się też, że popełnimy błąd obsadowy i potem latami męczymy się z jakimś aktorem…

Twój STYL

WOJCIECH PSZONIAK, AKTOR

Gdy mnie pani zapyta, co łączy Francuzów, odpowiem błyskawicznie: miłość do życia, wino, jedzenie, radość. Francuzi kochają żyć, i to się czuje na każdym kroku. A jak pani mnie pyta, co łączy Polaków, to muszę się zastanowić, a potem muszę się zasępić. Pojawiają się obrazy nie radości, ale narodowych traum, cierpień nieustających podnoszonych do rangi najwyższej, mesjańskiej. To nasze przekleństwo. Proszę zwrócić uwagę, że nie ma w Polsce żadnego pisma satyrycznego. Upadły, bo traktujemy wszystko ze śmiertelną powagą.

Rdzenne społeczności Ameryki są szczególnie narażone na zakażenie COVID-19. Mężczyźni z plemienia Sateré-Mawé w Brazylii zdalnie kontaktują się z lekarzem.

FOT. RICARDO OLIVEIRA/AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

PROF. CEZARY SZCZYLIK O STOSUNKU DO LEKARZY

Będziemy od czasu do czasu jako lekarze oklaskiwani na balkonach, a jutro usłyszymy: „pokaż lekarzu, co masz w garażu".

LESZEK BALCEROWICZ O MATEUSZU MORAWIECKIM

Nawet w Prawie i Sprawiedliwości wyróżnia się pod względem kłamstwa i blagi.

JERZY URBAN O WYBORACH

Będą wolne. Od niespodzianek.

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA O PLANOWANIU

Lubię planować, nie lubię chaosu. Chaos oznacza nerwy. Ich okazywanie jest oznaką słabości.

CEZARY KUCHARSKI O „DZIENNIKARZACH" NA USŁUGACH PZPN

Od lat korzystają z tego układu. Oni nie dość, że nie skrytykują związku, to jeszcze będą za wszelką cenę starali się pokazać swoje oddanie i swoją służalczość wobec PZPN.

GEN. MIROSŁAW HERMASZEWSKI O KWARANTANNIE

Mam żonę, która cały czas zmienia mi harmonogram. I robię to, co mówi, z przyjemnością.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA O PARTNERZE

Nigdy przy żadnym innym mężczyźnie tyle się nie śmiałam i jednocześnie nigdy z jego powodu nie uroniłam ani jednej łzy.

PROF. WIESŁAW ŁUKASZEWSKI O BIEGANIU

Intensywne ćwiczenia w mniejszym stopniu służą zdrowiu, a bardziej samoocenie, poczuciu własnej wartości czy wyjątkowości.

ŁUKASZ ORBITOWSKI O CZYTANIU

Codziennie jakieś 40 minut, może godzinę przed zaśnięciem, leżę w ciemnym łóżku z Kindle'em i na ekranie czytam książkę.

JAN NOWICKI O SOBIE

Jestem człowiekiem bardzo wstydliwym. Jak mnie ktoś komplementuje, to ja cierpię, bo wydaje mi się, że robi sobie ze mnie jaja.

eprasa.pl e2e639bf4b

Sio!

W ramach zapobiegania rozprzestrzenianiu się COVID-19 władze szwedzkiego Lund rozrzuciły w śródmiejskim parku tonę kurzych odchodów. Chciały w ten sposób zniechęcić mieszkańców i turystów do zbiorowego świętowania nocy Walpurgi, czyli witania wiosny w ostatnią noc kwietnia. – Nawóz nie tylko użyźni trawniki, ale będzie też śmierdział, a to nie sprzyja siedzeniu i piciu piwa – wyjaśnił członek rady miasta Gustav Lundblad. Jak mawia (nowe) szwedzkie przysłowie, gdzie radny nie może, tam kurę pośle.

A niby taka mądra

Wszystkim, którzy zachwycają się potencjałem sztucznej inteligencji, polecić można stronę projektu Dick RNN. Gdy zaczniemy tam kreślić dowolny kształt, algorytmy spróbują dodać elementy, których brakuje, by powstał rysunek penisa. Oprogramowanie, które wcześniej dostało do analizy 25 tys. bardzo różnych szkiców męskich przyrodzeń, przeważnie radzi sobie z tym zadaniem dość słabo, a na pewno gorzej niż przeciętny uczeń podstawówki wyposażony w długopis i zeszyt kolegi. Nie mamy jednak złudzeń, prędzej czy później i w tej czynności sztuczna inteligencja przewyższy człowieka…

Automaty na uniwersytety!

Nie tylko psotna dziatwa, ale także luminarze socjologii i filozofii mogą zacząć się obawiać cyfrowej konkurencji. Padła bowiem już pierwsza reduta: pod adresem historiaimedia.org/covid19/ można znaleźć generator tytułów humanistycznych prac naukowych na temat obecnej pandemii. Przykłady: „Estetyzacja twórczości traumy i zarazy: zdejmowanie maski", „Ontologia wychodzenia z domu w sytuacji epidemiologicznej: wybrane aspekty", „Powrót kolonializmu w pracy zdalnej w ujęciu literaturoznawczym", „Kryzys twórczości wobec zamknięcia społecznego w myśl nauczania Jana Pawła II". Czas na kolejny krok: algorytm, który skutecznie ubiega się o granty.

Szybko, tanio i z dojazdem do klienta

W Hiszpanii furorę robi usługa błyskawicznego rozwodu. Jedna z rodzinnych kancelarii prawnych świadczy ją z furgonetek krążących po tamtejszych miastach. Prawnicy oferują rozsupłanie węzła małżeńskiego w 24 godziny, za 150 euro od osoby. Rzecz jasna, ekspresowe rozstanie to rozwiązanie realne tylko w przypadku par, które nie zamierzają się kłócić o majątek czy prawo do opieki nad dziećmi. Kancelaria jest przekonana, że biznes będzie się rozwijał dynamicznie – przewiduje, że w następstwie obowiązkowego pozostawania w domach liczba rozwodów może w tym roku wzrosnąć o 75%.

Kopanie za oglądanie

Amerykański urząd patentowy poinformował, że rozpatruje wniosek Microsoftu o objęcie ochroną prawną metody „kopania kryptowalut z wykorzystaniem fal mózgowych

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl e2e639bf4b

Utrzymywanie dobrej kondycji jest bardzo ważne. Yuhui Choe, pierwsza solistka The Royal Ballet, ćwiczy w swoim londyńskim domu. A tak wygląda internetowa lekcja koziej jogi w Arizonie.

albo ciepła emitowanego przez użytkownika podczas wykonywania zadań zleconych przez dostawcę informacji, takich jak oglądanie reklam czy korzystanie z określonych usług internetowych". Mówiąc prościej, firma założona przez Billa Gatesa rozwija technologię, która m.in. umożliwi internautom zarabianie na oglądaniu reklam, co byłoby weryfikowane za pomocą analizy pracy ich mózgów. Kapitalizm wkracza w ciekawą fazę, Stanisław Lem i Zygmunt Bauman mieliby o czym pisać.

Nowy wspaniały sen

W XXI w. raczej nie nudziłby się także Aldous Huxley. Na amerykańskim MIT trwają prace nad Dormio – urządzeniem, które śledząc napięcie mięśniowe, tętno czy przewodnictwo skóry śpiącej osoby, będzie mogło wpływać na fabułę jej marzeń sennych, np. emitując odpowiednie dźwięki. Inny zespół najsłynniejszej uczelni technicznej świata w ramach projektu BioEssence eksperymentuje z wykorzystaniem zapachów w procesie nieświadomej nocnej nauki. Zdaniem badaczy inżynieria snu może znaleźć zastosowanie nie tylko w rekreacji i samokształceniu, ale także w leczeniu, np. w terapii zespołu stresu pourazowego.

FOT. A-MEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, IMGFLIP.COM, HANNAH MCKAY/REUTERS/FORUM, AP/EAST NEWS

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl e2e639bf4b

Koń Trojański

Pokój zabaw Infantki

patronat **PRZEGLĄDU**

Marta Czok

To nazywasz sztuką?

Marta Czok, artystka o polskich korzeniach, urodzona w 1947 r. w Bejrucie, od 40 lat mieszka w Castel Gandolfo we Włoszech. Prace tej uważnej obserwatorki społeczeństwa, w którym żyje, można podzielić na dwa obszary tematyczne. Pierwszy to motywy zapamiętane z dzieciństwa, sceny rodzajowe z wydarzeń i uroczystości rodzinnych, drugi obejmuje krytykę współczesnego świata, podzielonego na tych, co na szczycie, korzystających z przywilejów swoich stanowisk i gardzących tymi, których miejsce jest zawsze na dole, usługodawcami.

Muzeum Karykatury im. E. Lipińskiego na ul. Koziej 11 w Warszawie rozpoczęło przygotowania do ponownego otwarcia. Więcej informacji na muzeumkarykatury.pl.

To nazywasz sztuką?

Wiktoria i jej ciasto

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl e2e639bf4b

Fot. Maciej Moskwa/TESTIGO

POMOC NIE MOŻE POMIJAĆ NIKOGO

Aby pokonać koronawirusa,
musimy działać globalnie i solidarnie.

WPŁAĆ:

www.pah.org.pl/koronawirus
02 2490 0005 0000 4600 8316 8772

pah
Polska Akcja Humanitarna

teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

powszechny online
teatr minimum

nagrania spektakli
teatr VR na żywo
aktorskie czytania książek
debaty
publikacje

W czasie, kiedy z troski o zdrowie publiczne funkcjonowanie instytucji kultury zostało zawieszone, ~~Teatr~~ Powszechny w Warszawie proponuje program: Powszechny online. Teatr minimum. Chcemy regularnie udostępniać na naszej stronie internetowej oraz w mediach społecznościowych wartościowe materiały w wersji online.

Dziś głównie za pomocą sieci możemy podtrzymać sieć teatralnych kontaktów – dialog z widzami. Chcemy udostępniać utwory, które pomogą utrzymać stały dostęp do kultury oraz poszerzyć społeczny i intelektualny kontekst naszych spektakli. Mamy nadzieję, że dzięki temu po okresie wielkiej próby spotkamy się wszyscy w teatrze z jeszcze większą energią i nowymi inspiracjami.

Patroni medialni

wyborcza · wyborcza.pl WARSZAWA · co jest grane 24 · AKTIVIST · Przegląd

www.powszechny.com